

Andre Norton

Gwiaździsta odyseja

Tłumaczyła: Maja Kmieciak
Tytuł oryginału No Night Without Stars

Rozdział pierwszy

Gruby pióropusz czarnego tłustego dymu, unoszący się zza górskiego grzbietu, wyglądał dość złowroźnie. Sander zsunął się z Rhina i zaczął się wdrapywać na zbocze, a jego wierzchowiec równie ostrożnie podążał za nim. Od wielu dni nie napotkali żadnego obozowiska, a torba z prowiantem, przyczepiona do spełniającej rolę siodła derki umocowanej rzemieniami na Rhinie, była pusta. Sanderowi dokuczał głód. Na ziemi, którą przemierzali w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie było śladu zwierzyny łownej. A garstka czy dwie ledwie dojrzałego ziarna z wyrwanych z korzeniami rozsianych z rzadka kłosów zboża nie wystarczyła do zaspokojenia głodu.

Pięć dni temu Sander przekroczył granice terytorium znanego Wspólnocie Jaków. Wyjechawszy poza pierścień namiotów — ponury i rozgoryczony z powodu sposobu, w jaki został potraktowany — skierował się na wschód, ku legendarnemu morzu. Wówczas wydawało mu się możliwe, iż osiągnie cel: odkryje dawne tajemnice, dzięki którym będzie w stanie lepiej podrobić dostarczany przez Handlarzy metal, tak by po powrocie móc stawić czoła Ibbetsowi i pozostałym, oraz wymusić na nich przyznanie, że nie jest mało wartym terminatorem, lecz kowalem ze Starej Szkoły. Choć długa, mozolna wędrówka przez nieznaną, dziczące pustkowie nauczyła go roztropności, nie przygasiła jednak zarzewia tłęcego się w nim buntu przeciwko krzywdzącej, deprecjonującej jego wartość decyzji Ibbetsa.

Zaklinował się ramionami pomiędzy dwiema skałami i naciągnął na twarz kaptur, tak by jego szary kolor stopił się z barwą otaczających go kamieni. Choć nie miał przeszkolenia w dziedzinie myślistwa, jak każdy inny członek

Wspólnoty od dzieciństwa uczony był podstaw maskowania się w obliczu czegoś niezwykłego, do momentu uzyskania całkowitej pewności, że nic mu nie zagraża.

Poniżej rozciągała się szeroka dolina, w której wiła się rzeka. W miejscu, gdzie rozszerzała się, tworząc o wiele większy zbiornik wodny (widział zaledwie jeden jego brzeg, ten, w który wcinała się rzeka), stało kilka budynków, tworząc małą wioskę. Te schronienia o długich ścianach sprawiały wrażenie stałych siedzib, nie tak jak skórzane namioty Wspólnoty, łatwe do przemieszczania z miejsca na miejsce. Jednakże małe, posępne, ukazujące się tu i ówdzie języki ognia świadczyły, iż

budynkom tym grozi całkowite zniszczenie.

Nawet z tej odległości dostrzegł coś, co mogło być jedynie rozrzuconymi bezładnie wzdłuż rzeki ludzkimi zwłokami. Wywnioskował, że dokonano tu najazdu. Być może, był on dziełem okrutnych Morskich Rekinów z południa. Wątpił, by w którejś z chat ktoś pozostał przy życiu.

Ogień płonął powoli, głównie wzdłuż rzeki i brzegu rozpościerającego się dalej dużego zbiornika wodnego. Kilka budynków zdawało się jeszcze pozornie nietkniętych. Były z pewnością splądrowane, lecz istniała szansa, że nie wszystko ze zgromadzonych przez tutejszych osadników zapasów zostało wywiezione przez najeźdźców. A była akurat pora zbiorów. Gdy Sander wyruszał w drogę, członkowie jego Wspólnoty (a raczej ci, których uważał za bliskich krewnych — na tę myśl grymas wykrzywił jego twarz) także organizowali ostatnie w tym sezonie polowania i suszyli mięso.

Chociaż koczownicze Wspólnoty wędrowały po rozległych obszarach w głębi lądu, Sander nasłuchiwał się wystarczająco wielu opowieści Handlarzy, by wiedzieć, że gdzie i indziej ludzie żyją inaczej. Były miejsca, gdzie klany osiedlały się na stałe, przejmując ziemię na własność, uprawiając ją i wytwarzając żywność. Tutaj, w tej niemal doszczętnie zniszczonej osadzie, musieli chyba także łowić ryby. Zaburczało mu w żołądku. Przesunął się trochę, lustrując bacznie miejsce najazdu, by upewnić się, że kiedy tam zejdzie, nie wpakuje się w żadne kłopoty.

Rhin zaskowyczał chrapliwie, trącając Sandera pyskiem. Jego żółtobrazowa sierść zaczynała już gęstnieć przed nadchodzącą zimą. Rozwarł szczęki, ukazując spiczasty język. Strzygąc uszami obserwował płonące budynki z równie głębokim zainteresowaniem co jego pan. Nie zdradzał jednak żadnych uczuć poza zwykłą we wszystkich nowych sytuacjach ostrożnością.

Jego zielone ślepia nawet nie mrugnęły, a ogon nie drgnął. Siadł na zadzie, jak gdyby lekceważąc fakt, że jego łeb wystaje ponad linię horyzontu i może zostać dostrzeżony z osady. Sander potraktował to zachowanie jako informację o braku bezpośredniego zagrożenia. Wiedział z doświadczenia, że spryt i wrodzona inteligencja zwierzęcia mogą dostarczyć informacji, jakich żaden człowiek ze swymi stępienymi zmysłami nie byłby nigdy w stanie uzyskać.

Sander podniósł się, nie dosiadając jednak ponownie Rhina. Zaczął ostrożnie zsuwać się ze zbocza, wykorzystując występy skalne jako osłonę, a jego wierzchołek, jak żółtorudy duch, podążał dwa kroki za nim. Przygotowując się do

odparcia ewentualnego ataku Sander uniósł miotacz strzał, mocując wyłobienie pocisku na mocno naprężonej cięciwie. Poluzował też tkwiący w skórzanej pochwie długi nóż.

Kiedy zbliżyli się do splądrowanej osady, w nozdrza uderzył go swąd spalenizny i inne, znacznie gorsze zapachy. Rhin warknął, wietrząc w powietrzu niebezpieczeństwo. Ta woń nie podobała mu się tak samo jak Sanderowi. Ale przynajmniej, w jego odczuciu, nie natrafił na żaden ślad wroga.

Sander okrążył z daleka brzeg rzeki, gdzie leżały zakrwawione ciała, i skierował się ku budynkom na pozór nie uszkodzonym, stojącym w większym oddaleniu od nabrzeża. Usłyszał plusk fal i poczuł nowy zapach, docierający wraz z podmuchami wzmagającego się wiatru — dziwny, świeży aromat. Czyżby to rzeczywiście było morze, a nie tylko jakieś większe jezioro?

Zbliżając się do najodleglejszych budynków, zawahał się. Coś się w nim sprzeciwiało temu wtargnięciu na cudze terytorium. Jedyne pragnienie zdobycia żywności pchało go naprzód, w uliczkę tak wąską, że Rhin przyciskał się do niego pokrytym futrem barkiem, gdy kroczyli przed siebie ramię w ramię.

Zbudowane z drewnianych bali ściany były bardzo grube, a zamiast okien miały jedynie umieszczone bardzo wysoko otwory, niemal zamaskowane przez zwisające okapy, stanowiące część spadzistych dachów. Pierwsze drzwi wejściowe zobaczył dopiero, kiedy dotarł do końca uliczki i skręcił w prawo.

Były zbite z ciężkich desek. Teraz, najwyraźniej wyważone siłą, wisiały smętnie na jednym zawiasie. Rhin zawarczał, wysuwając język spomiędzy warg. W tych wyłamanych drzwiach leżało ciało z zakrzepłą na plecach plamą krwi. Wieśniak leżał twarzą do ziemi, a Sander nie miał najmniejszej ochoty go odwracać.

Obcy nie był ubrany zwyczajem członków Wspólnoty w skóry i futra, lecz w szorstką, ręcznie tkaną tunikę, ufarbowaną na orzechowobrązowy kolor. Jego nogi okrywały luźne spodnie z tego samego materiału, a na stopach miał skórzane sznurowane buty. Po długiej chwili wahania Sander obszedł ostrożnie martwego mężczyznę i wszedł do środka. Stan wnętrza wskazywał zarówno na plądrowanie, jak i celowe niszczenie.

W kącie leżało jeszcze jedno skręcone ciało i kupka poplamionych ubrań. Obrzuciwszy to szybkim spojrzeniem Sander odwrócił wzrok. Mimo tak wielkiej dewastacji pomieszczenia nadal widoczne było, iż jego mieszkańcy posiadali więcej dóbr doczesnych aniżeli którykolwiek członek Wspólnoty. Ale w przypadku ich trybu

zycia i tak nie miałyby to sensu. Nie można przecież wozić ze sobą z miejsca na miejsce krzesła, stołów i komód, gdy jest się stale w drodze, podążając za stadami. Pochylił się, by podnieść rozbitą misę, zaintrygowany zdobiacym ją wzorem. Pozornie było to tylko kilka ciemnych linii, odcinających się od czysto brązowego tła glinianego naczynia, lecz kiedy przyjrzał się dokładniej, zdołał rozróżnić ptaki w locie.

Chciał jak najprędzej dotrzeć do pojemników z żywnością, mając już dość tej izby umarłaków. Z zewnątrz dobiegało warczenie Rhina. Sander wyłapał w nim niepokój swego towarzysza, pragnienie oddalenia się z tego miejsca. Zmusił się jednak do poszukiwań tego, co tu pozostało.

Znalazł miarkę gruboziarnistej mąki zmieszanej z siekanym i sproszkowanym miąższem orzechów. Używając rozbitej misy w charakterze łyżki, przesypał ją do swojej torby na prowiant. W innym przewróconym pojemniku znalazł wciśnięte dwie suszone ryby. To było wszystko. Reszta została celowo zmarnowana bądź zanieczyszczona. Robiło mu się niedobrze od widocznych przejawów dzięki nienawiści, jaką wyczuwał w tym pomieszczeniu. Z ulgą pospieszył na zewnątrz, by dołączyć do Rhina.

Mimo tych negatywnych doznań zmusił się, by podejść do następnego budynku. Jego drzwi były również wyłamane, lecz tym razem przejścia nie blokowały zwłoki. Jednakże wystarczył jeden rzut oka na to, co leżało pośrodku, by oniemiały ze zgrozy pospiesznie się wycofał. Za nic w świecie nie mógłby się do tego zbliżyć. Odniósł wrażenie, że najeźdźcy, kimkolwiek byli, nie zadowalali się samym zabijaniem, lecz znajdowali przyjemność w zabawianiu się w bestialski sposób swymi ofiarami. Przełknął ślinę, by opanować targające nim nudności, i wyszedł z powrotem na drogę biegnącą przed ocalałymi od ognia domami.

Było jeszcze jedno miejsce, które musiał przeszukać, niezależnie od niewypowiedzianej zgrozy, jaką przepełniała go ta spustoszona osada. Gdzieś tu musiała być kuźnia. Poklepał torbę z narzędziami przytroczoną do grzbietu Rhina. Znajdujące się w niej przybory były wszystkim, co otrzymał od swego ojca. Ibbets także rościł sobie do nich prawo, podobnie jak przywłaszczył sobie prawo do urzędu kowala we Wspólnocie, lecz obyczaj w tej mierze stał po stronie Sandera.

Dwa najważniejsze młotki i dłuta zostały oczywiście pogrzebane z jego ojcem Dullanem. Podstawowe narzędzia mężczyzny są przepełnione jego siłą, więc muszą być wraz z nim składane do ziemi, gdy już dłużej nie może ich używać. Lecz było

kilka pomniejszych rzeczy, których zgodnie z prawem mógł zażądać syn, i nikt nie mógł mu tego odmówić. Jednakże Sander potrzebował więcej, o wiele więcej, jeśli miał zrealizować swe marzenie — odnaleźć miejsce ukrycia zakrzepniętego metalu przywożonego przez Handlarzy do Wspólnoty oraz poznać sekret stopów, który nadaremnie usiłowali zgłębić kowale.

Ruszył zdecydowanie przed siebie omijając zwęgloną, zwałoną na zewnątrz ścianę, nie bacząc na nic z wyjątkiem celu swych poszukiwań, i zatykając nos, żeby nie czuć smrodu. Rhin nie przestawał warczeć i pomrukiwać. Sander dobrze wiedział, iż jego towarzysz ma dość tego pełnego śmierci miejsca i idzie za nim z musu. Ponieważ jednak istniało między nimi coś w rodzaju braterstwa, Rhin będzie szedł dalej.

Współplemieńców Rhina i ludzi ze Wspólnoty łączyła więź, polegająca na wzajemnym wyświadczaniu sobie usług. Związek ten datował się z okresu Czasu Ciemności. Sander słyszał opowiadane przez Zapamiętywaczy legendy, które głosiły, iż przodkowie Rhina byli niegdyś znacznie mniejsi, lecz tak samo inteligentni i szybko przystosowujący się do zmian. W dawnym języku nazywano ich kojotami.

Mnóstwo zwierząt i niezliczone rzesze ludzi straciły życie, gdy Ziemia zatańczyła i rozpoczął się Czas Ciemności. Przez skorupę ziemską buchnęły góry ognia, miotając płomieniami, dymem i roztopionymi skałami. Morze wdarło się w ląd z falami prawie tak wysokimi jak te góry, obracając ziemię w nicość w jednych miejscach, w innych zaś ustępując z obszarów, które zajmowało od niepamiętnych czasów. Potem nastał chłód i napłynęły ogromne, duszące chmury morowego powietrza, które zabijało. Tu i ówdzie przeżyła garstka ludzi bądź zwierząt. Lecz gdy niebiosa ponownie się przejaśniły, nastąpiły duże zmiany. Niektóre zwierzęta rosły coraz większe z pokolenia na pokolenie, a krążyły pogłoski, iż odległe gatunki ludzi są obecnie dwukrotnie większe od współziomków Sandera. Jednakże informacja ta pochodziła od Handlarzy, a powszechnie wiadomo było, iż Handlarze lubią rozpuszczać takie historyjki, by trzymać innych z dala od swych bogatych złazisk. Byli nawet gotowi wymyślić różnorakie potwory, którym musiałby stawić czoła człowiek próbujący wytropić drogę do ich kryjówek.

Sander zatrzymał się, podniósł makabrycznie zbroczoną krwią włócznię i pogrzebał nią w popiołach małego budynku. Rychło odgrzebał coś, co mogło być jedynie kowadłem — solidnym kowadłem z żelaza, niestety, stanowczo zbyt ciężkim, by mógł je zabrać. Po odkryciu tego złaziska, stanowiącego oczywisty dowód, iż

odnalazł kuźnię, począł przegarniać popiół jeszcze energiczniej.

Wkrótce dokopał się do kamiennego obucha, którego rękojeść była niemal doszczętnie spalona, lecz najważniejsza część ocalała, a potem do jeszcze jednego, o mniejszej wadze. To było wszystko, co pozostało, chociaż natrafił też na ślady metalu — jego zdaniem miedzi — stopionego z gorąca.

Uniósł rękę i wyrecytował słowa stanowiące tajemne zaklęcie kowala. Jeżeli dusza właściciela tych narzędzi, który być może leżał gdzieś pod gruzami na tyłach budynku, krążyła nadal po tym domu, jak to niekiedy bywało w przypadku zmarłych gwałtowną i niespodziewaną śmiercią, rozpozna on po tych słowach, że znajduje się tu jego kolega po fachu. Sander był pewien, że nie poskąpi mu swej własności i nie będzie przeciwny ponownemu jej użytkowaniu w celu, który może przynieść pożytek wszystkim ludziom.

Sander umieścił oba obuchy pomiędzy wiezionymi ze sobą narzędziami. Dość już poszukiwać. Niechaj martwy kowal zabierze sobie całą resztę do grobu. Z wyjątkiem tych dwóch młotów, których on nie miał, a których potrzebował.

Miał już dość tej bezimiennej osady, gdzie cuchnęło śmiercią, a duchy zmarłych krążyły prawdopodobnie po zrujnowanych domostwach. Rhin wyczuł tę decyzję, witając ją aprobującym rzeniem. Jednakże Sander nie zamierzał oddalać się od brzegu morza — jeżeli było to morze. Przemknął możliwie najszybciej między tłącymi się budynkami, unikając starannie widoku porozrzucanych wokół trupów, i wy dostał się na śliski piasek wybrzeża.

Aby znaleźć potwierdzenie, iż być może dotarł do jednego z wytyczonych sobie celów, postąpił naprzód, do miejsca, gdzie małe fale kończyły się pianą na piasku. Zanurzył palec w wodzie i polizał. Słona! A więc znalazł morze!

Jednakże nie samo morze było tym, czego głównie poszukiwał. Interesowało go ono raczej jako źródło krążących na jego temat starych przekazów. To właśnie wzdłuż morskiego brzegu usytuowana była niegdyś większość wielkich miast przeszłości. W tych to miastach spoczywały tajemnice, które usiłował zgłębić ojciec Sandera.

Pewne było, iż ludzie przed Czasem Ciemności posiadali taką wiedzę, że żyli sobie tak, jak mogą żyć dusze w niebie, z niewidzialnymi służącymi i wszelkiego rodzaju ułatwiającymi pracę sprzętami. Jednak wiedza ta zaginęła. Sander nie wiedział, ile lat dzieliło go od tamtego okresu, lecz ich suma, zdaniem jego ojca, przekraczała znacznie długość życia wielu, wielu pokoleń.

Po tym, jak ojciec zmarł od kaszlu, a Ibbets — młodszy brat ojca — odmówił Sanderowi prawa do wykonywania zawodu kowala, twierdząc, iż jest on jedynie niedoświadczonym żółtodziobem niegodnym służyć Wspólnocie, Sander zrozumiał, że musi udowodnić swą wartość nie tylko ludziom, których uważał za rodzinę, lecz także samemu sobie. Musi stać się takim fachowcem w dziedzinie obróbki metalu, że jego młody wiek nie będzie odgrywał żadnej roli, a liczyć się będzie wyłącznie to, że wiele przedmiotów będzie mogło być wykonanych według jego projektu i dzięki jego umiejętnościom. Tak więc gdy Ibbets chciał go skierować do dalszej nauki rzemiosła, on zamiast tego zażądał przyznania mu prawa do opuszczenia Wspólnoty, a Wspólnota była zmuszona przystać na to dobrowolne wygnanie.

Teraz, wskutek własnej stanowczej decyzji, został bez rodziny. A w jego sercu płonęła żądza udowodnienia iż jest, lub będzie, lepszym kowalem niż twierdzi Ibbets. Aby tego dokonać, musi się uczyć. A jest pewien, że potrzebna mu wiedza leży gdzieś w pobliżu miejsca, z którego Handlarze wybierali przywożone przez siebie, zakrzepnięte grudy metalu.

Niektóre metale mogły być obrabiane siłą samego ramienia i młota. Inne rodzaje musiały być podgrzewane, wlewane do form lub wykuwane na gorąco dla nadania im kształtu pożądanego narzędzia czy broni. Lecz były też takie, które opierały się wszelkim próbom ludzkiego oddziaływania. I właśnie ich tajemnica fascynowała Sanderą od wczesnego dzieciństwa.

Znalazł morze; teraz mógł pójść na północ lub na południe wzdłuż jego brzegu. Wiedział, że na tych terenach nastąpiły wielkie zmiany. Być może poszukiwane przez niego miasta były od dawna pogrzebane pod naniesionym przez fale mułem bądź tak zburzone wskutek trzęsienia ziemi, że niewiele z nich pozostało. Ale przecież Handlarze znajdowali gdzieś ten swój metal, a więc istniały gdzieś takie źródła — i te mógł odnaleźć.

Nadciągała noc, a on nie miał ochoty obozować w pobliżu tego na wpół zrujnowanego osiedla. Ruszył na pomoc. Nad jego głową wrzeszcząc ochryple kołowały morskie ptaki, a monotonnie przewalające się fale stanowiły cichy akompaniament do ich krzyków.

Rhin obejrzał się dwukrotnie za siebie. Zaskowyczał, a jego niepokój udzielił się Sanderowi. Co prawda wioska sprawiała wrażenie całkowicie oddanej we władanie martwym, lecz faktem było, iż Sander nie zbadał zbyt dokładnie jej ruin. A jeśli jakiś pozostały przy życiu niedobitek, być może na poły oszalały ze strachu w

wyniku najazdu, przyczał się tam i widział przybycie i odjazd Sandera i Rhina? Teraz mógłby ich tropić.

Wdrapawszy się na wierzchołek wydmy porośniętej szorstką, wyblakłą trawą, Sander zlustrował uważnie pałacę się w dalszym ciągu zabudowania. Nie ruszało się nic prócz ptaków. Nie lekceważył jednak niepokoju Rhina, wiedząc, że może polegać na jego wyostrzonych zmysłach i że ten ostrzegłby go, gdyby ktoś podążał ich śladem.

Wolałby dosiąść kojota, lecz śliski piasek stanowił tak niepewne podłoże, iż zdecydował się kontynuować drogę na piechotę. Odbił nieco od linii brzegu, gdyż leżały tam naniesione morskim prądem kawały drewna, sprawiające wrażenie zasadzki na nierozważnego podróżnego. Gdzieś w wilgotnym piasku leżały odznaczające się wyraźnie muszle, Sander nie mógł oderwać od nich oczu, chłonąc zdumionym wzrokiem fantastyczne wzory na tych klejnotach morza. Wrzucił kilka do torby przy pasku. Zachwycały go, podobnie jak jaskrawo ubarwione ptasie piórko czy gładko wypolerowany kamyk. Przez chwilę zamarzyło mu się, by oprawić je w miedź — metal, który z taką łatwością poddawał się jego zręcznym dłoniom — i sporządzić z nich taką biżuterię, jakiej nikt we Wspólnocie jeszcze nie widział.

Piasek pod jego nogami pokrywała teraz szorstka trawa, która w miarę, jak posuwał się coraz dalej, przechodziła w łąkę. Sanderowi nie podobała się ta zbyt otwarta przestrzeń. Na horyzoncie zamajaczyła ciemna linia — początek terenów zalesionych. Chociaż jego lud pochodził z otwartych równin zachodu, znali także pomocne lasy, a on sam doceniał teraz fakt znalezienia kryjówki. Jako wytrawny podróżnik potrafił jednak ocenić dzielącą go od niej odległość na tyle, by dojść do wniosku, iż nie dotrze do lasu przed zapadnięciem zmroku. Pragnął bezpiecznego obozowiska, w którym mógłby się obronić, gdyby instynkt Rhinsfiga okazał się nieomylny i przyszło im stawić czoła niebezpieczeństwu czyhającemu w ciemnościach.

Nie ośmielił się rozpalić ognia z obawy, iż stanie się drogowskazem przyciągającym kogoś — lub coś — co grasowało w tej okolicy. Usadził się więc ostrożnie na usypanym jakby specjalnie dla niego stosie skał, w którym kamienie przylegały blisko do siebie, tworząc wygodne legowisko.

Wyszarpanymi z ziemi garściami trawy wymościł sobie coś na kształt gniazda. Potem wyjął suszoną rybę i podzielił się nią z Rhinem. W normalnych warunkach kojot sam poszedłby na polowanie, lecz tej nocy wyraźnie nie miał zamiaru opuszczać Sandera.

Obserwując zapadający zmierzch, młodzieniec czuł chłód napływającego od morza nocnego wiatru. Niesione przenień dziwne zapachy tego wodnego świata wzmagaly jego niepokój. Nie słyszał jednak nic prócz plusku fal i ptasich głosów. A Rhin z czujnie nastawionymi uszami, nasłuchujący wręcz manifestacyjnie, nie demonstrował żadnych oznak rzeczywistego zagrożenia.

Pomimo zmęczenia całodzienną podróżą Sander nie mógł zasnąć. Ponad nim łukiem rozpościerało się niebo, na którym migotały gwiazdy — oczy nocy. Zapamiętywacze powiadali, iż były to inne słońca, bardzo, bardzo odległe, i że wokół nich prawdopodobnie krążyły światy takie jak ich. Lecz Sanderowi zawsze kojarzyły się one z oczyma dziwnych, wiecznie trzymających się z daleka stworów, obserwujących raczej z obojętnością niż z zainteresowaniem krótkie życie ludzi. Próbował myśleć o gwiazdach, lecz jego umysł nieustannie powracał do okropieństw widzianych w napadniętej wiosce. Drżąc zastanawiał się, jak to jest, być nagle zaatakowanym przez wychodzących z morza ludzi, pałających żądzą mordy, niszczenia, nurzania rąk we krwi?

Jak daleko sięgał pamięcią. Wspólnota tylko raz walczyła o życie przeciwko własnemu rodzajowi. Było to wtedy, gdy przerażający ludzie o jasnej skórze i dzikich, białych oczach napadli na ich stada. Poza tym walka jego ludu była głównie walką z zimnem, głodem i chorobami, nękającymi ich samych bądź ich zwierzęta. Było to raczej wojowanie z nieprzyjazną ziemią aniżeli z ludzkością. Ich kowale wykuwali do tej walki narzędzia i broń, z których niewiele miało posmakować ludzkiej krwi.

Sander słyszał opowieści o morskich rozbójnikach handlujących żywym towarem. Niekiedy myślał sobie, że one również były wymysłem Handlarzy, tworzących makabryczne historie o ziemiach, na które nie chcieli wpuścić innych. A to dlatego, że Handlarze byli powszechnie znanymi skąpcami, kiedy w grę wchodziły ich osobiste korzyści. Po dzisiejszym dniu jednak był w stanie uwierzyć, że człowiek jest nawet bardziej bezlitosny niż zimowa burza. Zaczął dygotać, nie od podmuchów morskiej bryzy, lecz wskutek podsuwanych przez wyobraźnię scen, ukazujących, co może go spotkać w tej tak niezbadanej dzicy.

Wyciągnął rękę, by dodać sobie odwagi poprzez dotknięcie kudłatego futra Rhina. W tym samym momencie kojot skoczył na równe nogi. Sander usłyszał ostrzegawcze warknięcie. Rhin nie patrzył na morze, lecz w głąb ładu. Zwierzę wyraźnie uznało, iż w ciemnościach nocy czai się zagrożenie.

Przy tak słabej widoczności miotacz strzał był zupełnie bezużyteczny. Sander

wyciągnął zza paska długi nóż, będący w rzeczywistości krótką szpadą. Mając za plecami stanowiące zwartą ścianę skały, przyklęknął na jedno kolano i nasłuchiwał. Gdzieś z przodu zdawał się dobiegać cichy syk. Rhin warknął ponownie. Teraz Sander złapał w nozdrza słaby zapach piżma. Zdawało mu się, że dojrzał jakiś cień poruszający się tak szybko, iż był tylko przelotnym wrażeniem.

Dobiegające z ciemności syczenie przerodziło się w głośny warkot. Rhin, na sztywnych nogach, postąpił krok naprzód, wyraźnie przygotowany do odparcia ataku. Sander rozpaczliwie żałował, że nie rozpałił ognia. Stawianie czoła takiemu nieznanemu zagrożeniu wzbudzało jeden z odwiecznych lęków przypisanych jego rasie.

Jednakże, wbrew jego oczekiwaniom, atak nie następował. Słyszał to prowokacyjne syczenie i wnioskował z reakcji Rhina, że uważa on to coś za groźnego przeciwnika.

Niemniej jednak, cokolwiek to było, pozostawało poza zasięgiem wzroku Sandera, w miejscu, w którym nie mógł go dostrzec na tle jaśniejszych skał. Z mroków nocy dobiegł przeraźliwy gwizd, a zaraz po nim prosto w oczy Sandera uderzył jaskrawy snop światła oślepiając go zupełnie, mimo iż obronnym gestem poderwał gwałtownie ramię, by uchronić się przed rażącym blaskiem.

Oślaniając oczy dłonią obserwował sunące — a właściwie ślizgające się — w jego stronę zwierzę; jego wijące się ciało, mimo iż pokryte futrem, przypominało węża. Stworzenie uniosło się na tylnych łapach, sycząc bezustannie. Jego głowa znalazła się niemal dokładnie na poziomie głowy Sandera. Za tym wielkim zwierzem przypadło do ziemi jego mniejsze wydanie, w o wiele ciemniejszym kolorze. Żadne z nich nie było jednak tym, które niosło światło.

— Stój! — Rozkaz wydany spoza źródła światła był stanowczym poleceniem, po którym padło następne: — Rzuć nóż!

Sander zdawał sobie sprawę, iż znajduje się o krok od śmierci, gdyż wiedział, że tylko wola mówiącego utrzymuje zwierzęta na miejscu. Mimo to potrząsnął przecząco głową.

— Nie wykonuję rozkazów nieznajomych, którzy ukrywają się w ciemnościach — rzucił hardo. — Nie jestem myśliwym ani krzywdzicielem ludzi.

— Krew woła o krew, cudzoziemcze — warknął głos.

— Za tobą potoki krwi... bratniej krwi. Jeśli jest ktoś, kto może poświadczyć, że w Padford nie pozostał nikt żywy, to jestem nim ja...

— Przyjechałem do miasta umarłych — odparł Sander. — Jeśli, o nieznajomy, łakniesz krwi za krew, poszukaj gdzie indziej. Gdy wjechałem tam z południa, zastałem jedynie trupy wśród na wpół spalonych ścian.

Światło padało równomiernie, lecz nie było żadnej odpowiedzi. Jednakże fakt, iż nieznajomy z nim rozmawiał zamiast natychmiast zaatakować, stanowił dla Sandera pewną nadzieję.

— Czy prawdą jest, że nie jesteś Morskim Rekinem? — zapytał powoli głos. Sander rozumiał słowa. Lecz akcent, z jakim były wypowiedzane, różnił się zarówno od akcentu Wspólnoty, jak i Handlarzy.

— Kim jesteś? — Głos był teraz ostrzejszy, bardziej natarczywy.

— Jestem Sander. Niegdyś należałem do Wspólnoty Jaków. Jestem kowalem.

— Taaak? — głos przeciągnął to słowo, jakby nie dowierzając. — A gdzie dzisiejszej nocy obozuje twoja Wspólnota, kowalu?

— Na zachodzie.

— A mimo to ty podróżujesz na wschód. Kowale nie są wędrowcami, cudzoziemcze. A może na swym szlaku pozostawiłeś za sobą krwawe przewiny i bratobójczą śmierć?

— Nie. Mój ojciec był kowalem. Umarł, a oni zdecydowali, że nie jestem dostatecznie zręczny, by zająć jego miejsce. Dlatego wybrałem tułaczkę. — Był coraz bardziej zirytowany. Konieczność cierpliwego odpowiadania na tę przepytówkę z ciemności wzbudzała w nim gniew. Teraz z kolei on spytał śmiało: — A ty kim jesteś?

— Kimś, kto cię nie powinien interesować, obcy człowieku — odwarknął głos. — Ale zdaje się, że mówisz prawdę, więc nie staniesz się naszą strawą dzisiejszej nocy.

Natychmiast po tych słowach światło zgasło. Usłyszał ruch w ciemnościach. Rhin zaskomlał z ulgą. Choć kojot, jeśli zechciał, potrafił być groźnym wojownikiem, najwyraźniej wołał, ażeby tamte zwierzęta i ich nadzorca, kimkolwiek był, już sobie poszli.

Sander poczuł, jak spływa z niego napięcie. Głos oddalił się, a wraz z nim odeszły dziwne psy–nie–psy służące mu do polowania. Ułożył się na powrót na swym legowisku i po chwili już spał.

Rozdział drugi

Sen Sander pełen był koszmarów, w których trupy ożywały i ruszały na niego z połamaną bronią w bezwładnych dłoniach. Co jakiś czas podrywał się spocony, zatraciwszy rozeznanie, co jest snem, a co rzeczywistością. Chwilami dochodziło go ciche powarkiwanie, dobywające się głęboko z gardła Rhina, jakby kojot węszył coś potwornego. Lecz przecież głos i światło już się oddaliły.

Z nadejściem pierwszej szarości świtu Sander gotów był do drogi. Wydawało mu się, że na tej ziemi straszy. Być może nie pogrzebane trupy wprowadzały go w ten nastrój przygnębienia. Im wcześniej oddali się z tego złowieszczonego miejsca, tym lepiej. Postanowił jednak dokonać jeszcze szybkiej lustracji terenu, na którym poprzedniej nocy majaczyły w półmroku dziwne zwierzęta.

To rzeczywiście nie był sen, ponieważ w glebie widniały odcisnięte głęboko ślady łap, z wyraźnie zaznaczonymi kształtami poduszek i pazurów. Tuż za nimi odkrył jeszcze jeden mały, wyraźny odcisk, bez wątpienia ludzki. Rhin obwąchał ślady i ponownie zawarczał. Ze sposobu, w jaki kołysał głową, wynikało niezbicie, że niezbyt podobało mu się to, co mówiły mu wyostzone zmysły. Kolejny powód, by ruszać w drogę.

Sander nie czekał nawet, żeby coś zjeść. Wskoczył na grzbiet Rhina, który puścił się kłusem w takim tempie, że wkrótce znaleźli się wśród ostrych traw nizin ciągnących się równolegle do morza. Kłus kojota poderwał do lotu kilka ptaków, Sander rozwinął więc swoją procę, przygotował kamyki i ustrzelił dwójkę uciekinierów. Gdy znajdzie miejsce, gdzie będzie mógł rozpalić ognisko, przyrządzi sobie z nich posiłek. Kierował się prosto na odległą linię lasu, niezadowolony z wrażenia ogołocenia, jakie odnosił na tej otwartej przestrzeni, uczucia, którego — choć wychowany na równinach — nigdy wcześniej nie doświadczył. Jadąc próbował dostrzec zarysy ścieżki, którą przybył głos. Lecz poza śladami, jakie odkrył rankiem w pobliżu swego zaimprovizowanego obozowiska, nie znalazł nic, co potwierdziłoby jego przekonanie, iż on i Rhin nie byli sami.

Powstrzymał się zdecydowanie od zerkania wstecz, na oddaloną już wioskę. Być może jego nocny gość powrócił tam, gdyż ze słów, jakie wymienili, wynikało niezbicie, iż nieznajomy szuka sprawców napadu na osadę. Jak on ją nazwał? Padford. Sander powtórzył to słowo na głos. Było tak dziwne jak akcent

tamtego człowieka.

Sander wiedział niewiele o ziemiach leżących poza terytorium zajmowanym przez Wspólnotę. Że takie wioski istniały, wywnioskował ze skąpych wzmianek Handlarzy. Lecz pasterze z rozległych równin na zachodzie nic na ich temat nie wiedzieli. Żałował teraz, że nie obejrzał dokładniej trupów. Usiłując przypomnieć sobie tamte widziane przelotnie ciała miał wrażenie, że ich skóra była niezwykle ciemna, ciemniejsza nawet od jego własnej, a włosy mieli wszyscy jednakowo czarne. Jego współplemieńcy o brązowym odcieniu skóry mieli włosy o zróżnicowanych kolorach: od jasnorudawożłocistego do ciemnobrązowego.

Zapamiętywacze często snuli dziwaczne, przyprawiające o zawrót głowy opowieści o tym, jak to przed Czasem Ciemności ludzie różnili się między sobą. Ich historie zawierały również inne niewiarygodne stwierdzenia — że ludzie potrafili latać jak ptaki i podróżować w łodziach pływających pod powierzchnią wody, a nie na niej. Niepodobna więc było wierzyć w każdy pozostały okrucz rzekomej dawnej wiedzy, którą z taką czcią hołubili.

Rhin zatrzymał się gwałtownie, wrywając Sandera z zadumy. Jego ciało drżało, co było sygnałem niebezpieczeństwa i informacją, że aby zmierzyć się z tym czymś, musi pozbyć się dosiadającego go jeźdźca. Sander zsunął się więc z jego grzbietu, a Rhin obrócił się błyskawicznie w stronę, z której przyjechali. Jego wargi uniosły się odsłaniając potężne kły, a wydobywający się z gardła pomruk przerodził się w groźny warkot.

Sander wepchnął procę za pas i wyciągnął miotacz. Upewnił się, że w rowku strzelniczym tkwi strzała. W pobliżu nie było żadnych skał, mogących zapewnić im osłonę. Zostali przyłapani na otwartej przestrzeni.

Widział dokładnie dwa wygięte łukowato kształty, posuwające się w jego kierunku dziwacznymi ruchami w górę i w dół, z prędkością, jaką Rhin mógłby rozwinąć jedynie w rozpaczliwym zrywie ucieczki. Za nimi biegła trzecia postać na dwóch nogach, jak myśliwy poganiający psy, choć dwa biegnące z przodu stwory w niczym nie przypominały małych psów znanych Wspólnocie. Sander przyklęknął na jedno kolano i przygotował miotacz do strzału. Serce biło mu szybko. Tamte zwierzaki, cokolwiek to było, poruszały się zwinnie, bezustannie skręcając się, wyginając i obracając, a mimo to ciągle posuwając się naprzód. Utrafić któregoś z nich strzałą było niemal niemożliwością.

— Aeeheee!

Krzyk, który się rozległ, był tak przeraźliwy jak krzyk morskich ptaków. Biegająca z tyłu postać wyrzuciła w górę oba ramiona, jakby poganiając swych włochatych towarzyszy. Sander zdecydował, że właśnie ten biegnący musi być jego celem. — Aeeeheee!

Pierwsze ze zwierząt przystało i uniosło się na tylnych łapach, wpatrując się uporczywie w kowala. Moment później Jego koleżka zamarł w podobny sposób. Pomimo to Sander nadal kurczowo ścisnął broń. Oceniał, iż odległość była ciągle zbyt duża na skuteczny strzał. Warczenie Rhina nie ustawało. Kojot przyjął postawę obronną, gotowy do odparcia ataku. Wszystko wskazywało na to, że oszacował dziwaczne zwierzęta jako straszliwych przeciwników.

Ludzki towarzysz stworów zrównał się z nimi i teraz we trójkę ruszyli w kierunku Sandera i kojota. Lecz już nie biegli. Sander wstał, z bronią gotową do strzału.

Wpatrywał się w to, co wydało mu się jednym z najdziwniejszych widoków, jakie kiedykolwiek oglądał, jako że przybysz był niezaprzeczalnie... kobietą. Zdradzało to okrycie szczupłego ciała. Podobnie jak mieszkańcy osady, miała bardzo ciemną skórę, a za jedyny przydomek służył jej kawał szkarłatnego sukna, spowijający ją od pach do kolan. Na szyi miała masywny łańcuch z miękkiego, ręcznie obrabianego złota, podtrzymujący krążek wysadzany drogocennymi kamieniami układającymi się w zawiłe wzory. Ciemne włosy były jakoś tak uczesane i usztywnione, że otaczały jej twarz jak czarna aureola. Na czole miała wytatuowany znak, bardzo podobny do tego, jaki miał sam Sander. Lecz jego znak był dumnym symbolem kowalskiego młota, podczas gdy jej stanowił jakąś gmatwaninę, której nie potrafił rozszyfrować.

Nosiła buty sięgające niemal do kolan, nie tak dobrze wyprawione jak wyroby skórzane jego ziomków, oraz skręcony ze złotego i srebrnego drutu pas, z którego zwisało na haczykach mnóstwo torebek z różnych kolorów sukna. Teraz kroczyła dumnie, z rękoma złożonymi na głowach swych zwierzątek, jak matka klanu, której należy jest szacunek.

Sander stwierdził, że zwierzęta były tej samej rasy, choć różniły się bardzo ubarwieniem i wielkością. Większy miał sierść w odcieniu kremowopłowym, mniejszy był ciemnobrązowy, z czarnymi łapami i ogonem. Zbliżając się wachlowały długimi ogonami na wszystkie strony. Sander był przekonany, że nie dzielają zdania swojej pani co do jego nieszkodliwości, gdyż były wyraźnie gotowe do walki.

Nie atakowały tylko dlatego, że ona im nie pozwalała.

Zatrzymała się w pewnej odległości od niego, lustrując go chłodno ciemnymi oczyma. Zwierzęta znów przysiadły na tylnych łapach po obu jej stronach, a łeb jaśniejszego z nich górował teraz nad jej głową.

— Dokąd idziesz, kowalu? — przemówiła władczo, a dźwięk jej głosu uświadomił mu, iż to ona była osobą przesłuchującą go ubiegłej nocy.

— Nie twoja sprawa. — Poczul się dotknięty jej tonem. Jakim prawem żądała on niego w taki sposób jakiegokolwiek odpowiedzi?

— Miałam widzenie, że nasze ścieżki od tej pory zbiegną się w jedną.

Jej oczy pałały. Napotkały jego wzrok. Nie podobało mu się jej butne przeświadczenie, iż jest on jakimś podwładnym pod jej rozkazami.

— Nie wiem, co to znaczy „widzenie” — rozpaczliwym wysiłkiem przerwał to zespolenie oczu. — To, czego szukam, jest moją prywatną sprawą.

Skrzywiła się, jakby nie dowierzając, że ośmielił się przeciwstawić jej władzy bardziej zdecydowanie, niż te syczące u jej boku bestie. Teraz był pewny, że usiłowała nad nim zapanować w jakiś niepojęty sposób.

— Tym, czego szukasz — odparła z ostrzejszą nutą w głosie — jest wiedza Poprzedniej Cywilizacji. Ja również muszę ją odnaleźć, aby mój lud został pomszczony. Jestem Fanyi, ta, która rozmawia z duchami. A to są Kai i Kayi, którzy w razie potrzeby stanowią ze mną jedność. Sprawowałam pieczę nad Padford, lecz musiałam udać się na spotkanie z Wielkim Księżycem. I w czasie mojej nieobecności — wykonała ledwie dostrzegalny gest ręką — mój lud został wymordowany, a ich wiara we mnie zniweczona. To nie powinno było się stać! — Jej wargi rozchyliły się, a pomiędzy nich wydobyło się warknięcie, tak wyraźne jak warknięcie Rhina. — Do mnie należy spłacenie tego długu krwi, lecz by to uczynić, muszę wykorzystać ludzi Poprzedniej Epoki. Powiedz mi, kowalu, czy jesteś w posiadaniu informacji, gdzie znajduje się to, czego szukasz?

Miał ogromną ochotę powiedzieć „tak”, lecz w jej spojrzeniu było coś, co mimo wewnętrznego oporu zmuszało do powiedzenia prawdy.

— Jestem Sander. Szukam jednego z Poprzednich Miast. Mogą się one znajdować na północ wzdłuż brzegu morza...

— Jedna z opowiestek Handlarzy, co? — zaśmiała się z nutą pogardy, która rozżłościła Sandera. — Na opowieściach Handlarzy nie można polegać, kowalu. Oni zawsze usiłują omamić, nie ujawniając miejsc, które uważają za źródła swoich

towarów, a tym samym dochodów. Jednakże tym razem jest to zgodne z prawdą. Na północy i na wschodzie leży wielkie miasto ludzi Poprzedniej Epoki. Jestem jedną z posiadających Moc Szamańską — nam pozostało w spadku nieco dawnej wiedzy. Jest miejsce...

— Na północnym wschodzie — sprzeciwił się Sander — rozciąga się morze. Możliwe, że twoje miasto jest teraz pogrzebane pod falami.

Potrząsnęła głową.

— Nie sądzę. W niektórych miejscach morze wdarło się głęboko w ląd, w innych wycofało swe wody z pradawnych basenów, odsłaniając na nowo obszary wcześniej zalane. Lecz — wzruszyła ramionami — niczego nie możemy być pewni, dopóki nie zobaczymy. Ty szukasz, ja szukam, lecz ostatecznie nasze poszukiwania nie są zbyt rozbieżne. Ja pragnę wiedzy jednego rodzaju, ty innego. Czyż nie taka jest prawda?

— Tak.

— Doskonale. Ja posiadam Moce, kowalu. Być może potężniejsze od tych, które trzymasz w dłoniach — spojrzała na jego broń. — Lecz podróżowanie samotnie przez te dzikie bezdroża, kiedy jest jeszcze ktoś, kto udaje się w tym samym kierunku, to szaleństwo. Dlatego proponuję ci, podróżujmy wspólnie. Podzielę się z— tobą ważnymi informacjami o lokalizacji miasta Poprzedniej Epoki.

Zawahał się. Zdawał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu jest zupełnie szczerą. Nie potrafił jednak do końca zrozumieć, dlaczego składa mu taką propozycję. Być może czytała w jego myślach, bo teraz dodała:

— Czyż nie mówiłam, że miałam widzenie? Niewiele wiem o twoim ludzie, kowalu, lecz czy nie macie wśród siebie nikogo ze zdolnością jasnowidzenia, kto w niektórych przypadkach jest zdolny zobaczyć to, co się jeszcze nie wydarzyło, a co z całą pewnością nadejdzie?

— Mamy Zapamiętywaczy, ale oni śnią o przeszłości. Handlarze, — ci powiadają, że słyszeli o takich, co przewidują przyszłość, a nie spoglądają w przeszłość.

— Spoglądają w przeszłość? — Fanyi jakby zadrżała.

— I cóż oni widzą w tej przeszłości, ci wasi szamani?

— Niektóre rzeczy z Poprzedniej Epoki, lecz tylko małe fragmenty — musiał przyznać Sander. — Przybyliśmy na te ziemie po Czasie Ciemności, a oni opowiadają o innej ich części, obecnie zalanej przez morze. Pamiętają przede wszystkim naszą

własną Wspólnotę i wyłącznie naszą przeszłość.

— Wielka szkoda. Pomyśl, ile można by dokonać, gdyby wasi wizjonerzy przeszłości potrafili odkryć zaginione rzeczy. Lecz w dużej mierze podobnie jest z nami, którzy przewidujemy przyszłość — my też możemy to robić jedynie fragmentarycznie. Dlatego wiem, że powinniśmy podróżować razem, ale poza tym niewiele więcej.

Mówiła z takim przekonaniem, że Sander czuł się niezdolny do wyrażenia jakiegokolwiek sprzeciwu, chociaż traktował podejrzliwie tę jej przesadną pewność siebie. Ta Fanyi najwidoczniej uważała, iż podejmując za niego decyzje wyświadcza mu wielki zaszczyt. A jednak, mimo wszystko, w tym co mówiła był sens. On jechał w ciemno. Jeśli ona faktycznie posiada jakieś dane na temat konkretnego zaginionego miasta, o wiele lepiej dla niego będzie podporządkować się jej przewodnictwu aniżeli wędrować samemu na oślep.

— Doskonale. — Popatrzył nieufnie na jej bestie. — Lecz czy te dwa stwory też się zgadzają? Sprawiają wrażenie mniej przekonanych o słuszności połączenia naszych sił niż ty.

Po raz pierwszy ujrzał, jak jej wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

— Moi przyjaciele zostają ich przyjaciółmi. A co z twoim kudłatym towarzyszem, Sanderze kowalu? — skinęła głową w kierunku Rhina.

Sander zwrócił się do kojota. Nigdy nie miał nad Rhinem takiej władzy, jaką posiadała dziewczyna nad swymi kompanami. Nie umiał go zdominować. Pomiędzy człowiekiem a kojotem istniała pewna nić porozumienia, lecz była ona bardzo słaba. On sam nie był pewien, jak głęboko sięga ani jak sprawnie będzie funkcjonowała w niektórych okolicznościach. Rhin brał chętnie udział w jego podróżach, pełniąc funkcję doskonałego sygnału ostrzegawczego w przypadkach zagrożenia. Ale czy kojot zaakceptuje wielodniowe bliskie towarzystwo tych dziwnych zwierząt, tego Sander w żaden sposób nie potrafił przewidzieć.

Fanyi odwróciła nieco głowę i spojrzała w oczy wyższego włochacza. Ich spojrzenia zwały się i wytrzymały przez długą chwilę, po czym stworzenie opadło na przednie łapy i wycofało się przygarbione, znikając w wysokiej trawie. Jego towarzysz pozostał niewzruszony na miejscu. Fanyi postąpiła krok naprzód, kierując teraz to samo skupione spojrzenie w jasne oczy Rhina. Sander poruszył się niespokojnie, po raz kolejny zirytowany zachowaniem dziewczyny. To, co robiła, nie było niczym innym jak narzucaniem swojej woli jego kojotowi! Kto jej dał takie

prawo!?

Znów, jakby czytając w jego zbuntowanych myślach, przemówiła:

— Ja nimi nie rządę, kowalu. Wystarczy, że nauczą się, iż do pewnego stopnia możemy współegzystować, nie narzucając sobie nawzajem woli. Moje wężacze wiedzą, że jeśli powstrzymuję siłą myśli ich działania, dzieje się tak wyłącznie z ważnych powodów. Zdarzają się sytuacje, kiedy ja akceptuję ich życzenia równie szybko, jak one akceptują moje. Nie żyjemy w układzie pan — niewolnik. Nie, jesteśmy towarzyszami. W taki sposób powinny egzystować wszystkie formy życia. Tak Moc naucza nas, którzy narodziliśmy się, by służyć jej celom. Tak, twój kojot zaakceptuje nas, ponieważ wie, że nie stanowimy dla siebie nawzajem żadnego zagrożenia.

Wężacz, który poprzednio zniknął, teraz wracał. Jego szczęki zaciśnięte były na jakimś zawiniątku, które tarłosił i włókł po ziemi, aż w końcu rzucił je pod stopy Fanyi. Dziewczyna podniosła tobolek, rozwiązała go i wyjęła prostokąt spłowiałego materiału z dziurą pośrodku. W tę dziurę wepchnęła głowę, po czym przepasała tę opończę pleconym paskiem, chowając pod nią szkarłatny przyodziewek i ozdoby.

Reszta jej wyposażenia na tę wyprawę znajdowała się prawdopodobnie w dwóch oddzielnych torbach, których uchwyty powiązane były razem. Sander wziął je od niej, gdy zamierzała je zarzucić na ramię, i umieścił na grzbiecie Rhina obok własnych. Nie mógł jechać, gdy ona szła piechotą, a oboje stanowiliby zbyt duży ciężar dla kojota. Fanyi zagwizdała dając wężaczom znak do wymarszu, a te ruszyły natychmiast naprzód, gnąc się w swych cudacznych podskokach. Po raz pierwszy Sander nieco się rozluźnił. Te stwory muszą być bardzo skuteczne jako zwiadowcy, skoro Fanyi mogła prawdziwie na nich polegać.

— Jak daleko idziemy? — spytał, stwierdziwszy, że dziewczyna dotrzymuje mu kroku bez najmniejszego wysiłku.

— Tego nie wiem. Mój lud nie podróżuje... nie podróżował — poprawiła się — daleko. To byli rybacy, uprawiali też pola wzdłuż rzeki. Przybywali do nas Handlarze z pomocy, a później i z południa. Z południa... — powtórzyła głucho. — Tak, teraz myślę, że oni zjawili się specjalnie przed najazdem, żeby zwąchać, jacy jesteśmy bezradni. Gdybym tylko była na miejscu...

— I cóż mogłabyś zrobić? — Sander był naprawdę zaintrygowany. Ta dziewczyna zdawała się wierzyć święcie, iż jej obecność, bądź raczej nieobecność, przypieczętowała los wioski. Nie mógł w to uwierzyć.

Spojrzała w jego kierunku, wyraźnie zdumiona pytaniem.

— Jestem tą, która posiada Moc. To moje myśli otaczały mój lud murem bezpieczeństwa. Nie było takiego zagrożenia, którego ja, Kai czy Kayi nie potrafilibyśmy zwietrzyć i ostrzec przed nim. Nawet wówczas, gdy z otwartym sercem i umysłem szukałam woli Wielkiego Księżyca, wiedziałam, że śmierć przyszła do tych, którzy mi uwierzyli! Ich krew, którą muszę pomścić, leży na mych rękach, tak jak na mych barkach spoczywa ciężar tego uczynku.

— Jakże' możesz się zemścić? Czyżbyś znała najeźdźców?

— W odpowiednim czasie rzucę kamieniami — jej ręka powędrowała do okrytej spłowiałą kapotą piersi. — A wtedy ich nazwiska staną się wiadome. Lecz najpierw muszę znaleźć w mieście Poprzedniej Epoki taką broń, dzięki której ci, co rozkoszowali się zabijaniem, będą żałowali, że się w ogóle urodzili. — Usta dziewczyny wykrzywił grymas okrucieństwa, a twarz jej przybrała taki wyraz, że Sanderą przeniknął chłód.

On sam nigdy nie odczuwał tak wielkiego gniewu, nawet wobec Ibbetsa, by życzyć drugiemu śmierci. Kiedy napadli na nich Biali, był zaledwie chłopcem, zbyt młodym, by odczuć na sobie skutki bitwy, nawet jeśli jego matka była jedną z ofiar. Całe jego jestestwo skupiało się na nauce tego, co mógł zrobić własnymi rękoma. A broń była dla niego jedynie kwestią pięknego, fachowego wykonania. Modelując ją rzadko myślał o celu, do jakiego zostanie użyta.

Widok, jaki ujrzał w zrujnowanej wiosce, poruszył go i przyprawił o mdłości, lecz nie dotknął go bezpośrednio. Ponieważ tamci zabici byli obcy, żaden z nich nie był mu bliski. Gdyby zdarzyło mu się odkryć pozostałego jakimś trafem za resztą jednego z bandytów, walczyłby z nim, tak, lecz głównie po to, by uratować własną skórę. Ale płomienia trawiącego Fanyi, tego nieugiętego podporządkowania wszystkiego zemście... nie, tego zupełnie nie potrafił zrozumieć. Pomyślał, że może gdyby to jego współbraci potraktowano w taki sposób, odczuwałby inaczej.

— Jaka broń może być według ciebie zmagazynowana w mieście Poprzedniej Epoki?

— Któż to wie? Krąży wiele starych opowieści. Mówią one, że niegdyś ludzie zabijali za pomocą ognia i pioruna, a nie stali czy strzał. Być może te historie to tylko bajki, ale wiedza jest bronią samą w sobie i do używania takiej broni jestem stworzona.

Z tym Sander mógł się zgodzić. Uprzytomnił sobie, że nieświadomie

przyspieszył nieco tempo, jakby sama myśl o ewentualnym istnieniu takiego magazynu z Poprzednich Dni przynaglała go do pośpiechu. Z drugiej strony wiedział, że nie należy zbyt liczyć na jego odnalezienie. Ferment, jaki nastąpił na kuli ziemskiej w Czasie Ciemności, zmienił całkowicie oblicze ziemi. Skąd mogli mieć pewność, że przetrwało cokolwiek z Poprzedniej Epoki? Kiedy napomknął o tym, Fanyi wzruszyła ramionami:

— To prawda. Lecz mimo to Handlarze mają swoje źródła.

Coś więc musiało pozostać. Mam to — obie ręce przycisnęła teraz piersi, gdzie spoczywał ukryty wisior. — Jestem w prostej linii potomkinią Szamanek. Nasza wiedza przekazywana jest z matki na córkę, lecz ubywa jej coraz bardziej. Istnieją tajemnice, które mogą być zrozumiałe jedynie w obecności tego, kto je ukrywa. Ten wisior jest sam w sobie tajemnicą. Jedynie ja, trzymając go w ręku, potrafię odczytać przekazywane przezeń informacje. Dla nikogo innego ten czar nie zadziała. Szukam z jego pomocą pewnego muru...

— A ten mur znajduje się na północnym wschodzie...

— Dokładnie tak. Już od dawna pragnęłam go odnaleźć.

Lecz moim obowiązkiem była służba memu ludowi. Musiałam koić ich bólaczki, zarówno umysłu, jak i ciała. Teraz ten sam obowiązek nakazuje mi odpłacić krwią za krew.

Jej twarz stała się tak nieprzeniknioną maską, że Sander zaniechał dalszych pytań. Podróżowali więc w milczeniu, z węzaczami bawiącymi się w zwiadowców i z Rhinem truchtającym u boku kowala.

W południe zrobili postój. Sander rozpałił małe ognisko, podczas gdy Fanyi wymieszała trochę zabranej przez niego z wioski mąki z wodą ze skórzanego bukłaka i wylała otrzymane w ten sposób ciasto na małą metalową patelnię, wyjętą z jednej ze swych toreb. Następnie umieściła patelnię nad ogniem, żeby się upiekło. Po kilku minutach zręcznie zsunęła bochenek niby—chleba. Sander piekł upolowane wcześniej ptaki, a Rhin, uwolniony od bagaży, udał się, podobnie jak węzacz Fanyi, na własne polowanie.

Posiłek był zdecydowanie lepszy od jedzonej poprzedniego wieczora suszonej ryby. Fanyi przyłożyła do ucha bukłak z wodą i potrząsnęła nim energicznie.

— Woda — powiedziała. — Będziemy jej potrzebowali z zapadnięciem zmroku.

Sander roześmiał się.

— Rhin ją znajdzie. Jego rasa jest w tym niezrównana. Widywałem, jak kojoty kopały w wyschniętym korycie rzeki i odkrywały rzeczy, których istnienia żaden człowiek by nie podejrzewał. Pochodzą z pustynnych ziem...

— Waszych?

Sander potrząsnął głową:

— Teraz już nie. Kiedyś należały do nas. Zapamiętywacze powiadają, że wszyscy pochodzimy z południa i zachodu. Kiedy przyszło morze, wszyscy przed nim uciekali, chociaż góry pluły ogniem ze swych czeluści. Niektórzy ludzie przeżyli, a potem nadeszli współplemieńcy Rhina. Mówi się, że niegdyś byli mali. Lecz kto to teraz wie, tak wiele opowiada się o Poprzednich Czasach.

— Może istnieją jakieś zapiski? — Fanyi zlizwała tłuszcz z koniuszków palców, przydając temu gestowi cech wykuintności. — Znaki takie jak ten... — wyrwała z ziemi długi korzeń trawy i jego końcem zaczęła rysować kreski na piachu. Sander przyglądał się pilnie rysowanemu przez nią wzorom. Pomyślał, że można się tu dopatrzeć podobieństwa do linii, jakie Handlarze kreślili na bielonych skórkach, gdy jego ojciec tłumaczył im, jakie rodzaje metalu mają mu przywieźć z następnej wyprawy.

— Widzisz, to oznacza moje imię — wskazała na wykonane przez siebie znaczki. — F-A-N-Y-I. To potrafię napisać. I jeszcze kilka innych słów. Chociaż — dodała szczerze — nie wszystkie rozumiem. Lecz to było częścią mojej nauki, ponieważ stanowi o mojej Mocy.

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Zakłęcie kowala stanowiło, wraz z pracą rąk, część jego nauki. Metal nie dawał się topić, utwardzać ani obrabiać, dopóki nie wypowiedziało się właściwych słów — wszyscy to wiedzieli. To z tego powodu kowalowi podczas pewnych etapów pracy mógł towarzyszyć jedynie praktykant, ażeby nikt nieupoważniony nie poznał magicznych formułek jego sztuki.

— A co będzie, jeśli znajdziesz takie znaki i nie potrafisz ich odczytać?

— Będzie to tajemnica, którą trzeba będzie rozwikłać, tak jak trzeba nauczyć się sztuki leczenia i tego, jaki jest wpływ księżycy na mężczyzn i kobiety, jak wabić ryby czy rozmawiać ze zwierzętami i ptakami. Jest to jedna z nauk Szamanek.

Sander podniósł się, by gwizdnięciem przywołać Rhina. Nauki Szamanek zbyt go nie interesowały. A to, czy tajemnice kowalstwa zostały zredukowane do takich znaczków... W to nie uwierzy nigdy, dopóki nie ujrzy tego na własne oczy. Od lasu nadal dzieliła ich spora odległość, a on nie pałał wielką ochotą, by kolejną noc

obozować w szczerym polu.

Zadeptał ostatnie tłące się w małym ognisku węgielki, przysypał starannie ziemią popioły, jak zrobiłby każdy mieszkaniec równin. Groźba pożaru traw na odsłoniętym terenie była dla niego jedynym niebezpieczeństwem, bardziej realnym niż takie najazdy jak ten, którego dokonano na wioskę. Widział skutki takiego spustoszenia i poznał całą jego groźbę, gdy znaleziono dwóch ludzi klanu złapanych przez ten żywioł i uśmierconych w szponach czerwonej furii, której żaden człowiek nie mógł umknąć.

Ruszyli w dalszą drogę. Choć Rhin stawiał się natychmiast na wezwanie Sander'a i dał się ponownie objuczyć bagażami, to wężaczy nadal nie było w zasięgu wzroku. Fanyi jednak zdawała się nie zwracać uwagi na nieobecność swych zwierząt. Być może zawsze tak podróżowali.

Zapadał wieczór, kiedy za zasłoną z krzaków zamajaczyły przed nimi drzewa. Sander zdecydował się na postój, po raz pierwszy zastanawiając się nad słusnością swego wyboru.

Miejsce pod tą zieloną narzutą, dotkniętą już gdzieś płomieniami jesieni, wyglądało ponuro i odpychająco. Może lepiej byłoby zostać na noc na otwartej przestrzeni a w te chaszcze wejść rano, niż błądzić w nich w zapadającym zmroku.

— Gdzie są Kai i Kayi? — spytał dziewczynę.

Przykucnięta na piętach uniosła wzrok w górę.

— Zajmują się własnymi sprawami. Jak już powiedziałam, nie rządzą nimi. Ten las — wskazała przed siebie uniesionym podbródkiem — z pewnością im się spodoba. To nie są stworzenia nawykłe do otwartych przestrzeni, mają raczej pociąg do drzew.

Cóż, jeśli rzeczywiście tak było, jakie to miało dla niego znaczenie? A jednak im intensywniej wpatrywał się w tamtą ciemność przed nimi, tym mniejszą miał ochotę wkroczyć w nią, mając za jedynego przewodnika gasnące światło dnia.

— Zostaniemy tutaj na noc — oświadczył, po czym natychmiast zastanowił się, czy ona zgodzi się, by podejmował decyzje.

— Jeśli tak sobie życzysz — odpowiedziała krótko, podnosząc się, by ściągnąć swoje torby z grzbietu Rhina.

Rozdział trzeci

Sander rozpiął troki, ściągnął z kojota багаż i rozsiodłał go, po czym Rhin wyruszył leniwie w noc, w poszukiwaniu pożywienia dla siebie. Żaden z węzaczy nie powrócił i Sander zaczął się zastanawiać, czy wpływ Fanyi na zwierzęta był rzeczywiście tak przemożny, jak początkowo sądził. Jednakże dziewczyna nie okazywała żadnych oznak troski. Wyślizgnęła się ze zszarzałej narzuty, a pierwsze błyski płomieni ogniska zmieniły jej pas i naszyjnik w skrzące się złotem obręcze.

Tak jak poprzedniego wieczora, przyrządziła z mąki ciasto i piekła na cienkiej patelni, podczas gdy Sander sprawdzał skrupulatnie swój zapas strzał. Zamierzał wkroczyć w ciemną czeluść lasu z przygotowaną bronią. Potem zebrał na skraju lasu tyle drewna, żeby ułożona z niego sverta wystarczyła na całą noc.

Doglądając pieczenia, Fanyi zaczęła coś nucić. Słowa były dziwne. Raz po raz Sander wyłapywał jakieś, które coś znaczyło, lecz reszta brzmiała tak, jakby śpiewała w sobie tylko znanym języku.

— Czy twój lud zawsze mieszkał nad rzeką? — przerwał jej bezceremonialnie, zwalczając senność, w jaką wprawiało go jej zawodzenie.

— Nie zawsze. Czy są ludzie, którzy zawsze mieszkali na jednym terenie? — odpowiedziała pytaniem. — Czyż nie zostaliśmy wszyscy oderwani od naszych korzeni, rozproszeni, zesłani na tułaczkę przez Czas Ciemności? Historia mego ludu głosi, iż byliśmy na statku na morzu, gnani bardzo daleko, po czym zniesieni w głąb ładu przez wody, które zalały świat. Wielu spośród znajdujących się na pokładzie zmarło lub zmyły ich jęzory fal. Kilkoro jednak przeżyło. Kiedy morze się cofnęło, statek osiadł na lądzie. Było to za panowania Margee, matki Nany, a Nana była matką Flory, która z kolei urodziła Sannę — powoli recytowała imiona, więcej niż mógł zliczyć, aż wreszcie zakończyła: — A ja jestem rodzoną córką czwartej Margee. Ludzie ze statku napotkali innych wędrowców i tak narodziło się Padford, za panowania matki mojej babki. Przedtem mieszkaliśmy nad morzem, na południu. Przenieśliśmy się jednak na północ, gdyż na południu zagościło zło. Narodziła się tam nagle nowa góra, która, tak jak w Czasie Ciemności, pluła ogniem i odłamkami skał, tak że wszystko co żywe musiało uciekać lub narazić się na śmierć. A jak było z twoim ludem, Sanderze kowalu?

— Jak już mówiłem, przybyliśmy z południa i z zachodu. Nasi

Zapamiętywacze wiedzą, lecz są oni jedynymi posiadaczami tej wiedzy. Ja jestem kowalem — wyciągnął obie ręce w świetle ogniska, wyginając silne palce. — Moje tajemnice nie są ich tajemnicami.

— Każdy ma swoją własną tajemnicę — pokiwała głową, zsuwając zręcznie chlebki z patelni i podając mu jeden.

— Mówi się, że pierwsza Margee miała moc uzdrawiania, którą przekazała swoim spadkobierczyniom. Lecz posiadamy także inne moce. — Odgryzła kawałek okrągłego, gorącego chlebka, przy każdym ruchu siejąc snopami iskier odbijających się od jej ozdób. — Powiedz mi — odezwała, się przeżuwszy i przełknąwszy — dlaczego wybrałeś wygnanie, odcinając się od swego rodu, aby szukać czegoś, czego możesz nigdy nie znaleźć? Czy dlatego, że straciłeś twarz, gdy twój lud nie mianował cię kowalem?

W jakiś niewytłumaczalny sposób potrafiła wymusić na nim prawdę.

— Zostałem odpowiednio przygotowany i sprawdzony.

Zdaniem ojca nadawałem się na jego następcę. Lecz Ibbets był jego bratem i od dawna pragnął być kowalem. Jest wystarczająco dobry — Sander musiał to przyznać, choć wypowiadając te słowa czuł urazę i żal. — Jednak on bazuje tylko na tym, co zostało zrobione wcześniej, sam nie wniesie nic nowego. Ja zdobywałem ciągle nową wiedzę, chcąc wyjaśnić to, co niepojęte. Dlaczego z niektórymi metalami nie potrafimy się obchodzić, chociaż Poprzedni Ludzie potrafili? Jakie tajemnice zginęły wraz z nimi? Mój ojciec wiedział, że takie pytania tłukły mi się po głowie, lecz zawsze powtarzał, że kowal ma obowiązki wobec Wspólnoty. Nie wolno mu wyruszać na tułaczkę w poszukiwaniu czegoś, co może nawet wcale nie istnieje. Kiedy ojciec zmarł, Ibbets przekonał radę, że jestem młodzikem z głową przepełnioną mrzonkami, zbyt lekkomyślnym, by zostać pełnoprawnym kowalem. On... — wargi Sandera zacisnęły się — on wspaniałomyślnie zaofiarował się przyjąć mnie na praktykanta. Praktykanta! Mnie, który byłem uczniem o wiele większego mistrza obróbki metalu niż jemu się kiedykolwiek śniło! Był zazdrosny o mego ojca, lecz we mnie dostrzegał swą szansę myśląc, iż bez wątpienia przekażę mu całą kowalską magię. Więc zdecydowałem się na banicję. Niech tylko poznam tajemnice Poprzednich Ludzi, a sprawię, że to Ibbets będzie przy mnie praktykantem!

— A więc to tego pragniesz najbardziej — upokorzenia przed twą Wspólnotą człowieka, który upokorzył ciebie? — spytała, strzepując z siebie palcami okruszyny chleba.

— Nie chodzi tylko o to. Pragnę także poznać tajemnice kowalstwa — na nowo ożyły w nim stare tęsknoty. — Chcę wiedzieć, jak oni pracowali, że potrafili dokonać o tyle więcej niż my. Czy naprawdę posiadali tak wielkie umysły, że nauka, której my nie możemy pojąć, była dla nich łatwa? Że tam, gdzie my musimy szukać mozolnie i długo, oni w mgnieniu oka wiedzieli, który sposób jest dobry, a który zły? Niektórzy ignoranci — za takich uważał ich mój ojciec — mówią obecnie o ludziach, którzy posiadli tak ogromną wiedzę, że Wielka Moc myślała o starciu ich z powierzchnią ziemi, iż byli z gruntu zli, i dlatego musieli zostać stopieni, tak jak topi się kawałki kruszców, by zrobić nowy odlew. Może i tak było. Ale ja chcę się dowiedzieć, czego mogę się nauczyć...

— A wasi Zapamiętywacze nie mogą ci pomóc?

Sander potrząsnął głową:

— Nie byliśmy ludem zamieszkującym wielkie miasta. Byliśmy raczej rozrzućeni po ziemiach w dużej mierze pozostawionych samym sobie. Zawsze byliśmy pasterzami wędrującymi za swoimi stadami. Nasi Zapamiętywacze wspominają ferment w naszym kraju, i to, jak garstka ludzi z kilkorgiem zwierząt uciekła i przetrwała. Jeżeli zaś chodzi o wiedzę sięgającą dalej, znam wyłącznie nauki mego klanu, jako że jesteśmy z rodziny kowali i nie byliśmy ze Wspólnotą od początku jej istnienia. Nasz pierwszy człowiek wyszedł z puszczy i przyłączył się do tamtych wędrowców, tułających się już niemal przez jedno pokolenie, uciekających przed końcem wszystkiego, co znali. To, co zatrzymaliśmy, nie jest wiedzą klanu, lecz umiejętnością wykorzystywania własnych rąk.

Siedziała na podwiniętych pod siebie nogach, przebierając palcami po małych, zawieszonych u pasa torebekach. Pokiwała głową.

— Wiedza, konieczna do utrzymania życia w ludzkim ciele, została zachowana. Lecz wszystko sięgające poza to było często zapominane. Niemniej jednak żałuję, że nie mogę porozmawiać z waszymi Zapamiętywaczami. Można się wiele nauczyć nawet z nieznanymi słowami, które mogą coś znaczyć. Istnieją takie słowa w wielu rzeczach, czynnościach, nie wiemy jednak, co oznaczają. — Potrząsnęła leciutko głową. — Tak wiele zginęło. Jeszcze więcej odejdzie z tamtymi Morskimi Rekinami.

Zaokrąglona linia jej podbródka zastygła w bezruchu, gdy wpatrywała się ze smutkiem w ogień.

— Dobrze się żyło w Padford — mówiła, jakby upewniając samą siebie co do

przeszłości, jakby nieświadoma jego obecności. — Powierzchnia naszych pól uprawnych zwiększała się z każdym rokiem. Nie musieliśmy już, tak jak na początku, gdy się osiedliliśmy, polegać wyłącznie na szczodrości morza, które niekiedy okazywało się kapryśne. Handlarze przybywali w środku lata. Moja matka dwukrotnie targowała się z nimi o książki, prawdziwe książki, tamte zapiski sporządzone przez Poprzednich Ludzi. Czytała je — troszkę — a to, czego się dowiedziała, przekazała mnie. Gdyby dano nam czas, mogłybyśmy dowiedzieć się o wiele więcej.

Zakryła dłonią wisior na piersiach.

— To był prezent dla niej od tego, który mnie spłodził. Przyjechał z Handlarzami, lecz nie należał do ich rodu. Był raczej przybywającym z dalekich stron poszukiwaczem zaginionej wiedzy. Sam tworzył książkę, zapisując wszystko, czego się nauczył, ponieważ jego klan był klanem najmądrzejszych ludzi, o jakich słyszałam. I, na wypadek gdyby matka urodziła dziecko, zostawił ten wisior, by pomógł temu dziecku dotrzeć do głębszego źródła wiedzy. Powierzył jej sekret tego wisiora...

Gdy umilkła, Sander nie mógł powstrzymać się od zadania pytania:

— Co się z nim stało?

— Umarł — odparła znużona. — To była jakaś choroba, dojmujący ból, który go trawił. On znał jego tajemnicę: wiedział, że pewna część jego ciała była dotknięta chorobą i powinna być wycięta. Lecz moja matka nie umiała tego zrobić. Tak więc zmarł. A potem ona przysięgła na Wielki Księżyc, że dziecko, które urodzi, musi się uczyć i jeszcze raz uczyć, by dawna wiedza mogła na nowo zostać wykorzystana w służbie jej ludowi. Lecz obydwie byłyśmy związane z naszym rodem, nie mogłyśmy samowolnie wyruszyć na poszukiwanie tej wiedzy. Musiałyśmy być z nim, aby przemawiać do wód podczas wypływania łodzi rybackich w morze, błogosławić zasiewy pól, by rodziły więcej ziarna. Był to nasz obowiązek, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Teraz, gdy mego ludu już nie ma, udaję się na poszukiwanie tego, co ten klucz otworzy — nadal obracała w palcach wisior.

— Lecz zaklinam się na Wielki Księżyc, że zrobiłabym wszystko, by to moje szukanie nie odbywało się takim kosztem.

Zapadła noc. Jedyne ognisko tworzyło zaporę dla tłoczących się wokół cieni. Sander podniósł się i zagwizdał przenikliwie uświadamiając sobie nagle, że Rhin jeszcze nie wrócił. Kiedy kojot nie zaszczekał w odpowiedzi, poczuł ogarniający go niepokój. Może Rhin polując zapuścił się za daleko? Było to naturalne, że niekiedy

spędzał pół nocy ganiając własnymi ścieżkami. Jednak na tej obcej ziemi Sander pragnął mieć go przy sobie.

— Nie ma go w pobliżu. — Głos dziewczyny brzmiał spokojnie. — One mają własne życia, te futrzaste stworzenia. Nie możemy od nich wymagać więcej, niż dają dobrowolnie.

— Nie podoba mi się to — wymamrotał Sander, choć musiał jej przyznać rację. Jego związek z kojotem oparty był na dobrowolności z obu stron. Zmuszać Rhina, oznaczało stracić go. Mimo to czuł się nieszczęśliwy, moszcząc się do drzemki przy ognisku, i potem, budząc się co jakiś czas, by dorzucić gałęzi do ognia.

Dziewczyna nie od razu ułożyła się na legowisku sporządzonym z dziennego okrycia. Zamiast tego wyjęła z jednej z torebek u paska cztery małe, białe kostki z kropkami po bokach. Wyglądziwszy w jednym miejscu materiał opończy, rzuciła kostki energicznym ruchem tak, że pokulały się na przygotowane miejsce i ułożyły jednym bokiem do góry. Pochyliła się nad nimi, licząc skrupulatnie widoczne na wierzchnich ściankach kropki, po czym zmarszczyła czoło. Zgarnęła kostki i rzuciła je ponownie. Rezultat najwidoczniej znów jej nie usatysfakcjonował, podobnie jak i trzecia próba. Zmarszczki na jej czole pogłębiły się, gdy chowała kostki na powrót do torebki. Przez jakiś czas siedziała wpatrując się w ogień i mrucząc coś pod nosem. Sander miał wrażenie, że są to słowa jej Mocy, nie przeznaczone dla obcych uszu.

W końcu westchnęła i skuliła się na swoim płaszczu, jakby robiąc z konieczności coś, do czego nie była przekonana. Pomyślał, że zasnęła. Jeśli nawet była zaniepokojona nieobecnością swoich zwierząt czy zaginięciem Rhina, nie dawała tego po sobie poznać.

Kojota nie było również, kiedy z nastaniem brzasku Sander rozprostowywał zdrętwiałe kończyny. Był spragniony, a ciężar skórzanego bukłaka wskazywał na to, że jest już prawie pusty. Tym, na czym Sander polegał w kwestii zlokalizowania jakiegoś strumienia czy źródła, był instynkt Rhina, a Rhina nie było. Oczywiście kojot mógł bez trudu odnaleźć ich trop i podążyć za nimi, gdyby ruszyli w dalszą podróż, lecz Sander potrzebował go teraz. Zagwizdał ponownie; jego wezwanie wywołało odzew, jednak nie w postaci krótkiego szczeknięcia, jakie miał nadzieję usłyszeć, lecz w formie skrzeczenia jakiegoś ptaka w lesie.

Fanyi usiadła. Z jednej ze swych torebek wyciągnęła garść suszonych, ciemnoczerwonych owoców i precyzyjnie podzieliła je na dwie porcje.

— Twojego włochacza nie ma w pobliżu — powiedziała.

— A twoje są? — zapytał niespodziewanie szorstko.

— Nie bliżej niż twój. Sądzę, że polują tam — wskazała brodą w kierunku lasu. — Jak już mówiłam, przepadają za drzewami.

— Czy one potrafią znaleźć wodę? — potrząsnął lekko bułakiem, by podkreślić tę konieczność.

— Jeśli zechcą... — Odpowiedź Fanyi była tak spokojna, że aż irytująca. — Są jednak inne sposoby. Znam kilka z nich. Wygląda na to, że musimy teraz sami dźwigać nasze manatki — obrzuciła spojrzeniem niesione przedtem przez Rhina bagaże. — Cóż, dla mnie to nie nowina.

Rozpostarła na ziemi opończę i zaczęła zawijać w nią wszystkie pakunki, formując z nich zgrabny tobołek.

Sander dwoma pospieszonymi łykami uporał się z suszonymi owocami. Miały cierpki smak, a mała porcja nie wystarczyła do zaspokojenia dręczącego go głodu. Miał nadzieję że w lesie, do którego zmierzali, uda mu się ustrzelić Jakiego zwierzę. Potrzebował siły, jakiej mógł mu dostarczyć taki mięsny posiłek.

Usiłował teraz sporządzić tobołek, używając derki służącej za podkład dojazdowy na Rhinie, do spakowania wszystkich rzeczy. Najcięższe były narzędzia kowalskie i w duchu wściekał się na nieobecność kojota. Rhin był nie tylko groźnym wojownikiem, lecz także rączyim biegaczem. Sander poczuł ukłucie złego przecucia. Nie wiadomo, na co mogą natrafić w tym nowym kraju. Nie miał też pojęcia, jak odnaleźć kojota, jeśli zwierzę popadło w jakieś tarapaty.

Toból na ramionach ciążył mu niesłychanie. Był jednak zdecydowany nie narzekać, gdyż łatwość i pewność siebie, z jaką Fanyi maszerowała naprzód w gęstniejący cień drzew, stanowiła poniekąd wyzwanie. Sander posuwał się przed siebie z miotaczem strzał gotowym do użytku.

Drzewa były bardzo duże, z potężnie rozgałęzionymi koronami. Niektóre liście żółkły już lub czerwieniały, tu i ówdzie kilka szybowoło w dół, by dołączyć do spoczywających od wieków w ściółce towarzyszy, tworzących miękkie, tłumiący odgłos kroków kobierzec.

Po raz pierwszy Sander uświadomił sobie coś, czego nie przewidział. Na otwartych równinach mógł skupić się na jakimś punkcie orientacyjnym jak na drogowskazie i według niego posuwać się naprzód. Tutaj, gdzie wszystkie drzewa były do siebie podobne, trudno było mieć pewność, iż kieruje się na właściwą ścieżkę, a nie kręci w kółko.

Sander przystanął. Może lepiej byłoby trzymać się morskiego brzegu. Wiadomo było przynajmniej, że idąc wzdłuż niego nie można zabłądzić. Fanyi zwolniła, spoglądając na niego przez ramię.

— Co się stało?

Wstydził się własnej niewiedzy, lecz musiał się do niej przyznać.

— Nie wiem, którądy iść i czym się kierować. Tutaj wszystko jest do siebie podobne.

— Jest jednak coś. Byłam kiedyś w tych stronach, jest tu droga... droga na północ...

Droga? Od początku wspólnej podróży była tak pewna siebie i przemawiała z takim przekonaniem, iż musiał wierzyć, że wie, co robi. Ale droga...!

Fanyi przywołała go skinieniem ręki, więc z wahaniem podążył za nią. Oglądając się za siebie nie widział już nic prócz drzew. Nie był też pewien, dokąd zaprowadzi ich ta płatanina konarów i zwisających nisko gałęzi. Ona jednak nie okazywała zakłopotania.

Zaledwie chwilę później wyszli na bardziej otwartą przestrzeń. Zwały zmieszanych z ziemią liści nie całkiem zakrywały tutaj zeszeconą dziurami, ulegającą szybkiemu niszczeniu przez wypelzające, atakujące ją z obu stron korzenie, lecz bez wątpienia sztuczną nawierzchnię.

Droga ta biegła prosto, a obramowujące — czy też raczej atakujące — ją drzewa były jeszcze całkiem młode, tak więc było tu jasno i przestronnie i widać było spory szmat terenu przed nimi. Fanyi skinęła na niego:

— Widzisz? Jest tak, jak mówiłam. To droga z Poprzedniej Epoki. Dość mocno nadgryzł ją zęb czasu, ale nadal jest co oglądać. Tutaj zakręca — wskazała ręką w lewo na zachód. — Przebiega tamtędy, lecz od tego miejsca biegnie na północ, przynajmniej tak mi wiadomo...

Sander odnalazł ślady dawnego zakrętu; droga chyba nigdy nie znajdowała się na otwartej przestrzeni. Zastanawiał się, dlaczego. Wydawało mu się, że o wiele łatwiej jest zbudować taką autostradę przez równiny, aniżeli w matni lasów. Poza tym była węższa od dwóch wielkich dróg, na jakie natknęła się Wspólnota w czasie swych wędrówek (Mattiey kiedyś przemierzył jedną z nich wszcz krokami). Były tak szerokie, że nawet Zapamiętywacze nie byli w stanie powiedzieć, jak nieprzebrane musiały być rzesze ludzi, skoro używały takich dróg.

Nawierzchnia tutaj była tak wyboista, że musieli iść wolno i ostrożnie, żeby

nie wpaść na jakąś przeszkodę lub nie skrzyć nogi w jakiejś zarośniętej dziurze. Jednak droga ta doprowadziła ich do wody.

Sander usłyszał odgłos strumienia, zanim jeszcze dotarli do wyszczerbionej krawędzi przęśła spinającego niegdyś jego brzegi. Nad nakrapianą słońcem powierzchnią tańczyły małe muszki, stanowiąc żer dla innych, o wiele większych owadów. Nurt był bardzo bystry, a strumień tak czysty, że widać było brązowe kamienie tworzące jego koryto. Zostawił swój bagaż przy Fanyi i z bukłakiem w ręce zsunął się na dół, by wypłukać pojemnik, a następnie napełnić go po brzegi.

Ponieważ most praktycznie nie istniał, wykorzystali jego zielone od wodorostów i wypłukane przez wodę szczątki w charakterze stopni, po których przepawili się na drugą stronę. Podniesiony na duchu zaspokojeniem najbardziej palącej potrzeby, czyli znalezieniem wody, Sander zaczął się poważnie rozglądać za sposobem zaspokojenia kolejnej potrzeby — głodu.

Ptaków było mnóstwo, lecz wszystkie małe i pochowane gdzieś wśród drzew, z wyjątkiem tych, które ukazywały się w przelocie z gwałtownym trzepotem skrzydeł. Od momentu, gdy wkroczyli do tego lasu, nie widział żadnych zwierząt. I choć teraz niezwykle uważnie obserwował strumień, pod jego i szklaną taflą nie zauważył jakiegokolwiek ruchu. Wyglądało na to, że nie było w nim ryb mogących służyć za pożywienie.

Nagle Fanyi uczepiła się jego ramienia, niemal wywracając go do wody. Kiedy odwrócił głowę, by ją ofuknąć, zaskoczył go wyraz jej twarzy. Była najwyraźniej zasłuchana!

Rhin! Niewyobrażalnie ciężkie brzemie spadło mu z serca. Ściągnął wargi, by przywołać kojota gwizdem. W tym samym momencie ręka Fanyi wystrzeliła do jego ust, naciskając je mocno w geście bolesnego uciszenia.

Teraz on nadstawił uszu, aby uchwycić to, co ona usłyszała, a co — jak zgadywał z jej zachowania — stanowiło straszne zagrożenie.

Był to niezupełnie dźwięk, raczej pulsowanie powietrza zrodzone przez dźwięk bardzo, bardzo daleko. Oderwał jej palce od swoich ust i spytał niemal szeptem:

— Co to jest?

Zmarszczyła czoło, podobnie jak poprzedniej nocy, kiedy to rzucając kostkami usiłowała z nich wyczytać jakieś prococtwo.

— Nie wiem — odpowiedziała ledwie dosłyszalnie. — Ale to ma jakąś Moc.

Tego jestem pewna.

O Mocach, którymi się chełpiła, nie wiedział praktycznie nic. W jego Wspólnocie był uzdrowiciel. Ale tamten wiedział jedynie, jak nastawiać kości, goić rany i używać ziół do leczenia chorób, nic ponadto. Członkowie jego ludu mieli też mgliste pojęcie o istnieniu Opatrzności silniejszej od nich samych. Jednakże mało prawdopodobne było, by zawracała sobie Ona głowę człowiekiem. Gdyby było inaczej, nie zesłano by Czasu Ciemności, aby niemal całkowicie wytepić rodzaj ludzki. Gdyby ta Opatrzność troszczyła się o człowieka, Poprzedni Ludzie nie powołaliby też do życia pokolenia bratobójców. Wspólnota kilkakrotnie podejmowała rozważania na ten temat, dochodząc w końcu do wniosku, że jeśli rzeczywiście tak było, to lepiej, aby człowiek nie odwoływał się do takiej Opatrzności ani jej nie czcił.

Sander pomyślał, że z Fanyi mogło być inaczej. Niektóre jej zdolności, takie jak jasnowidzenie, były mu obce. W dodatku na ziemi mogły żyć obecnie inne społeczności, nie tak wystrzegające się tej Opatrzności, które mogły z nią zawrzeć jakiś pakt. Od nich mogły pochodzić te Moce, o których z takim przekonaniem mówiła. A ponieważ ta ziemia nie była jej obca, zgadzał się chętnie, by go prowadziła — aż do celu.

— Co za Moc? — wyszeptał ponownie.

Wzięła do ręki wisior i trzymając go w dłoni wpatrywała się w niego, jakby pobłyskujące na jego powierzchni punkciki światła mogły jej dać odpowiedź.

Czekając aż się odezwie Sander zaczął się zastanawiać, czy aby nie znajdują się w pobliżu jej legendarnej skarbnicy wiedzy, i czy to promieniowanie — czymkolwiek było — nie jest sygnałem jej istnienia. Jednak niezależnie od tego, co Fanyi myślała, nie była zadowolona z informacji, jakie uzyskała spoglądając na wisior. Potrząsnęła powoli głową.

— To nie jest to, czego szukamy. — Jej słowa brzmiały stanowczo. — Przed nami jest jakaś ciemność. A przecież to ta droga...

— Możemy zawrócić — zauważył Sander. — Łatwiej będzie iść wzdłuż brzegu morza. Powinniśmy byli spróbować tego w pierwszej kolejności. — Las, stanowiący wcześniej zapowiedź bezpiecznego schronienia, zaczynał sprawiać wrażenie pułapki. Nie miał ochoty w nią wpaść. Wolał znaleźć się na otwartej przestrzeni, gdzie można było zauważyć nadciągającego nieprzyjaciela, nawet jeżeli samemu było się również wystawionym na jego widok. — Chodźmy! — jego dłoń zacisnęła się wokół jej ręki.

Raz jeszcze obrzuciła wisior przeciągłym spojrzeniem, po czym pozwoliła mu opaść na piersi.

— W porządku — zgodziła się.

Spodziewał się oporu, więc ulżyło mu, że tak łatwo ustąpiła. Być może wyczulone zmysły Rhina już wcześniej ostrzegły zwierzę przed tym zdrzewionym miejscem, i dlatego odłączyło się od nich.

Ponownie przepawili się po kamiennych szczątkach mostu przez strumień i błyskawicznie wdrapali się z powrotem na drogę. Teraz już bez ustanku Sander był świadomy tamtego odległego dudnienia. Wydawało mu się, że jest to łomot jego własnego serca, walącego tak, że wywoływało to wibracje w całym ciele. Nie małało nawet w trakcie ucieczki, pozostając niezmiennie, jakby jego źródło utrzymywało się ciągle w tej samej odległości za nimi, podążając w równym tempie ich śladem.

Zasadzka objawiła się niespodziewanie, kiedy dotarli do zakrętu starej drogi, i to z kierunku, z którego Sander najmniej się spodziewał. Gdy przechodzili pod rozłożystymi gałęziami jednego z ogromnych drzew, opadła na nich płatanina sieci. Zanim Sander zdołał podjąć walkę, sieć została mocno zaciśnięta, usidlając go bez nadziei na jakąkolwiek swobodę ruchów. Sznurki sieci nie były znanymi mu od zawsze, splecionymi ze skóry linami. Były za to pokryte jakąś lepką substancją, która, raz dotknięta, przywierała mocno, nie dając się odkleić. Każdy ruch uwięzionych powodował jeszcze gorsze zaplątanie.

Nie mógł dosięgnąć noża, nie mógł nawet odrzucić bezużytecznego w tej sytuacji miotacza strzał, który przykleił mu się do rąk. Kolejne nagłe i silne szarpnięcie zbiło go z nóg i wylądował twarzą na kobiercu z gnijących liści. Z wysiłkiem odwrócił głowę na tyle, by to duszące paskudztwo nie zatykało mu nosa i ust, i wtedy kątem oka dostrzegł tych, którzy z tak dziecinną łatwością ich pojмали.

Świergoląc opadali z gałęzi drzew, powiększając szeregi tych, którzy znajdowali się już na ziemi. Byli mali i mieli futra w łatki. Za ubrania służyły im jedynie krótkie fartuszki, utkane z lian. Tylne części ich rąk i nóg pokrywała sierść, która porastała też plackowato klatki piersiowe i ramiona oraz kłębiła się bujnie na wydętych ponad podtrzymującymi fartuszki sznurkami z lian brzuszyskach. Ich twarze dla odmiany były bez zarostu. Lecz pozostając w ostrym kontraście do oliwkowej cery prześwitującej spod i wśród ciemnego owłosienia, były one czerwone i pomarszczone.

Sander nie rozumiał nic z ich świergoczącej mowy i nie zauważył żadnej

broni, poza drewnianymi pałkami. Jedną z nich zobaczył dokładnie w momencie, gdy opadała na niego. Kiedy uderzenie trafiło w cel, miał wrażenie, że głowa pęka mu na kawałki z bólu, lecz nie stracił przytomności.

Zaplątany w sieć, był unoszony ku górze. Kwaśny odór ciał mieszkańców lasu przyprawiał go o mdłości. Ciągając go do góry pochrząkiwali, jakby protestując w ten sposób przeciw jego ciężarowi. Jeden z nich musiał zauważyć, że Sander ma otwarte oczy i zachował resztki świadomości, ponieważ ten leśny człowiek (jeśli rzeczywiście można ich było określać mianem ludzi) przybliżył do niego purpurową gębę i zawarczał. Potem potrząsnął znacząco kijem tuż nad głową więźnia. Sander nie potrzebował dalszych aluzji. Dać się zbić na miazgę tutaj i teraz nie służyło żadnemu celowi. Postanowił leżeć bez ruchu.

Rozdział czwarty

Obwiązany ciasno jak pakunek, leżąc w dalszym ciągu na plecach, Sander czuł, że jest ciągnięty w górę. Wyglądało na to, że ich prześladowcy należą do stworzeń traktujących drzewa jako naturalne arterie komunikacyjne. Kował był pełen złych przeczuć, gdy huścili nim w powietrzu transportując z drzewa na drzewo; był przekonany, że prędzej czy później spadnie i rozbije się o ziemię. Ból w głowie powodował, że czuł się kompletnie oszołomiony. W końcu zacisnął mocno powieki, zdecydowany zebrać siły na ewentualny wysiłek, jaki może go czekać na końcu tej koszmarniej podróży.

Nie miał wątpliwości, że Fanyi przypadł w udziale ten sam los, nie słyszał jednak żadnego pochodzącego od niej odgłosu. Czyżby przed porwaniem w ten szalony taniec w powietrzu pobili dziewczynę do nieprzytomności? Było dla niego jasne, że jeśli nawet wiedziała co nieco o tych leśnych obszarach, to nie przewidziała obecności tych dzikusów.

Na poły zamroczony umysł Sandera odnotował, że nie należeli oni chyba do gatunku ludzkiego. Nie można ich też było zakwalifikować do tych zwierząt, z którymi człowiek przez lata nawiązał wzajemne porozumienie. Pochylająca się nad nim warcząca czerwona morda miała w małych ślepkach wyraz tępego okrucieństwa, a smród buchający od tych kreatur dławił go.

Sander zdawał sobie sprawę, że posuwają się w głąb lasu. Tamta wibracja nabrzmiewała w jego ciele, tak że serce waliło jak po morderczym biegu. Nawet Handlarze nigdy nie wspominali o czymś takim.

Puk... puk...

Nadal nie było słyhać dźwięku, z wyjątkiem łomotania krwi w uszach. Sander miał wrażenie, że całe jego ciało drży przy każdym wielkim podmuchu — jeśli były to podmuchy. Ćwierkanie leśnych stworów (nie miał zamiaru dodawać im godności określeniem „ludzie”) stawało się coraz głośniejsze.

Nastąpiło ostatecznie huśnięcie w dół, zakończone wściekłym szarpnięciem, przesywającym jego głowę czerwonym, gorącym bólem. Potem Sander leżał płasko na ziemi na jakimś otwartym terenie, a słońce świeciło mu oślepiająco w oczy, zmuszając do ich ponownego zamknięcia.

Kiedy odwrócił głowę tak daleko jak to było możliwe i znowu uniósł powieki,

zdażył jeszcze dostrzec ostatniego z owłosionych stworów, przeskakującego płynnie pomiędzy koronami drzew po drugiej stronie polany.

Czy zostawili strażnika? Jeśli nie... czy istniał jakiś sposób...? Sander wił się w oplatającej go sieci. Mimo iż wykręcał się na wszystkie strony, żadne z wiązań się nie poluźniło. Przeciwnie, był pewien, że powoli coraz bardziej się zacieśniały. Niemniej jednak jego wysiłki spowodowały, że przesunął się tak, iż przez moment dostrzegł Fanyi skrępowaną sznurami.

Nigdzie nie było śladu nadrzewnych stworzeń. Polanka, na której leżeli uwięzieni, była niemal całkowicie pokryta blokami skalnymi. Głównym punktem widniejącym w prześwicie nad głowami było coś, co przycupnęło na szczycie kamiennego usypiska.

To coś mogło być wystrugane z drewna, dość nieporadnie, choć na tyle zręcznie, by przypominać jednego z nadrzewnych ludzi, mimo iż było trzykrotnie większe. I było niewątpliwie rodzaju żeńskiego. Szpetna twarz ufarbowana była na szkarłatne, a przygarbione ramiona zdobiły naszyjniki z wypolerowanych orzechów i strąków roślin. Przycupnąwszy na tylnych łapach i opuściwszy obie ręce wzdłuż boków, to coś wysuwało głowę do przodu, jakby spoglądało z góry na więźniów z zachłannym zainteresowaniem.

Wtem...

Jedno z małych, błyszczących oczek, które Sander wziął za kawałki naklejonego kwarcu bądź kolorowej skały, mrugnęło.

To coś... było żywe!

Sanderowi zaschło w ustach. Mógł zaakceptować wyrzeźbiony posążek; jednak fakt, że ta ogromna, odrażająca rzecz żyła, był prawdziwym koszmarem. Koszmar ten spotęgował się, gdy ogromne usta rozwarły się nieco ukazując kły, z których jeden był pęknięty i złamany, oraz koniec bladego języka wysuwający się do przodu jak ohydna dżdżownica.

Stwór uniósł z lekka głowę i zawył. Było to dziwaczne nawoływanie, podobne do krzyku, jaki wydają polujące nocą zwierzęta. Z okolicznych drzew odpowiedział mu donośny chór przenikliwych wrzasków ciągle niewidocznych leśnych ludzi.

Nie było to podobne do jakiegokolwiek słyszanej przez Sandera mowy, zawierało jednak moc budzenia strachu w słuchaczu. Nie mógł sobie poradzić z zacieśniającą się w szybkim tempie siecią, wgniatającą mu w plecy jego własny tobołek i krępującą członki. Czuł się jak schwytyany w jakieś olbrzymie imadło.

— Aeeeheee! — to zawołanie w formie przeraźliwego krzyku wyrwało się z piersi Fanyi. Sanderowi zamajaczyło niewyraźnie, że słyszał je już wcześniej. Nie dosłyszał w nim jednak wołania o pomoc, a raczej wyraz buntu i wyzwania.

Stworzenie na skale przestało wyc. Przesunęło spalone cielsko bliżej krawędzi swego siedziska i obróciło głowę do takiej pozycji, by małe ślepka mogły dokładnie zlustrować dziewczynę. Potem, jakby od niechcienia, podniosło leżący obok łapy kamień i rzuciło.

Kamień minął głowę Fanyi ledwie o włos. Sander był przekonany, że gdyby taki był zamiar stwora, zgruchotałby czaszkę dziewczyny. Ostrzeżenie było bardzo czytelne. Mimo to Fanyi je zignorowała.

— Aeeeheee! — raz jeszcze wydała okrzyk, który odbił się słabym echem od skał.

Teraz Sander sobie przypomniał. W taki sam sposób przywoływała na równinie Kai i Kayi. Czyżby teraz wyczuwała, że jej towarzysze są w pobliżu?

Ogromna samica chrząknęła, zamiatając łapą w poszukiwaniu kolejnego kamienia. Następnie ociężałe podniosła się na nogi. Sander zamarł. Nawet uwzględniając fakt, że jej siedzisko znajdowało się powyżej miejsca, gdzie leżał, górowała nad nim wzrostem więcej niż o głowę, a ociężałe cielsko czyniło z niej olbrzymia nie tylko wśród własnego gatunku, lecz także wśród ludzi.

Zeszła powoli po skałach, jakby nie całkiem pewna, czy utrzymają jej ciężar. Kiedy poczuła grunt pod nogami, schyliła się, by rzucić się na Fanyi. Sander związał się w ostatniej rozpaczliwej próbie uwolnienia się z matni. Był przekonany, że za moment stanie się świadkiem jakiegoś makabrycznego aktu okaleczenia bądź śmierci.

W tym momencie z powietrza, jak na skrzydłach, nadciągnął Kai, z głośnym sykiem wydobywającym się spomiędzy najeżonych kłami szczęk. Wężacz wylądował dokładnie na lekko przygiętych plecach ogromnej samicy, sięgając pyskiem do jej masywnego karku.

Leśna kobieta wyprostowała się ze skowytem i potrząsając ramionami usiłowała uwolnić się od zatapiającego kły w jej ciele zwierzęcia. Teraz pojawiła się mniejsza Kayi; dla odmiany nie skakała z powietrza, lecz mknęła z szybkością błyskawicy po ziemi, by wbić zęby w jedną z obwisłych piersi.

Skowytowi olbrzymki wtórowały donośne wrzaski z drzew. Sander spodziewał się ujrzeć leśnych ludków spadających z gałęzi na ratunek swej obleganej pani. Ci jednak nie pokazali się, nie przestając jedynie wrzeszczeć, podczas gdy ona

dreptała w kółko, próbując wyrwać się napastnikom. Oderwała od siebie Kayi wraz z kawałkiem własnego ciała, ciągle zakleszczonego w szczękach węzacza, i odrzuciła bierze od siebie. Lecz kiedy usiłowała dosięgnąć Kai, Mniejszy węzacz doskoczył do niej ponownie, wyraźnie nie zrażony tak szorstkim potraktowaniem.

Nagle z olbrzymki buchnęła fontanna krwi. Kai chwytając ją za gardło rozerwał tętnicę. Leśna kobieta wydała ostatni skowyt i opadła na kolana. Tymczasem Kayi skoczyła jej, na plecy i zaczęła kasać i rozrywać jej ciało. Samica zamachała niezdarnie łapami, usiłując dosięgnąć stworzenia na swym grzbiecie, po czym gwałtownie osunęła się na ziemię. Jej odrażająca głowa spoczęła na skalnym bloku jak szkaradna maska śmierci, podczas gdy krew spływała cuchnącym strumieniem po kamieniach. Kiedy skoła, pokrzykiwanie jej nadal ukrytych na drzewach poddanych utonęło w ciszy.

Węzacje odsunęły się od ciała, jakby śmierć olbrzymki spowodowała, że zapach i smak jej rozszarpanego ciała stał się im wstrętny. Sander czekał, spodziewając się, że niewidoczna publiczność z drzew rzuci się na nich i zatłucze kijami zarówno zwierzęta, jak swych bezbronnych więźniów. On i Fanyi mogliby uciec, niezależnie od tego, jak okrutny los planowała dla nich gigantyczna samica, lecz z pewnością nie odzyskaliby wolności.

Tamta wibracja zanikła. Sander już jej nie odczuwał. Słyszał jednak szelesty i poruszenie na drzewach i zbierał siły do ostatecznego ataku. Kiedy ten nie następował, ogarniało go coraz większe przerażenie na myśl, że leśny lud może ich nie zabić od razu, lecz poddać jakimś wyrafinowanym, długotrwałym torturom.

Węzacje przysiadły obok Fanyi i zadzierając do góry łby, skupiły uwagę na drzewach. Sander pomyślał, że pomimo całej dzikości i okrucieństwa, jakimi się wykazały podczas zaskakującego ataku, byłyby równie bezradne jaki on i Fanyi, gdyby leśni ludzie spuścili na nie swoje sieci.

Mijały chwile. Teraz umilkło nawet tamto poruszenie. Promienie słońca paliły w prześwicie, a w powietrzu unosił się intensywny odór śmierci.

— Odeszli. — Fanyi przerwała pełną oczekiwania ciszę.

— Co? — Sander usiłował unieść głowę, by dojrzeć to, co mogło się znajdować za zasłoną z liści.

— Odeszli — powtórzyła.

Może i odeszli. Nie zmieniało to jednak faktu, że oni nadal byli uwięzieni. Zaciskająca się wokół niego płatanina lin powodowała coraz większe męczarnie, tym

bardziej że uświadomił sobie całą grozę swego położenia. To było gorsze od wszystkiego, co mogła im zgotować olbrzymka.

— Leż spokojnie — poleciła teraz Fanyi. — Słyszałam o tych linach. Na nie też istnieje sposób. Ale zachowuj się spokojnie. Pozwól mi spróbować wytłumaczyć Kai, co musi zrobić.

Teraz już w ogóle nie mógł się ruszać, a jego strach przybrał inną postać. Przerażała go mianowicie myśl, że ustawicznie zacieśniające się liny powoli potną jego ciało na kawałki i zmiażdżą kręgosłup naporem ciągle przytwierdzonego do pleców tłumoka i znajdujących się w nim narzędzi kowalskich. Nie pozostawało rzeczywiście nic innego, jak być spokojnym, czy to na jej rozkaz, czy nie.

Słoneczny żar na twarzy sprowadził na powrót ból w głowie; zatęsknił za wodą i rozluźnieniem więzów. Kai przycupnęła obok dziewczyny, mordą dotykając niemal jej twarzy. Przez dłuższą chwilę spokojnie patrzyły sobie głęboko w oczy.

Tymczasem Kai buszował po polanie, przystając pod każdym drzewem i gapiąc się w górę, jakby w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Raz po raz jego duże cielsko znikало za jakimś blokiem skalnym. Dwukrotnie wężacz podnosił się na całą długość, opierając się o pień drzewa i spoglądając baczenie w górę; przechylał przy tym łeb raz w prawo, raz w lewo, jakby szukał po zapachu tego, czego nie mógł dojrzeć.

Sander obejrzał się na Fanyi i drugiego wężacza. Kai oddaliła się od dziewczyny i ostrożnie zanurzyła przednią łapę w kałuży krwi, która wyciekła z martwej olbrzymki. Potem równie starannie potarła łapą o ziemię, tak by przylgnęło do niej jak najwięcej pyłu.

Tak przygotowana wróciła do Fanyi i położyła brudne pazury na okach sieci, z całej siły próbując je rozerwać. Musiała zawracać wiele razy, każdorazowo na nowo pokrywając łapy krwią i kurzem, żeby nie miała się ich lepka powierzchnia lin. Za każdym razem podejmowała na nowo przerwane zajęcie. W tym czasie Sander kilkakrotnie tracił przytomność. Ból w głowie i stały ucisk na kręgosłup powodowały zaniki świadomości, a on nie wiedział, jak długo trwały. W każdej chwili spodziewał się powrotu leśnych ludzi, lecz teraz było mu to już obojętne. W końcu przeniósł się zupełnie do świata ciemności, która otuliła go całego.

Ocknął się, krztusząc się i dławiąc. Czuł, że z kącika ust ścieka mu jakiś płyn. Po chwili, wciąż nie całkiem przytomny, przełknął z bólem raz jeszcze, gdyż między jego wyschnięte wargi ciurkało coraz więcej wody. Mógł już oddychać, a ból w

plecach nie był już taki uporczywy. Przesunął się i zrozumiał, że został uwolniony z sieci. Nad nim pochylała się Fanyi, wlewając mu po kilka łyków wody do ust.

— Czy... — jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby dochodził z oddali.

— Możesz się poruszać? — dopytywała się dziewczyna.

— Spróbuj! Możesz usiąść...? wstać?

Jej natarczywość docierała do niego przytłumiona przez mgiełkę, która go spowijała. Jednak posłusznie dźwignął się na kolana, a potem, przy jej wydatnej pomocy, stanął na nogi.

Słońce nie piekło już tak niemiłosiernie, lecz nadal znajdowali się na polance, a ciało olbrzymki... Sander pospiesznie odwrócił oczy.

— Chodź! — Fanyi ciągnęła go, dopóki zataczając się nie zrobił kroku naprzód. Następnie zatrzymał się na chwiejnych nogach.

— Moje narzędzia! — Była to pierwsza sensowna myśl. Nie porzuci wszystkiego, co należało do jego przeszłości.

— Kai je niesie — warknęła niecierpliwie dziewczyna,

— Chodźże!

Węzacz samiec stapał ciężko obok, ciągnąc tobół Sandera, szarpiąc go, gdy zahaczył o krawędzie skał czy gałęzie krzaków. A ponieważ Sander wątpił, czy dałby radę pochylić się, by go podnieść i iść z nim dalej, musiał być zadowolony.

Choć ciągle z trudem stawiał kroki, czuł, jak w trakcie marszu powracają mu siły. Radości z tego faktu nie przyćmiewał nawet towarzyszący każdemu ruchowi ból, spowodowany powracającym do normy krążeniem krwi. Jego umysł zaczął się również rozjaśniać.

— Nadrzewni ludzie... — Usilnie starał się znaleźć słowa na wszechobecne złe przeczucia.

— Nie wrócili, nie wiem dlaczego — przyznała Fanyi.

— Możliwe, że gdy węzacze uśmierciły ich wielką kobietę, przerazili się do tego stopnia, iż nie mają ochoty zetknąć się z nimi ponownie. Niemniej jednak mogą iść za nami. Lecz tym razem nasze kudłacze nie pozwolą nas zaskoczyć.

— Dokąd idziemy?

— Ta ścieżka prowadzi prosto na wschód — odparła.

— Sądzę, że jesteśmy bezpieczniejsi kierując się ku morzu, niż próbując zawrócić przez las.

Zgadzał się z tym w zupełności. Fanyi, niosąca jego miotacz strzał, teraz

wcisnęła mu go do rąk.

— To twoja broń. Miej ją w pogotowiu. Nie wiadomo, jaką zemstę mogą zaplanować te potworki.

Chwycił go skwapliwie. Jeśli miała rację i węzaczę mogły ostrzec ich przed przyszłym atakiem z użyciem sieci, wówczas mieliby szansę. Nie widział u nich innej broni poza tymi topornymi pałkami.

Ponieważ mógł już poruszać się o własnych siłach, Fanyi wysunęła się nieco do przodu. Na barkach niosła swój bagaż; Kayi podskakiwała u jej boku, natomiast większy samiec stanowił ich tylną straż. Sander przyłapał się na tym, że bezustannie nasłuchuje.

Dudnienie, będące bardziej wibracją niż dźwiękiem, ucięło. Cały las był teraz milczący. Umilkł świergot ptaków nic nie wskazywało na to, że jakiegokolwiek życie, poza ich własnym, narażone jest na ryzyko pod tym zielonym dachem. I właśnie wówczas Sander uchwycił — słaby i dochodzący z daleka — znajomy skowyt. Rhin!

Lecz jeśli kojot podaży ich tropem w tę śmiertelną pułapkę wśród drzew, może tak samo zostać złapany w sieć, jak wcześniej oni! A Sander nie mógł w żaden sposób ostrzec zwierzęcia, by nie narażało się, zapuszczając się tutaj. A może mógł?

Kowal przystanął, wciągnął głęboko powietrze w płuca, po czym wydał okrzyk w niczym nie przypominający gwizdu, jakim zwykle przyzywał Rhina. Było to dobywające się z głębi piersi wycie — wojenny zew wielkiego, górskiego kota. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Rhin wychwyci jego znaczenie.

Oba węzaczę odwróciły się ku niemu, powarkując. Fanyi nie kryła zaskoczenia. Zawył tak jeszcze dwukrotnie, wierząc, iż desperacja, która doprowadziła do tego naśladownictwa, tym razem rzeczywiście nadała mu odpowiednie brzmienie.

— Rhin — wyjaśnił — nie może tu przyjść i dać się złapać. To jest okrzyk starego wroga z gór. Mam nadzieję, że odbierze go jako ostrzeżenie.

Dziewczyna skinęła głową, ponownie przyspieszając kroku. Sander zauważył, że to, co ona nazywała ścieżką, musiało być niegdyś drogą. Może nie tak szeroką jak ta, którą szli wcześniej, lecz nadal z pozostałościami nawierzchni. Tamte porozrzucone bloki skalne na polanie... Teraz myśląc o nich dochodził do przekonania, iż miały zbyt regularne kształty jak na twory natury. Być może one również zostały tam z jakichś przyczyn umieszczone przez człowieka.

Z ogromną ulgą stwierdził, iż las zaczyna rzednąć. Ponadto uszu jego dobiegł

szmer. Rozpaczliwie pragnął, aby okazał się on dalekim odgłosem uderzających o brzeg fal. Niech tylko znajdą się na plaży, a będą bezpieczni! Tam nie zagrozi im żaden atak znad głów.

Przyspieszyli kroku. Kowal czuł się już wystarczająco silny, by dźwigać swój tobół, a więc zarzucił go sobie na ramiona i pomaszerowali dalej. Pełno tu było poutykanych w ziemię kamiennych bloków, prześwitujących przez rzadsze zarośla. Kolejne dawne budynki? Nie wiedział, i wcale go to nie obchodziło. Teraz najważniejsze było wydostanie się na otwartą przestrzeń.

Drzewa rosły coraz rzadziej. Krzaki, wysoka trawa i stopy kamieni tworzyły na każdym kroku zapory, przez które musieli torować sobie drogę. Wężaczom przychodziło to z łatwością, ludziom jednak sprawiało znacznie więcej trudności.

Znów nie przesłonięte niczym słońce — lecz teraz chylące się już ku horyzontowi. I morze! Sander upewnił się o tym wdrapując się na wierzchołek jednego z bloków. A brzegiem morza, po piasku bryzgającym spod jego łap, biegł Rhin! Biegąc płoszył przybrzeżne ptaki, które z przenikliwym wrzaskiem wzbijały się w powietrze; wkrótce też głośno i wyraźnie zabrzmiało jego skomlenie.

Ruszyli pospiesznie naprzód przez krzaki dzikich róż. Pod butami zgrzytał im piasek. Świeże powietrze plaży wywiało ostatnie bolesne wspomnienie przeklętych lasów. Rhin dopadł do nich, obwąchał najpierw radośnie Sandera, a potem widocznie zwęszył zapach leśnych dzikusów lub ich sieci, gdyż zaczął warczeć. Nastroszył uszy w kierunku lasu i zawarczał ponownie, bardziej głęboko.

— Nie teraz! — wesoło zwrócił się do niego Sander.

— Jesteśmy wolni!

Chcieli jak najszybciej oddalić się od tego posepnego miejsca. Skierowali się ponownie na północ, tym razem trzymając się plaży, gdzie można było widzieć wszystkich i wszystko z odległości kilku mil.

— Kim... lub czym... oni byli? — zapytał Sander wieczorem, kiedy rozłożyli obozowisko wśród wydm, a w wesołych płomykach ogniska rozpalonego z wyłowionych kawałków drewna piekły się kraby, wygrzebane przez Rhina z dziur w piasku. — Czy widziałaś ich albo słyszałaś o nich przedtem?

— Nadrzewni ludzie? — Fanyi rozpakowała swój bagaż i przeglądała teraz wszystko starannie, jakby w obawie, że coś z jego zawartości mogło ucierpieć w wyniku brutalnego potraktowania. — Nie wiem. Sądzę, że muszą być tu nowi, ponieważ moi ludzie każdej jesieni chodzili do tego lasu zbierać orzechy i nigdy się

na nich nie natknęli. Pytasz „czym” są, a zatem sądzisz, że oni tak naprawdę nie są ludźmi?

— Nie mam pojęcia. Według mnie byli bliżsi zwierzętom, mniejsi niż Rhin czy twoje kudłacze. I dlaczego służyli olbrzymce?

— W Czasie Ciemności zachodziły dziwne zmiany zarówno w człowieku, jak i w zwierzęciu. Mój ojciec — jej dłoń znów ogarnęła wisior — posiadał wiedzę o tych zmianach. Powiedział mojej matce, że niektóre zwierzęta zbliżają się do pozycji zajmowanej przez ludzi. Być może jest zatem prawdą, że niektórzy ludzie cofają się do poziomu zwierząt. Ci leśni ludzie są nawet gorsi niż handlarze niewolników, choć zapewne pokrewni im duchem. — Gdy wspomniała o wrogu, który zrównał z ziemią Padford, w jej oczach znów pojawiły się dzikie błyski. — Sądzę, że byliśmy przeznaczeni na ofiarę w celu udobruchania ich władczyń.

Sander poczuł ogarniającą go na nowo zgrozę. Co by się stało, gdyby węzacz nie przybyły im na ratunek? Nie miał ochoty tego roztrząsać. Zauważył, że tej nocy ani Kai i Kayi, ani Rhin nie wtoczyły się nigdzie, lecz ułożyły się w pobliżu płonącego ogniska. Może również i one były poruszone osobliwością tego świata, wietrząc niebezpieczeństwo leżące tuż pod powierzchnią.

Zaproponował, by czuwali na zmianę pilnując ognia, a Fanyi od razu się zgodziła. Nalegała jednak, by on odpoczywał pierwszy, ponieważ ciężki pakunek wgniatający się w jego plecy w zaciskającej się sieci spowodował, iż ucierpiał bardziej niż ona. Chciał protestować, lecz wobec zdrowego rozsądku, jaki zaprezentowała, jego duma wydała się dziecinna.

Kiedy zbudziła go ze snu, był środek nocy. Rhin leżał ze łbem złożonym na przednich łapach, a jego ślepia rozszerzyły się w żółte szparki, gdy Sander podszedł dołożyć do ognia. Węzacz leżały zwinięte w dwie futrzane kule, a Fanyi usadowiła się obok nich, w dziurze wygrzebanej w piasku.

Gwiazdy nad nimi były niesłychanie jasne i wyraźne, a monotonne przelewanie się morskich fal działało usypiająco. Sander podniósł się, dając Rhinowi znak, by leżał spokojnie, gdyż kojot natychmiast gwałtownie uniósł łeb. Przespacerował się kawałek w dół plaży, zbierając więcej naniesionego przez wodę drewna. Odczuwał dziwny niepokój, który nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu. Kiedy zawrócił, zobaczył na wprost siebie czarny cień, będący skrajem lasu. Czy leśni ludzie skradają się za nimi? Czy opuściliby drzewa, żeby odnaleźć zabójców swej... czymże ona dla nich była: szefową, matką plemienia, a może nadnaturalną postacią

obdarzoną mocami Szamanki? Tego się nigdy nie dowiedzą. Pewne jest tylko tyle, że nie posiadała wspólnego dziedzictwa ani z Fanyi, ani z nim; że była nawet bardziej oddalona od rodzaju ludzkiego niż kudłacze.

W tym świecie mogło ich spotkać wiele niespodzianek. Ich gromadka powinna od tej chwili poruszać się z największą ostrożnością, nie ufając niczemu, co nie zostanie uprzednio sprawdzone.

Dotarł z powrotem do ogniska i dołożył trochę drewna. Widząc siadającego Sandera, Rhin zamknął oczy. Fanyi leżała oddychając równo. We śnie jej twarz wyglądała na bardzo młodą, niedoświadczoną. Było jednak inaczej. Jej — czy raczej jej włochatym przyjaciółom — zawdzięczał przecież życie. Myśl ta nie bardzo mu się podobała. To on popełnił błąd, jak nieopierzony żółtodziób na pierwszej pasterskiej wyprawie. Nie miał się czym chlubić, jeśli chodzi o dorobek dzisiejszego dnia.

Marszcząc brwi przyciągnął torbę z narzędziami i zaczął je wyjmować jedno po drugim, oglądając każde dokładnie. Dwa młotki znalezione w Padford — powinien do nich dorobić odpowiednie trzonki. Lecz tutaj nie było nic stosownego, poza kawałkami drewna wyrzuconymi przez morze, a do ich wytrzymałości nie miał zaufania. Kiedy będzie miał czas, poszuka odpowiedniego drewna i oprawi je na nowo. Pomyślał, że niegdyś, gdy były jeszcze sprawne, musiały być doskonale wyważone i dobrze się nimi pracowało.

Potem zadumał się nad mężczyzną, który ich używał. Ciekawe, jaki był kowal, który służył Padford? Będzie musiał zapytać Fanyi. Po chwili zreflektował się jednak, że lepiej nie przywoływać jej na pamięć żadnych myśli o jej ludzkiej i jego zagładzie.

To z kolei przywiodło mu na myśl to, czego szuka: broń z Poprzedniej Epoki, wystarczająco potężna, by zetrzeć w proch tamtych najeźdźców z południa. Czy taka jeszcze istniała? Wątpił w to. Nie wątpił jednak, że Fanyi wie o jakimś ukrytym miejscu.

Metal...

Pomyślał o miedzi i złocie, srebrze i żelazie, tych, które znał i mógł obrabiać według własnej woli. Lecz inne... te dziwne stopy, których tajemnicy nie znał obecnie żaden człowiek... Gdybyż mógł je także ujarzmić! Jego dłoń zacisnęła się wokół złamanego trzonka dużego znalezionej młotka. Przepęniło go coś na kształt niespokojnego pragnienia i zatęsknił za tym, by w tej właśnie chwili wstać i biec... biec, aby odnaleźć istniejące gdzieś, zgodnie z obietnicą Fanyi, tajemnice.

Musi opanować swoją zbyt wybujałą wyobraźnię. Fanyi miała bardzo mgliste

pojęcie o tym, czego szuka. Nie wolno mu liczyć na szczęśliwy traf, dopóki nie stanie z nim twarzą w twarz. Sander powoli spakował ponownie narzędzia i zawiązał torbę. Wystarczająco szczęśliwym trafem tej nocy było to, że nadal pozostawali przy życiu.

Rozdział piąty

Dwa dni przedzierali się przez wydmy. Gdyby nie ptaki, skorupiaki i kraby służące im za pożywienie, łąd ten byłby zupełnie pozbawiony życia. Daleko na zachodzie widniała ciemna linia lasu. Pomiedzy nim a nimi rozpościerała się ogromna przestrzeń porośnięta jedynie rozrzuconymi z rzadka kępami szorstkiej trawy i zarośli wykrojonych przez słone wiatry w dziwaczne kształty.

Trzeciego poranka dotarli do jeszcze dziwniejszego pustkowia. Oddalili się nieco od brzegu morza, które odsunęło się teraz bardziej na wschód, i znaleźli się na skraju zbocza prowadzącego w dół, do miejsca niegdyś zalanego przez ocean, obecnie zaś przedstawiającego fantastyczny krajobraz. Skały były tu przyozdobione naszyjnikami z martwych od dawna skorupiaków, podczas gdy kruche szkielety innych form morskiego życia spoczywały na wpół pogrzebane w naniesionych falami złożach kamieni.

Sander chciał zmienić kierunek marszu na zachodni, aby obejść skraj pustyni, lecz Fanyi zawahała się. Ze skupieniem utkwiała ponownie wzrok w wisiorze, w który zdawała się wierzyć tak głęboko.

— To, czego szukamy, leży tutaj! — wskazała na wprost, na powstałą po wycofaniu się morza pustynię.

— Jak daleko? — spytał rad nierad Sander. Niezbyt podobała mu się proponowana przez nią droga.

— Nie potrafię powiedzieć.

— Musimy to wiedzieć. Nie możemy iść w ciemno — potrząsnął głową. — Skończyła nam się żywność, a tam nie znajdziemy nawet krabów czy skorupiaków. Poza tym napełniliśmy co prawda dziś rano bukłak w sadzawce wśród wydm, ale na jak długo, twoim zdaniem, wystarczy nam tej wody?

— A ile dni wędrówki dołożymy, jeżeli skręcimy na zachód? — odparowała pytaniem.

Przyjrzał się uważnie temu, co widniało na zachodzie. Plaża, którą dotychczas podążali, zwięzła się, przechodząc w urwistą ścianę porośniętą drzewami. Zawrócić do jakiegokolwiek lasu po tych wszystkich doświadczeniach... Nie, jeśli istniała szansa, by tego uniknąć. Z drugiej strony musiał mieć trochę pewności, że nie kierują się na bezdroża tej poceanicznej pustyni z mglistymi wskazówkami Fanyi jako

jedynym przewodnikiem.

Fakt, dostrzegął jakąś trawę i kilka krzaczków, które zakorzeniły się na dawnym dnie morskim. Nie było to zatem takie kompletne pustkowie, jak sobie początkowo wyobrażał. Ponadto w tym odsłoniętym krajobrazie były skały, mogące pełnić funkcję punktów orientacyjnych, Kierując się nimi mogliby bez obawy zabłądzenia posuwać się naprzód, kiedy ten będący niegdyś wybrzeżem ląd zniknie im już z oczu.

— No dobrze. Ale tylko jeden dzień. — ustąpił. — Potem, jeśli nic nie znajdziemy, wracamy.

Dziewczyna zdawała się go nie słyszeć, choć pokiwała głową. Puściła wisior i wpatrywała się przed siebie z pożądlivością nie przyćmioną żadnymi złymi przecuciami.

Rhin dreptał spokojnie obok. Jednak wężacze myszkowały po okolicy, syczeniem przejawiając swoje niezadowolenie i dołączając do reszty jedynie wtedy, gdy Fanyi zwracała się do nich przymilnie. Widać było wyraźnie, że — oględnie mówiąc — niezbyt podoba im się ten odsłonięty teren.

Przez pewien czas podłoże było piaszczyste i maszerowało się łatwo. Potem zaczął się zwirowaty odcinek, usiany naniesionymi przez wodę kamieniami. Podłoże przesuwano się i odkształcało pod ich ciężarem. Sander wywnioskował, że teren, który opuścili, musiał być w Poprzednich Dniach. jednym z ramion zamykających jakąś wielką zatokę.

Słońce przeświecało przez ogromny, najeżony płot z szeroko rozstawionych kości żebrowych należących do jakiegoś;

morskiego stwora; a może były to wręgi statku tak oklejone ciałami skorupiaków, że sprawiały wrażenie zamienionych w kamień? Sander nie był pewien.

Pooceaniczna pustynia nie była równiną; były tu wzniesienia i zagłębienia. W obniżeniu jednej z małych dolinek znaleźli niewielką sadzawkę, obmurowaną białą solą — być może ostatnią pozostałość zaginionego morza.

Szli ciągle naprzód. Teraz, kiedy Sander spoglądał za siebie, ledwie dostrzegł prawdziwy ląd, z którego przyszli. Rosły także jego wątpliwości, czy rozsądnie jest jechać w tym kierunku. Wszystko tu w pewien sposób go odpychało — jakby reprezentowane przez niego życie uwłaczało starożytnemu pustkowiu i było przezeń znienawidzone.

Dotarli w końcu do głębokiego wąwozu i spojrzeli w dół na jego urwiste

zbocza. Dołem płynęła rzeka. Jak ją przejść? Wężacze gramoliły się w dół zbocza, kierując się ku wodzie. On i Fanyi mogli zrobić to samo, ale Rhin nie mógł. Będą więc musieli znów pójść na zachód, jeszcze dalej na pustynię, z nadzieją znalezienia miejsca łatwiejszej przeprawy.

Tak czy inaczej, rzeka rozwiązywała jeden z ich problemów, ponieważ Sander widział, jak wężacze zanurzając pyski w strumieniu chleptały z apetytem wyraźnie słodką wodę.

Posuwali się mozolnie wzdłuż krawędzi wąwozu. Nadzieja Sandera spełniła się — skaliste ściany zaczęły się obniżać, w miarę jak rzeka stawiała się szersza. Obeszli dookoła mnóstwo pokrytych skorupiakami obiektów, będących, jego zdaniem, statkami, by w końcu natknąć się na coś jeszcze: na pozostałości muru z masywnych bloków, o kształtach zdecydowanie zbyt regularnych jak na twory natury. Za murem znajdowały się kolejne kamienie, mogące niegdyś wytyczać początek drogi, oraz dwie wielkie, przewrócone kolumny, całe tak pokryte morską roślinnością i żyjątkami, że było jasne, iż są bardzo stare; być może pochodziły nawet z Poprzedniej Epoki. Podziwiał to dzieło, a Fanyi wodziła koniuszkami palców wzdłuż krawędzi bloku.

— Stare... bardzo stare — zamyśliła się. — A może był jeszcze inny Czas Ciemności, kiedy świat zmienił się, by sprowadzić to samo morze, które nasz Czas Ciemności zabrał? Gdybyśmy tylko wiedzieli... — W jej głosie pobrzmiwała zaduma, którą i on odczuwał.

Nie odważyli się przedłużyć badań nad tym, co kryło pradawne morze, i ruszyli zdecydowanie w kierunku obecnego ujścia rzeki, znajdującego się w sporej odległości od wybrzeża z Poprzedniej Epoki, którym podążali wcześniej.

Zmierzch zastał ich na nowym wybrzeżu, tak więc kolejny raz rozłożyli obozowisko przy wtórze bijących o brzeg fal. Tutaj także było wystarczająco dużo naniesionego przez wodę drewna, by rozpalić ognisko. A wężacze, które buszowały nad rzeką, wróciły do obozu, przy czym każdy włókł wielką rybę. Fanyi przyjęła ich połów z entuzjazmem. Choć jej lud znał ryby, jednak rzadko udawało się je złowić, a więc nadal traktowano je jak rarytas.

Kiedy ryby piekły się na patykach nad ogniem, Sander oparł się plecami o wygładzony przez wodę kamień i gapił się na rzekę. Nurt był tu niewątpliwie silny, lecz łóżysko było o wiele szersze i płytsze, pomyślał więc, że za dnia mogliby bez zbyteńnego wysiłku przedostać się na drugą stronę. Potem, posuwając się z jej biegiem

na zachód, mieliby cały czas zapewniony dostęp do wody. I chociaż rzeka odwiodła ich daleko od ustalonego przez Fanyi kursu, może nie należało, mimo wszystko, poczytywać tego za poważny problem.

Fanyi ułożyła wzór z małych muszelek.

— To jeden z cudów morza, Sanderze kowalu, że nigdy nie ma dwóch takich samych. Kształt może być podobny, ale ornament... zawsze jest jakaś drobna różnica. Są takie muszle, które wysoko cenią sobie Handlarze. Możesz za nie kupić kawał miedzianego drutu, a nawet kupę zardzewiałego żelaza, całkiem jeszcze dobrego w środku. Ja...

Lecz Sander nie dowiedział się, co chciała powiedzieć Obserwował Rhina. Nagle wykonał szybki gest i jedną ręką sięgnął po miotacz strzał. Kojot zjeżył się, jego wargi uniosły się odsłaniając kły, a ślepia zmieniły się w wąskie szparki.

Sander nasłuchiwał uważnie. Fanyi przykucnęła przy ognisku, kładąc dłonie na grzbietach Kai i Kayi, które również cicho posykiwały.

Nagle rozległo się pluśnięcie — z morza czy z rzeki? Sander nie był w stanie zgadnąć. Rhin ponownie zawarczał.

— Pochodnię! — na wpeł wyszeptał Sander do Fanyi. Złapała natychmiast grubą gałąź i wsadziła w płomień. Kiedy gałąź zajęła się ogniem, zakreśliła nią dookoła, rozniecając jasno palący się płomień. Zanim Sander zdążył ją powstrzymać, wdrapała się na jeden z wielkich głazów i zaczęła tą zaimprovizowaną pochodnią wymachiwać.

Wdrapał się za nią z miotaczem gotowym do strzału. Z ciemności dobiegały odgłosy rechotania. Potem światło pochodni wyłowiło ciemną postać stojącą na brzegu rzeki; ciało jej lśniło, jakby dopiero co wypełzła z wody.

Postawą przypominała ona człowieka, gdyż unosiła się na tylnych kończynach. Jeśli jednak chodzi o resztę, to nie była podobna do człowieka nawet w takim stopniu jak leśni ludzie. Wokół tułowia zwisała fałdami blada skóra, podczas gdy obie pary kończyn były jakieś spłaszczone. Stwór miał wielką, rozdziawioną gębę, z której wydobywał się ów rechot, a nad nią widniały wyłupiaste ślepia. Lecz...

Na wysokości talii przepasany był kawałkiem czegoś, co przypominało pokrytą łuskami skórę. W nią wepchnięte były dwa długie, morderczo zaostrome szpikulce, które, zdaniem Sandera, mogły być wykonane z kości, a nie z metalu.

— Nie strzelaj! — krzyknęła Fanyi. — On się boi. Zaraz sobie pójdzie...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy stworzenie wykonało wielki sus do tyłu i

zanurzyło się w rzece. Płomień pochodni nie sięgał tak daleko, a więc niemal natychmiast zniknęło z pola widzenia, odpływając.

— Ogień... on nie lubi ognia.

Dziewczyna mówiła z takim przekonaniem, jakby w przeciągu tych kilku sekund konfrontacji zdołała odczytać myśli wodnego stworzenia.

Rhin minął ich, zbiegając z szaleńczym ujadaniem na brzeg rzeki. Widocznie uznał, że jej mieszkaniec jest niebezpieczny.

Sander pomyślał, że jeżeli mają przekroczyć rzekę, aby kontynuować podróż, to muszą zanurzyć się w wodzie, w której napotkany stwór najwyraźniej czuł się u siebie. Nie podobała mu się ta perspektywa.

— Co to było? — Ponieważ było to terytorium bardziej Fanyi niż jego, zwrócił się do niej o wyjaśnienie.

Potrząsnęła głową:

— Jeszcze jedno stworzenie, którego nigdy przedtem nie widziałam. Lecz legendy głoszą, że kiedyś przyszło do Padford coś z morza i pozrywało sieci. Zabrało też nieostrożnych rybaków. Było to po wielkim sztormie, a woda zrobiła się czerwona. Śmierdziała tak, że mnóstwo ryb wyzdychało i ludzie musieli je pogrzebać w wielkich kopcach przy brzegu. Potem nigdy więcej nie było już kłopotu. Lecz działo się to za czasów mojej matki i nikt nie widział wyraźnie tych morskich stworów. Sądono, że miały pewną inteligencję, ponieważ sieci były poprzecinane w miejscach, gdzie cięcia wyrządziły najwięcej szkody.

— To... — Sander ześlizgnął się i przysiadł obok niego — to coś nie było zbyt podobna do człowieka.

— To stworzenie jest istotą wodną — zgodziła się. Posłuchaj.

Ponad szumem morskich fal i szemraniem rzeki uchwycili odległy dźwięk — rechotanie. Czyżby gość, którego oglądali, był jedynie zwiadowcą jakiejś większej grupy? Może dalsze przebywanie nad rzeką było z ich strony szaleństwem? Mimo to Sander nadal wahał się, czy wyruszy w ciemność.

Ostatecznie zdecydowali, że mając ogień oraz stojących na straży Rhina i wężacze, pozostaną tu, gdzie byli. Kiedy Sander przygotowywał drugą prowizoryczną pochodnię potrzebną do zebrania większej ilości drewna, Fanyi wyciągnęła z jednej ze swoich torebek u paska grubą pałeczkę długości dłoni. Energicznie uniosła ją do pozycji poziomej, a potem dotknęła jakiegoś miejsca na jej boku. Natychmiast rozbłysło światło, które sparaliżowało go podczas ich pierwszego spotkania.

— Ten przedmiot pochodzi z Poprzedniej Epoki — oznajmiła mu z dumą posiadacza. — On także należał do mojego ojca. Lecz ojciec mówił, że to ma ograniczoną długość działania i po pewnym czasie zgaśnie. Niemniej jednak teraz możemy z tego skorzystać.

Sander potrząsnął głową:

— Jeśli to ma zgasnąć, to lepiej zachowajmy je na czarną godzinę. A skoro twoim zdaniem te wodne stwory boją się ognia, powinniśmy używać ognia.

Podczas gdy Fanyi trzymała pochodnię, on, nie wychodząc poza krąg światła, zbierał drewno wokół obozowiska i układał je w wysokie sterty, z nadzieją, że wystarczy na całą noc. Zmniejszyli ogień, zachowując tylko taki płomień, który strzegłby ich przed powrotem mieszkańców rzeki.

Jeszcze raz rozdzielili między siebie straż. Tym razem ani węzaczce, ani Rhin nie zapadli w głęboki sen, drzemiąc jedynie i raz po raz podnosząc się i wychodząc poza krąg światła, by, jak sądził Sander, zrobić obchód wokół obozowiska.

On sam nasłuchiwał rechatania. Jednakże zamarło ono gdzieś w oddali. Nawet gdy nadszedł jego czas odpoczynku, budził się co chwila, by nasłuchiwać i doglądać ognia.

Z nastaniem poranka zszedł do rzeki, starannie oceniając szansę przedostania się w tym miejscu na drugą stronę. Fanyi upierała się, że to, czego szuka, leży dalej na pomoc, a teraz nieco na zachód. Gdyby, pokonując na powrót przebytą wczoraj drogę, wrócili do prawdziwego ładu, to i tak w dalszym ciągu mieliby do pokonania rzekę, a ta równie dobrze mogła być patrolowana przez wodne stwory aż do głębi ładu.

A zatem — czyż mieli się odważyć na przeprawę tutaj i teraz? Nurt rzeczny wcinał się ostro w nowe morze. Sanderowi nie podobał się sposób, w jaki rzucane przez niego w celu sprawdzenia siły tego nurtu kawałki drewna kręciły się w kółko.

Ponadto zmierzył głębokość rzeki długim kijem. Blisko brzegu woda sięgała do wysokości ud. Dalej, jak przypuszczał, będą musieli płynąć. I będą musieli walczyć z prądem również po to, by ich nie zniósł do morza.

To oznaczało powrót w górę rzeki, aby uzyskać odległość pozwalającą na swobodne dryfowanie. Znał rzeki równin. Lecz — z wyjątkiem wiosny, kiedy gwałtownie wzbierały — żadna z nich nie stanowiła nigdy takiego problemu jak ta.

— Umiesz pływać? — spytał Fanyi, kiedy dołączyła do niego.

Zdawał sobie sprawę, że on sam nie ma się czym chwalić. Ale w końcu przy odpowiednim wysiłku potrafi utrzymać się na powierzchni wystarczająco długo, by

dotrzeć na drugi brzeg. Zakładając, że gość z poprzedniej nocy ani jego towarzysze nie pojawią się, żeby pogorszyć sytuację.

— Umiem, a ty?

— Wystarczająco, żeby się przeprawić na drugi brzeg.

— Sądzę, że lepiej będzie — dziewczyna jak echo powtórzyła jego własną myśl — przeprawić się tutaj. Jeśli zawrócimy, stracimy mnóstwo czasu, a tam, dokąd się cofniemy, może się okazać trudniej zamiast łatwiej.

Przygotowali się do przeprawy najlepiej jak potrafili. Ich torby były przywiązane wysoko i ciasno na grzbiecie Rhina; zdjęli ubrania i dołożyli je do bagaży obciążających kojota. Z kijem w dłoni Sander raźnie wkroczył do wody. Strumień był tak lodowaty, że odruchowo się skurczył. Czuł, jak wartki prąd rozbija się o jego ciało najpierw na wysokości ud,

potem brzucha. Ostrożnie badał dno przed sobą na wypadek gwałtownego obniżenia się podłoża, co mogło się okazać katastrofalne w skutkach. Rhin płynął tuż obok, a z tyłu dobiegało Sandera głośnie pluskanie świadczące o tym, że Fanyi i jej towarzysze podążają za nim.

Zastosował środki bezpieczeństwa, wykorzystując do tego linę wyciągniętą z podręcznego magazynu. Była ona zaczepiona do ładunku na grzbiecie Rhina, następnie przewiązana wokół pasa Sandera, podczas gdy drugi koniec przywiązany był do paska Fanyi.

Teraz woda sięgała mu do ramion i musiał walczyć o utrzymanie się w pozycji pionowej. Jego tyczka nagle ześlizgnęła się, a próby dosięgnięcia gruntu spęły na niczym. Dławiąc się i parszcząc śliną zaczął niezdarnie płynąć. W przeciągu kilku sekund jego ciało przybliżyło się do Rhina. Kojot walczył dzielnie z prądem, który znosił ich obu w dół rzeki.

Sander bał się coraz bardziej. Co będzie, jeśli nie zdołają wyrwać się z objęć nurtu? Przed rozpoczęciem przeprawy wydał Fanyi ścisłe zalecenie, że gdyby on i Rhin zostali porwani przez prąd, ona ma przeciąć łączącą ich linę, zwiększając w ten sposób własne szanse. Jednakże lina była nadal naprężona, więc nie zrobiła tego.

Rhin płynął dzielnie, a Sander trzymał się jego boku, nie mając odwagi spojrzeć, jak blisko morza ściągają ich już prąd. Brnął naprzód, czując się schwytanym w pułapkę przez wodę, tak jak wcześniej przez sieć w lesie.

Wreszcie kojot natrafił na dno, wynurzył się i skoczył naprzód. Sander szybko uchwycił się liny mocującej ładunek dźwigany przez zwierzę. Chwilę później drasnął

boleśnie stopą o podwodną skałę i stracił równowagę. Przez dłuższy moment gramolił się w wodzie, aż wreszcie znów stanął na nogi.

Uczepiony rzemienia na Rhinie torował sobie drogę do drugiego brzegu. Sznur przewiązany wokół jego pasa był tak naprężony, że niemal szarpał go do tyłu. Odwrócił się i uchwycił go oburącz, usiłując przyciągnąć do siebie.

W nurcie rzeki mignęły i znów zniknęły ramiona Fanyi. Była już zniesiona nieco poza punkt, w którym Sander i Rhin znaleźli dno. Sander trącił kojota łokciem, aby zebrał siły i pociągnął mocniej.

Wskutek ich połączonych wysiłków ciało Fanyi zawirowało w strumieniu. Nareszcie zaczęła się do nich przybliżać. Zanim Sander znalazł czas, by pomyśleć o tym, co rzeczywiście mogłoby się stać, gdyby im się nie powiodło, wygramoliła się na brzeg z mokrymi włosami przylegającymi do głowy.

Nieco niżej na brzegu pojawiły się wężacze i ruszyły ku nim galopem. Z całego towarzystwa one miały najłatwiejszą przeprawę. Teraz zatrzymały się na chwilę, otrząsając się gwałtownie z wody i rozpryskując krople na wszystkie strony. Lecz Rhin odwrócił się nagle w kierunku rzeki i zawarczał.

Sander zauważył, że powierzchnia wody zmarszczyła się drobnymi falami, układającymi się w kształt litery V. Szarpnął linę, która ciągle łączyła go z Fanyi.

— Chodźmy!

Zaczął biec, ciągnąc za sobą dziewczynę, zdając sobie sprawę ze swej bezbronności w tym momencie. Rhin biegł obok, a wężacze stanowiły tylną straż, sycząc na to, co kotłowało się w rzecznej toni.

Sander zatrzymał się dopiero kiedy dopadli kilku kamiennych bloków, które zapewniły im chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Następnie z dźwiganego przez Rhina ładunku wyplątał miotacz strzał, rozwiązując przy tym wszystkie sznury i uwalniając zwierzę od ciężaru, by zapewnić mu swobodę w ewentualnej walce.

Potem wdrapał się na grzbiet kojota, a z niego na szczyt najwyższej skały. Tam ułożył się płasko na brzuchu, lustrując drogę za sobą. W świetle poranka wszystko było i; wyraźnie widoczne. Z wody wynurzały się gromadnie takie same stwory jak ten, którego widzieli wcześniej. Było ich może z tuzin. Wyglądały jednak nieco inaczej niż ten pierwszy, gdyż każdy miał na sobie zaokrąglony pancerz, który mógł być wykonany z jakiejś muszli. Okrągłe głowy chronione były w ten sam sposób, a nawet ręce i nogi osłonięte były pancerzami. Z całą pewnością przybyli uzbrojeni i gotowi do walki.

Ich oręż stanowiły długie dzidy, zakończone groźnie wyglądającymi haczykami. Obrzuciwszy je okiem fachowca Sander stwierdził, że zostały zaprojektowane tak perfidnie, aby te właśnie haczyki odłamywały się w ranie. Odgłos rechotania był bardziej przytłumiony, być może przez hełmy, mimo to pobrzmiwał w monotonnym chórk, kiedy przemieszczały się skokami naprzód.

Nawet jeśli byli mieszkańcami rzeki, doskonale radzili sobie na lądzie, gdyż bez wahania ruszyli przed siebie. Wężacze nie rzuciły się na nich, tak jak to miało miejsce w przypadku leśnej olbrzymki. Wiły się jedynie konwulsyjnie przesuając się raz w przód, raz w tył, strasząc i sycząc, lecz utrzymując się stale przezornie poza zasięgiem włóczni nieprzyjaciela.

Sander wycelował dokładnie i wystrzelił. Strzała dotarła do celu, lecz ten przesunął się gwałtownie, tak że nie trafiła w odsłonięte miejsce między napierśnikiem a hełmem, lecz utkwiała w pancerzu w okolicach „ramienia” stwora.

Mimo to zdawało się, że atak silnie wstrząsnął wrogami. Przeszali posuwać się naprzód i zbili się w gromadkę. Ten, który stanowił jego cel, mozolił się nad grotem strzały, dopóki nie wyjął go z muszli. Następnie uniósł strzałę w górę, jakby zgłębiając jej niezwykłość. Stłumiony rechot przybrał na sile, pobrzmiwając podnieceniem. A może tylko zdawało się tak Sanderowi?

Zdażył już umieścić kolejną strzałę w miotaczu. Lecz rzeczne stwory miały ciała tak dokładnie zakryte, że nie próbował ponownie wystrzelić, dopóki nie miał pewności, że trafi w jeden z nielicznych słabych punktów. Fanyi, już ubrana, stanęła u jego boku. Dłonią nakryła jego dłoń przytrzymującą miotacz.

— Pozwól mi ich powstrzymać do czasu, aż się ubierzesz — nalegała. — Jeśli tego nie zrobisz, to piekące słońce spali twoją skórę na popiół.

Sander już odczuwał słoneczny żar. Ale pozostawić posterunek jej...

— No, jazda! — trąciła go mocno łokciem. — Miałam już do czynienia z taką bronią. — W jej głosie pobrzmiwała nuta złości, jakby denerwowało ją jego wahanie.

Fachowy sposób, w jaki chwyciła broń, częściowo go przekonał, że mówi prawdę. Położył na kamieniu jeszcze trzy strzały, po czym zsunął się na dół, żeby się ubrać.

Kiedy ponownie znalazł się na skale, stwierdził, że wężacze wycofały się do krawędzi „ściany”, na której leżeli on i dziewczyna, a rzeczne stwory widocznie otrząsnęły się z zaskoczenia wywołanego strzałą i rozpaczliwie brnęły przez żwir i

piach w ich kierunku. I chociaż raczej podskakiwały niż szły, to wcale nie były powolne.

W momencie, kiedy Sander do niej dołączył, Fanyi wystrzeliła. Przywódca wodnej gromady upuścił włócznie. Z głośnym rechotem przerażenia zwiesił „rękę” — pajęczynowaty członek z czterema równej długości palcami. Strzała przedziurawiła go, tworząc w ten sposób dodatkowy palec odstający pod kątem.

Jeszcze raz nieprzyjaciel zbił się w gromadę, aby zbadać ranę kompana. Sander zastanawiał się nad ich taktyką, która wydawała mu się głupia. Te amfibiany znajdowały się w zasięgu rażenia, a mimo to gromadziły się wokół rannego kolegi, zainteresowane jedynie tym, co go spotkało, zamiast wrogiem, który tego dokonał. Pozorny brak zainteresowania stworów jakimkolwiek kontratakiem ze strony obłożonych był intrygujący. Być może, mając za uzbrojenie włócznie, nie mogli zrozumieć istoty strzały, która nadlatuje z powietrza. A może byli nawet tak głupi lub myśleli w tak odmienny sposób, że nie kojarzyli tych strzał z osobnikami, których atakowali.

Oddając mu miotacz Fanyi pospieszyła też z radą:

— Nie zabijaj, o ile nie jesteś zmuszony. Śmierć mogłaby ich pchnąć do zemsty.

— Skąd to wiesz? — spytał natarczywie Sander.

— Nie wiem... Nie, raczej to jest tak, że nie potrafię znaleźć słów, żeby to wyjaśnić — wydawała się tak zakłopotana, jak rzeczne stwory nad strzałą. — To jest tak samo jak z tym, że wiem, co moje kudłacze myślą i czują. Te stworzenia są zaniepokojone... boją się. Lecz jestem przekonana, że mogą dać się ponieść nienawiści, która stłumi ten lęk. A wówczas nie będą dbać o to, ilu ich zginie, byle tylko mogły nas dopaść. W tej chwili ich umysły są rozdwojone: one na pół wierzą, że należymy do istot, których nie można upolować.

Sander nie mógł pogodzić się z faktem, że dziewczyna wie to na pewno. Ona chyba po prostu zgaduje. Mimo to nie wypuścił żadnej strzały, nawet do celów, które wręcz się o to prosiły. Przeczeka ten konkurs rechotania, jaki urządził sobie teraz nieprzyjaciel, i zobaczy, co będzie dalej.

Rozdział szósty

Mając wreszcie czas na dokładniejsze przyjrzenie się swemu dotychczasowemu schronieniu, Sander stwierdził, że kamienne bloki, na których leżeli, stanowią nieprzerwany ciąg. To także musi być jakieś bardzo stare dzieło inteligentnych istot. Słońce paliło tak niemiłosiernie, że wiercił się na wszystkie strony na rozgrzanym kamieniu. Zostać tu dłużej oznaczało ściągnąć na siebie kolejne nieszczęście.

Grupa wodnych stworów wreszcie się ruszyła. Dwa z nich przygarbiły się i ustawiły wólczy na sztorc. Pozostałe, wraz z tym z „ręką” przebitą strzałą, przesuwały się skokami w kierunku rzeki.

Sander zsunął się z kamienia. Nadszedł czas działania. Domyślał się, iż nieprzyjaciel udał się po posiłki. Był też pewien, że poradzą sobie z dwoma pozostałymi, jeśli pociągną ich w głąb pustyni.

Fanyi zgodziła się na jego propozycję. Stała, trzymając znów wisior w rękę, zwrócona na północny zachód, i patrzyła wstecz, na bieg rzeki, który doprowadził ich tutaj.

— Powinniśmy trzymać się z dala od rzeki — zauważył Sander. — Woda jest ich żywiołem i wykorzystują to do maksimum.

Na szczęście napełnił bukłak rano, zanim przekroczyli rzekę. Spoglądając na skrzącą się od gorączki poccoceaniczną pustynię żałował jedynie, że nie ma ich więcej w swoim wyposażeniu.

Z drugiej strony ten ogołocony przestwór piachu i kamienia, wystawiony na piekące promienie słońca, powinien odstraszać wodny lud. Jeśli rzeczywiście, tak jak sądził, stanowili rasę amfibanów, czyli mieszkańców wód, niezbyt chętnie wybiorą się na długą wycieczkę przez ten spalony ląd.

Właściwie — stwierdził Sander, lustrując na wpół przymkniętymi oczyma rozpościerające się przed nimi terytorium — byłoby dobrze, gdyby oni sami zachowali na przyszłość większą ostrożność. Był dobrze wyszkolony w stosowanych przez jego lud metodach wypasu pod gwiazdami, używając tych odległych punkcików światła jako przewodników. Nocą mieliby do obrony również ogień, mogliby więc podróżować niemal równie dobrze jak za dnia. Jednakże najpierw muszą znaleźć miejsce, gdzie mogliby bezpiecznie przeczekać do zachodu słońca.

Raz jeszcze głośno ocenił sytuację, w jakiej się znajdowali. Z twarzy Fanyi znikł wyraz zaabsorbowania; puściła wisior.

— Nasi żeglarze także sterują według gwiazd — powiedziała z namysłem. — Ja również uważam, że skwar dnia zamieni każdą podróż w katorgę. Tak, masz słuszość.

Sander znów poczuł ukłucie irytacji. Oczywiście, że ocenił sytuację prawidłowo! Denerwował go ten jej ton świadczący o tym, że uważa, iż musi rozważyć jego opinie, a potem zaaprobować je lub odrzucić. Jej twierdzenia, że sama tylko jej wola i moc zapewniały bezpieczeństwo jej ludowi i że najechano na nich tylko dlatego, że ona była poza wioską, brzmiały dla niego zarówno wcześniej, jak i teraz jednakowo niedorzecznie. Może sobie twierdzić, że jest Szamanką, z tymi swoimi sztuczkami jasnowiedzenia i tym podobne. Lecz jego lud nie wierzył w nic z wyjątkiem własnych decyzji i działań, a on jest pod tym względem nieodrodnym synem swego ludu.

Ruszyli pospiesznie, z wężaczami zamykającymi pochód i Rhinem znów dźwigającym cały dobytek z wyjątkiem miotacza strzał, który Sander trzymał w pogotowiu. Pół tuzina strzał wepchnął jeszcze za pasek, aby mieć je pod ręką. Żałował, że nie ma więcej. Utrata dwóch wystrzelonych strzał była dotkliwa, kiedy miało się tak skromny arsenał.

Rhin, pomimo obciążenia, sunął naprzód, przystając raz po raz, jak zwykł to robić na równinach w czasie polowania. Sander z początku często się zatrzymywał, aby spojrzeć za siebie.

Jeśli dwa uzbrojone amfibiany rzeczywiście podążały ich tropem, to zdołały tak doskonale wykorzystać nierówności dna dawnego morza, że pozostawały niewidoczne. Im dalej uciekinierzy zapuszczali się w to, co stawało się coraz bardziej wysypaną solą, wysuszoną pustynią, tym silniejsze było przekonanie Sandera, że istoty przywykłe do życia w wodzie musiały już zaniechać pościgu.

Nie spowodowało to jednak osłabienia jego czujności, kiedy zgodnie z jego rozeznaniem kierowali się na północny zachód.

Fanyi co jakiś czas spoglądała na wisior, jakby był zaufanym przewodnikiem. On osobiście wybrał starą metodę skupiania się na jakimś stałym punkcie — wskazówce, która nie mogła zginąć z widoku — i kierowania się na niego. Po dotarciu do tego celu obierał kolejny.

Ich buty wzniecały tumany słonego kurzu i już wkrótce zaczęło im dokuczać

pragnienie. Świadomość, że rzeka ze swą nieskończoną hojnością jest dla nich niedostępna, jeśli czysta desperacja nie popchnie ich do narażenia się na związane z dojściem do niej niebezpieczeństwa, przyprawiały Sanderą o wściekłość.

Doświadczał już wcześniej upału na równinach i jeździł wierzchem na dalekie wyprawy w czasie pór suchych. Ale wówczas znał taką krainę na tyle dobrze, że wiedział, gdzie znaleźć jakiś strumień czy jedną z tych wysychających okresowo rzek, w dnach których Rhin kopał z typowym dla swej rasy instynktem i odkrywał sączącą się wilgoć. Gdzie na tej zapomnianej ziemi mogli znaleźć coś takiego?

Za każdym razem, gdy zatrzymywali się na odpoczynek kowal wspinał się na najbliższe wzniesienie, aby popatrzeć nie tylko za siebie, ale i przed siebie. Gdyby chociaż mogli wykopać jakąś dziurę i ukryci przed palącym słońcem doczekać w niej zmroku!

W trakcie piątej takiej obserwacji dojrzał jakiś przedmiot leżący nieco na wschód od ich obecnego kursu. Byli już przyzwyczajeni do szczątków starych okrętów, których pokryte skorupiakami kształty stanowiły stały element mijanego krajobrazu. Lecz tym razem było to coś niezwykłego.

Przede wszystkim Sander był przekonany, iż widział odblask metalu. Poza tym kształt, który teraz studiował, był zupełnie niepodobny do czegokolwiek widzianego wcześniej. W porównaniu z innymi szkieletami zaginionych okrętów był długi i wąski, leżał trochę przechylony na jeden bok, zniszczoną nadbudówką zwrócony w kierunku skały, na której balansował Sander.

Nie wyglądał również na zbyt wiekowy. Jeden jego koniec wgnieciony był we wzniesienie rafy, lecz reszta wydawała się Sanderowi niemal nietknięta. Pomyślał, że to mogło tu zostać po wycofaniu się morza, które odsłoniło ten nowy ląd. Niezależnie od wszystkiego było to najlepsze schronienie, jakie mógł sobie wymarzyć.

Gdyby znaleźli wejście do środka tego rozbitego kadłuba, mieliby to, czego szukali: idealną kryjówkę. Fanyi zgodziła się skwapliwie na jego plan.

Zbliżywszy się do dziwnego statku Sander stwierdził, że jego pierwsza ocena była mylna. To było większe, niż początkowo sądził. Jego sylwetka zaskoczyła także Fanyi, która z zakłopotaniem przyznała, że nie jest absolutnie podobny do żadnego ze znanych jej statków.

Gdy stanęli przy jego burcie, wyglądali jak karzełki. Choć płyty, z których został zbudowany, nosiły ślady rdzy, metal pod spodem oparł się niszczącemu działaniu czasu. Sander popukał w powierzchnię i ocenił, że pod cienką warstwą

rdzy jest na pewno nietknięta.

Wejście do środka musiało znajdować się w chylącym się wysoko nad nimi pokładzie. Rozsupłał skórzany rzemień przytrzymujący pakunki na grzbiecie Rhina i wyszukał jeden ze swych największych młotów. Obwiązał go liną i zaciągnął mocno węzły. Potem polecił Fanyi zostać na miejscu, a sam, okrążywszy wąski koniec starego statku, przeszedł na drugą stronę.

Tam zakreślił nad głową końcem liny obciążonym młotem i rzucił. Dwukrotnie z hałasem spadała z powrotem, ciągnąc za sobą płyty rdzy. Lecz za trzecim razem zaczepiła się tak bezpiecznie na jakiejś części nadbudówki, że nie ruszały jej nawet najbardziej energiczne szarpnięcia. Zaczął się wspinać i kilka chwil później balansował już na pochyłości pokładu. Na wprost niego sterczał kikut wieżyczki odłamanej w taki sposób, jakby ukreśliła ją bez wysiłku jakaś gigantyczna ręka. Nigdzie nie było widać żadnego wejścia.

Przeszedł przez chylący się pokład i spojrzał w dół na Fanyi. Uwolniony od ładunku Rhin oddalał się truchtem, i choć Sander natychmiast zagwizdał, kojot nawet się nie obejrzał.

Zdenerwowany Sander wiedział, że jest to jedna z tych sytuacji, w których kojot chce pójść własną drogą. Domyślał się, że prawdopodobnie idzie szukać wody. Jednakże kojot kierował się na zachód, na pustynię, a nie na wschód, jakby spodziewał się Sander. Natomiast węzaczce, wyraźnie niespokojne, nie przestawały węszyć między pobliskimi skałami. A może były po prostu nieszczęśliwe z powodu takiego oddalenia od własnej, zielonej krainy.

Upewniwszy się, że młot jest solidnie umocowany, Sander spuścił na dół koniec liny, po której Fanyi wdrapała się do niego. Stała obok, zapierając się nogami o pochyły pokład, wsparła ręce na biodrach, obracając powoli głowę na wszystkie strony.

— Co to był za statek? — spytała z zadumą, jakby kierując pytanie bardziej do siebie niż do niego. — Wygląda bardzo dziwnie...

Sander przesuwając się krok po kroku wzdłuż zniszczonej nadbudówki, pokrytej smugami rdzy. Pośrodku bocznej ściany zauważył ziejącą ciemnością szczelinę, przez którą można było dostać się do środka. Tutaj potrzebne było światło z Poprzedniej Epoki, poprosił więc Fanyi, by go użyła. Dziewczyna zaczęła przez szparę penetrować ciemności snopem światła. Mignęła mu stara drabina oparta o jedną ze ścian, prowadząca w dół przez otwór w podłodze. Fanyi została na pokładzie przyświecając

mu latarką, a Sander zszedł po drabinie, sprawdzając dokładnie każdy jej szczebel, zanim odważył się stanąć na nim całym ciężarem.

Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, zawalonym porozbijanymi przedmiotami, tak zabrudzonymi przez morze, że nie był w stanie ich zidentyfikować. Jednak drabina wiodła dalej. Tak więc i on zszedł niżej, docierając do większego pomieszczenia, gdzie wzdłuż ścian piętrzyły się dziwnie wyglądające skrzynie. Wszystko nosiło ślady wody i było zniszczone. Krzyknął, a Fanyi spuściła mu latarkę, po czym sama zaczęła gramolić się w dół, podczas gdy on oświetlał jej szczeble. Kiedy stanęła przy nim, zapatrzyła się ze zdumieniem na zagadkowe przyrządy pod ścianami.

— Czego oni używali, ci Poprzedni Ludzie, do napędzania swojego statku? — rzuciła pytanie w zastale, przesycone zapachem morza powietrze. — Na górze nie ma śladu masztu ani wiosła.

Uwaga Sanderą skupiała się na obfitości metalu. Widać było, że w wielkiej powodzi Czasu Ciemności statek ten był jedynie bezwolną zabawką, a wody przelewające się przez dziurę powyżej dokonały niepowetowanych zniszczeń. Mimo to większość metalu nadal pozostawała mocna. Zdrapawszy naniesiony przez morze osad i rdzę można było zobaczyć, jak błyszczący i twardy był pod spodem.

Z prawej strony, za stosem sfatygowanych sprzętów rzuconych beładnie pod ścianą, widniał owal zamkniętych dokładnie drzwi. Ruszył ostrożnie przez pokrywające podłogę odpadki, przekonany, że musi tam być jakaś klamka. Znalazł koło — może należało je przekręcić?

Lecz choć wyteżył całą siłę ramion, urządzenie nawet nie drgnęło. Wyciągnął zza paska młotek i rozpoczął metodyczny atak na koło, choć pomieszczenie było tak ciasne że nie mógł się porządnie zamachnąć.

Najpierw odłupał z powierzchni wiekową naleciałość z rdzy i morskich żyłatek. Wkrótce też uparty zawór nieznacznie drgnął, zwiększając jego podniecenie. Uderzał coraz silniej, aż, z nagłą elastycznością, koło poruszyło się ze zgrzytem. Teraz Sander walił młotem jeszcze szybciej, uderzając z kowalską precyzją pod najbardziej podatnym kątem.

Przypuszczał, że naprowadził koło na ząbek zamka, który zwolni zapadkę. Wokół krawędzi drzwi widniał osad, który je wręcz zacementował. Przez dłuższą chwilę zajmował się jego odłupywaniem.

Wreszcie odrzucił młot i uchwycił oburącz koło, otwierając z wysiłkiem

drzwi. Z ciemnej czeluści buchnął powiew duszącego powietrza. Powietrze... pod powierzchnią morza?

Sander bezceremonialnie wyrwał Fanyi latarkę, kierując jej promień w głąb ciemnego pomieszczenia. Zobaczył stół, który musiał być na stałe przymocowany do podłogi, gdyż nie poruszyły go nawet perturbacje, jakim ulegał ten dziwny statek w dniach swej zagłady. Nadal był on otoczony ławkami. Pod nimi, stoczywszy się w niższą stronę...

Usłyszał, jak Fanyi wstrzymała oddech. Oboje już nieraz widzieli śmierć, gdyż zdarzała się często w ich świecie. Lecz to była śmierć, jakiej dotąd nie widzieli. Te pokurczone, zasuszone zwłoki nie wykazywały teraz żadnego podobieństwa do ludzi.

— Zatrzasnęli się w środku — powiedziała cicho Fanyi: — a potem morze zabrało ich statek i już nie było ucieczki. Ludzie Poprzedniej Epoki! Patrzymy teraz na Poprzednich Ludzi!

Lecz te kukły, nadal przyodziane w strzępy ubrań... Sander nie mógł uwierzyć, że tacy jak oni byli niegdyś kroczącymi dumnie ludźmi, panami swego świata. Zapamiętywacze opowiadali, że Poprzedni Ludzie byli więksi, silniejsi i pod każdym względem doskonalsi od tych, którzy obecnie zamieszkują okaleczone ziemie pozostałe po Czasie Ciemności. Ci tutaj... ci nie byli bohaterami tamtych opowieści! Pokiwał z wolną głową nad własnymi myślami.

— Oni są... byli... tylko ludźmi — powiedział, dopiero w tym momencie uświadamiając sobie, że w skrytości ducha zawsze wierzył, iż tamci przodkowie musieli się bardzo różnić od żyjących obecnie.

— Lecz — dodała Fanyi łagodnie — jakimi ludźmi musieli być! Przecież ten statek narodził się z ich marzeń. Jestem przekonana, że jest jednym z tych, które, jak głoszą podania, pływały pod wodą zamiast na powierzchni.

Nagle Sanderowi przestało się to podobać. Jakimiż ludźmi były kiedyś te nieszczęsne szczątki, które zatrzasnęły się w metalowej skorupie, by podróżować pod wodą? Poczuł, że się dusi, ściśnięty tak samo jak w sieci leśnych ludzi. Tak, może mimo wszystko Poprzedni Ludzie należeli do innego gatunku, posiadając taki rodzaj odwagi, jakiego, mówiąc szczerze, on sam nie posiadał.

Cofnął się o kilka kroków, straciwszy ochotę na dalszą penetrację statku. Mogliby wysprzątać śmieci z górnej kabiny i schronić się tam aż do nocy. A te szczątki powinny spoczywać w pokoju w tym wybranym za życia grobowcu.

— To miejsce należy do nich — przemówił cicho, jakby bał się zbudzić kogoś

śpiącego. — I niech tak pozostanie.

— Tak — zgodziła się Fanyi.

Wspólnie pchnęli drzwi, zamykając je za przeszłością, i wspięli się po drabinie na górny poziom. Zgarniając możliwie najdokładniej śmieci w małej kabinie, Sander natknął się na kawałki metalowego drutu, które nie były prawie wcale skorodowane. Rozpoznał w nich coś, co Handlarze nazywali „nierdzewną stalą”. Była to jeszcze jedna tajemnica Poprzedniej Epoki, gdyż stal ta nie korodowała, nie można jej też było skopiować. Najchętniej zabrałby ze sobą wszystkie te kawałki, lecz zdawał sobie sprawę, że ich nie udźwignie, toteż z ciężkim sercem dokonał wyboru. Niektóre z nich można było wykorzystać jako groty strzał. Sander cały czas spodziewał się, że znajdą miejsce, gdzie będzie mógł pracować w swoim fachu.

Fanyi z kolei przeczesywała śmieci w poszukiwaniu strzępów materii, na której widniały kreski i wzorki stanowiące jej zdaniem przykłady dawnej sztuki pisania. Te, które dawały się spakować, upychała do małej sakwy.

W końcu oczyścili całkiem spory kawałek podłogi, na którym, choć ściśnięci, mogli się pomieścić. Węzacz odmówił wejścia na pokład, mimo iż Fanyi wabiła je pieścizotliwie. Zamiast tego usadowiły się w cieniu przechylonego statku. Po Rhinie nie było śladu. Zlustrowawszy dokładnie część pustyni wokół statku Sander nie dostrzegł też nic, co świadczyłoby o tym, iż są ścigani przez amfibiany.

Podzielili się garstką suszonych owoców Fanyi, po czym wydzielili sobie i węzaczom po kilka łyków wody. Następnie skuleni oczekiwali nadejścia zmroku.

Na zewnątrz było piekielnie gorąco, tu jednak nie odczuwało się tego piekącego, bezlitosnego skwaru, więc zdołali się zdrzemnąć. Sandera zbudził przeraźliwy skowyt, który towarzyszył mu przez większą część życia. Nie można było pomylić wycia kojota. Przeczółgał się nad Fanyi, mamrocząc coś przez sen, i przystawił drabinę, żeby wyjść na pokład.

Rhin stał na tylnych łapach, wbijając pazury przednich w wyłobienia burty statku. Zaskowyczał ponownie, przejmująco, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Nie było to jednak ostrzeżenie.

Sander zjechał w dół po linie. Rhin obwąchał go radośnie. Pysk kojota i sierść na przednich łapach były mokre lub co najmniej wilgotne, ze śladami przylepionego do nich piasku z dna morskiego. Rhin znalazł wodę!

— Co się dzieje? — u góry pojawiła się Fanyi.

— Rhin znalazł wodę!

— Jeszcze jedna rzeka?

Sander zastanowił się nad tym, gnębiony złymi przeczuciami. Od czasu przygody z amfibianami będzie na wszystkie strumienie spoglądał z dużą rezerwą. Lecz wodę musieli mieć! W przeciwnym razie pozostawało im jedynie cofnąć się zupełnie na zachód.

W tym momencie po raz pierwszy pożałował, że nie istnieje bardziej bezpośrednia metoda komunikacji pomiędzy człowiekiem a kojotem: że nie może zadać Rhinowi pytania i dowiedzieć się, co znajduje się na wschodzie, gdzie ten wcześniej zniknął. Jednego był wszakże pewien: Rhin znał już niebezpieczeństwo w postaci amfibianów, tak więc nie poprowadziłby ich w żadną zasadzkę. Podzielił się tą myślą z Fanyi, która się z nim zgodziła.

Zajście słońca złagodziło żar pustyni, lecz ciągle dokuczał im słony kurz unoszący się spod stóp. Rhin, taszczyący znowu swoje brzemie, kłusował pewnie w kierunku, który według Sandera odwodził ich jeszcze dalej od lądu. Jednakże nieograniczone zaufanie do kojota umacniało go w przekonaniu, iż zwierzę wie, dokąd zmierza.

Zanim wzeszedł księżyc, węzacje gwałtownie wysforowały się na czoło małej grupki i zataczając pętle pognały swoim charakterystycznym, węzowatym chodem naprzód, znikając między wznoszącymi się ku niebu skałami, które niegdyś musiały być rafami wystającymi nad powierzchnię wody. Tworzyły one ostro zakończone, urwiste grzbiety, na które trudno było się wspinać.

Po drugiej stronie jednego z nich natknęli się na drugi głęboki uskok w dnie pooceanicznej pustyni. Jego krawędzie stanowiło kolejne rumowisko starych, obrobionych ludzką ręką bloków. Wśród nich latarka Fanyi (której zmuszona była używać ze względu na nierówne podłoże) wyłowiła okrągły brzeg studni. W niej jak matowe lustro, które nie ma czego odbijać, połyskiwała powierzchnia wody.

Studnia (latarka Fanyi zatoczyła koło, by wyłović jej obwód) była owalna, o wiele za symetrycznie ukształtowana, by mogła stanowić twór natury. Kawalek krawędzi z jednej strony odpadł, pozwalając wodzie przelewać się i uciekać wąską strużką do krawędzi uskoku, gdzie tworzyła miniaturowe wodospady. Ta część uskoku znajdowała się już poza zasięgiem światła latarki.

Sander skosztował wody. Była słodka i świeża. Pił ją złożonych dłoni, rozpryskując ją sobie na zakurzonej twarzy. Małeńkie strumyczki spływały mu po karku i piersi, zmywając brud pustyni. Węzacje zanurzyły pyski w wodzie, chlepcząc

ją głośno. Fanyi poszła za przykładem Sandera napiła się, a potem umyła, wzdychając na końcu z zadowoleniem.

— Ciekawe, kto to zbudował? — powiedziała, siadając na piętach.

Sander wyciągnął bukłak, wylał jego zawartość w jałowy piasek, a następnie wypłukał, przygotowując do ponownego napełnienia. Źródło słodkiej wody w samym środku oceanu — czy też tego, co niegdyś było oceanem! Lecz na długo przedtem był tutaj ląd. Nad tą ocembrowaną studnią zawisł ciężko okres minionych wieków. Ludzie liczyli teraz sezony, jakie upłynęły od Czasu Ciemności. A Zapamiętywacze naliczyli około trzystu lat od końca jednego świata i początku tego.

Lecz jak długo przedtem został odsłonięty po raz pierwszy ten morski ląd, tak że ludzie — a w każdym razie istoty inteligentne — usypały te stosy kamieni, których nawet długie wieki nie starły doszczętnie: tytaniczną budowlę, której przesuwające się morza nie zmyły całkowicie? Poczuł się oszołomiony, próbując myśleć o latach, które z pewnością musiały być liczone nie kolejnymi pokoleniami ludzi, lecz powolnym przemijaniem tysięcy sezonów.

Nie było tu nic z tej atmosfery rozpacz i utraty, jaką wyczuwał na podwodnym statku. Nie łączyło go żadne pokrewieństwo z tymi prapradawnymi budowniczymi. Być może nie byli oni nawet istotami ludzkimi w sensie, w jakim on i jego rasa rozumieli teraz człowieczeństwo. Żałował, że Kabor, senior Zapamiętywaczy Wspólnoty, nie może być tego świadkiem, chociaż ten widok i tak nie obudziłby w jego dobrze wyćwiczonym umyśle nawet cienia wspomnienia.

Zanim opuścili zapomnianą studnię, jeszcze raz się napili. Już dwukrotnie udało im się znaleźć wodę na pustyni. Sander nie miał żadnej pewności, że takie szczęście przytrafi im się po raz trzeci. Wydawało mu się, że najlepiej zrobią, jeśli skręcą teraz z powrotem na zachód. Tutaj nie było żadnej zwierzyny, na którą można by zapolować. Głód może pokonać ich równie szybko i z równie śmiertelnym skutkiem co brak wody. Im prędzej dotrą do prawdziwego lądu, tym lepiej; niezależnie od tego, czy zlokalizują cel podróży Fanyi, czy też nie.

Kował spodziewał się, że dziewczyna zaprotestuje przeciw jego propozycji gwałtownego zwrotu na zachód. Nie zrobiła tego jednak, choć przez długą chwilę trzymała wisior, skupiając na jego powierzchni światło, jakby w ten sposób mogła sprawdzić, jaką drogą pójść.

Na tej trasie nie mogli nadrobić czasu. Teren był bardzo wyboisty i pofałdowany, a strome wzniesienia pozostałe po dawnych rafach stanowiły

dodatkowe utrudnienie, zmuszając do nakładania drogi przez ich obchodzenie. Ich ubrania, ciała, twarze, a nawet włosy — wszystko pokryte było piaszczystym pyłem, a sierść trzech zwierząt wydawała się zupełnie matowa. Ponieważ była już głęboka noc, Sander rozglądał się za jakimś schronieniem, w którym mogliby doczekać dnia.

Po wschodzie księżyca zrobiło się trochę jaśniej. Fanyi Wyłączyła swoją latarkę z Poprzedniej Epoki. Może na godzinę przed świtem Sander odczuł gwałtowny spadek temperatury. Był wcześniej spocony, więc nagły chłodny wiatr sprawił, że zaczął dygotać. Zatrzymali się, aby Fanyi mogła przepakować meczy i nałożyć opończę. Zrobiło się tak zimno, że widzieli, jak ich oddechy zamieniają się w powietrzu w białe obłoki pary.

Zmiana nastąpiła tak nagle, że Sander zastanawiał się, czy nie nadciąga burza. Jednak jak dotąd gwiazdy nie były przesłonięte chmurami. Bardziej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie, że muszą znaleźć bezpieczne schronienie.

Szli wolno, kuląc się z zimna i ledwie powłócząc nogami, kiedy na horyzoncie zamajaczył jakiś ciemny masyw. Sander wyprostował się, żeby lepiej zobaczyć to wzniesienie, zastanawiając się, czy nie zbliżają się przypadkiem do byłej wyspy, która obecnie wyrastała jak góra nad tą ogołoconą równiną.

Fanyi błysnęła latarką, ustawiając wisior bezpośrednio w strumieniu światła.

— Tędy! — zabrzmiał jej głos, kiedy snop światła przesunął się w kierunku ciemnego płaskowyżu, wskazując drogę naprzód. Była w tym momencie tak pewna siebie, że Sander skłonny był bez pytania podążyć za nią i pod jej przewodnictwem.

Rozdział siódmy

O świcie dotarli do podnóża klifu. Zwały poplamionych rdzawymi naciekami ociosanych kamieni upewniły Sandera, że mają przed sobą pozostałości miasta Poprzednich Ludzi. Walające się wszędzie śmieci i odpadki ostrzegały, że zniszczenie miasta jest tu daleko posunięte, i możliwe, że pozostało bardzo niewiele rzeczy przedstawiających jakąkolwiek wartość. A i te mogli znaleźć jedynie wówczas, gdy uda im się wspiąć na górę.

Jeśli to miasto miało kiedykolwiek składnicę, której Fanyi szukała, to zdaniem Sandera jej poszukiwania z góry skazane były na niepowodzenie. Poczł również ukłucie zawodu, mimo iż wmawiał sobie, że nigdy tak naprawdę nie wierzył w istnienie tego jej skarbcza wiedzy.

Kiedy spojrzł na dziewczynę, w wyrazie jej twarzy nie dostrzegł jednak oznak zmartwienia. Przeciwnie, wpatrywała się w tę kupę kamieni, jakby dawała jej ona szansę wspięcia się ku temu, co leży powyżej. Wykazywała takie ożywienie, jakby była pewna, że jest na właściwym tropie i że to, czego szuka, jest blisko.

— Czy to jest to miejsce? — spytał.

Fanyi znów miała w ręku swój wisior. Powoli odwracała się od klifu, aż ponownie stanęła z twarzą skierowaną na zachód.

— Nie tutaj — odparła ze spokojnym przekonaniem — lecz tam — skinęła ręką w kierunku bardziej odległej smugi lądu.

Sander był zdania, że leżące nad nimi miasto zostało zbudowane na cyplu wysuniętym w zanikłe morze lub nawet na wyspie. Aby dotrzeć do prawdziwego wybrzeża z Poprzedniej Epoki należałoby w dalszym ciągu posuwać się dalej na zachód.

Potrzebowali jedzenia i wody. Sander wątpił, by którą z tych rzeczy udało się znaleźć w ruinach miasta. Pomyślał że może lepiej trzymać się dna morskiego, kierując się bezpośrednio ku lądowi.

Nie przewidział jednak nadejścia burzy, którą wcześniej zwiastował tamten zimny wiatr. Ni stąd, ni zowąd w ciągu kilku chwil pojawiły się chmury, a wiatr zaczął siec lodowatymi podmuchami, przesywającymi ich na wylot.

Zwierzęta podjęły decyzję za nich. Jak dwie smugi skłębionej sierści wężacze wdrapały się na pochyłość, tworząc ogromną i nierówną klatkę schodową prowadzącą

do położonych wyżej ruin. Rhin trzymał się tuż za nimi. W pospiesznej ucieczce tej trójki Sander odkrył coś tak alarmującego, że bez namysłu podążył za nimi. Na zmysłach Rhina polegał bardziej niż na własnych. W przeszłości niejednokrotnie słuch i węch kojota ratowały mu życie. Jeśli Rhin wybrał tę drogę, uczynił to z konkretnej przyczyny.

Oba wężacze i kojot stapały pewnie po tym nierównym szlaku. Sander i Fanyi, dygocąc przy każdym podmuchu wiatru, musieli iść wolniej. Zbyt wiele kamiennych bloków kołysało się pod ich ciężarem, a niektóre spadały z łoskotem w dół pod naporem wiatru. Przyciskając się do każdej napotkanej stabilnej powierzchni łapali kolejny oddech, po czym uparcie brnęli naprzód.

W końcu przeczołgali się nad niebezpiecznym nawisem nawarstwionych bezładnie materiałów, docierając do zdziczałego terenu pokrytego hałdami, z których sterczały zardzewiałe skorupy metalu, pod dotykiem obracające się w proch.

Lecz oprócz tego widniały tu ślady roślinności. Była skręcająca się teraz od dotyku mrozu winorośl, anemiczna trawa w postrzępionych kępkach i coś na kształt połamanych od wiatru drzew.

Pierwszą myślą Sanderą było omijać wszelkie kupy gruzu, stwarzające prawdopodobieństwo zawalenia się. Spoglądał ustawicznie ku górze, wypróbując jednocześnie stopami drogę, ostrożnie, by nie nadepnąć na coś, co mogłoby się katastrofalnie obsunąć pod jego ciężarem. Fanyi posuwała się za nim, stawiając delikatnie stopy na wypróbowanych przez niego stopniach.

Z powodu tych hałd przynajmniej siła wiatru była tu mniejsza. I, chociaż zimno było przenikliwe, nie byli smagani przez mroźne podmuchy.

Zaczęło padać. A deszcz był tak zimny jak wiatr; walił z taką siłą, że w jednej chwili przemoczył ich ubrania, przykleił włosy do czaszek i pokrył skurczone ciała cienką jak szkło warstwą lodu. Sander znał burze na równinach, lecz w niczym nie przypominały one czegoś podobnego.

Wiatr ryczał i wył ponad głowami, zawodząc dziko w prześwitach między hałdami. Niekiedy uszu ich dobiegały trzaski, jakby wichura powodowała obsuwanie się lawin skalnych. Później, kiedy trochę ucichło, Sander usłyszał szczekanie Rhina.

— Tędy — zwrócił się do dziewczyny. Lecz wypowiedziane przez niego słowa zginęły w nowym porywie gwałtownego wichru. Wyciągnął więc rękę i ujął jej dłoń.

Okrążywszy usypisko ujrzeli przed sobą szpaler prawdziwych drzew,

szarpanych teraz przez burzę, zrywającą bezlitośnie liście z gałęzi i tworzącą z nich wirujące chmury, przygniatane natychmiast do ziemi ciężarem deszczu.

Zataczając się w podmuchach wiatru Sander ruszył naprzód, oddalając się od zdradliwych hałd ku drzewom. Gałęzie brały na siebie siłę deszczu, jednak nie całą. Rhin dreptał niecierpliwie w przód i w tył, kiwając łbem, kiedy przenosił spojrzenie z Sandera na rozciągającą się przed nimi drogę, cierpliwie ponaglając ludzi do pośpiechu. Po wężaczach nie było śladu.

Pod stopami wyczuwali względną gładkość wybrukowanej drożki, na którą z obu stron wdzierały się drzewa i krzaki. Nie było tu ponurych zwałów bloków skalnych, grożących obsunięciem się w trakcie pospiesznej wędrówki za kojotem. Po kilku chwilach wyszli na polanę, na której ujrzeli drewniany budynek. Wykonane z bali ściany stykały się ze strzechą uplecioną z grubych gałęzi. Jedyne drzwi stały otworem i nigdzie nie było śladu lokatora, choć dom był najwyraźniej współczesny.

Sander odczepił miotacz i wyjął zza paska strzałę, po czym gestem nakazał Fanyi trzymać się z tyłu, podczas gdy sam ostrożnie prześlizgiwał się w kierunku otwartych drzwi.

Kiedy w drzwiach ukazał się łeb Kai, zorientował się, że jego obawy są zbyt liczne. Ostatnim skokiem kojot, Sander i Fanyi dotarli do wejścia i wpadli do środka. Sander szarpnął drzwi.

Widocznie były przez pewien czas otwarte, gdyż nagromadziła się pod nimi ziemia, którą musiał odgarnąć nim zamknął je na dobre, odcinając się od szalejącej burzy. Ponieważ zamiast okien były tu jedynie umieszczone wysoko pod dachem szczeliny, początkowo było zbyt ciemno, by zbadać otoczenie.

Nie była to prowizoryczna chata, jak sądził na pierwszy rzut oka, lecz duży i solidny budynek. Podłogę stanowiła stosunkowo gładko wypolerowana kamienna powierzchnia, która niegdyś mogła być częścią drogi. Pod przeciwległą ścianą znajdował się szeroki komin, skonstruowany z kamiennych bloków, okopcone od dymu i ognia palenisko było obecnie puste. Z jednej jego strony stała skrzynka, w której rozróżnił kilka ustawionych na sztorc szczap drewna.

Fanyi wyciągnęła swoją latarkę i przesunęła krążkiem światła po ścianach. Wisiały na nich półki. W większości były ogołoczone, z wyjątkiem jednego czy dwóch małych pudełek. Pod półkami znajdowały się konstrukcje, które mogły być jedynie podnoszonymi na zawiasach łóżkami. Pełno w nich było skłębionych liści i kawałków sierści.

Sander uchwycił słaby zapach starego ognia, a nawet, jak mu się zdawało, jedzenia. Lecz poza tym była tu pustka, świadcząca o tym, że miejsce jest od dawna niezamieszkane.

— To jest dom klanu — powiedziała Fanyi. — Widzisz — zatrzymała promień latarki na jednej ze ścian, wskazując duży metalowy hak wbity w kłodę — tam wieszali oddzielające pomieszczenia zasłony. Lecz to był mały klan.

— Czy to twoi krewni? — Dotychczas był przekonany, że Padford było jedynym znanym im osiedlem.

— Nie. Może to Handlarze. Oni także żyją w klanach. Nie zabierają ze sobą na szlak swoich kobiet ani dzieci, ale niekiedy opowiadają o swoich domach. A to miasto mogło być doskonałym miejscem dla ich poszukiwań metalu. Możliwe, że przetrzasnęli już tę jego część i ruszyli dalej. Albo usłyszeli o zasobniej szych terenach gdzieś indziej. Myślę, że to stoi puste dłużej niż przez jeden sezon.

Sander uznał, że budynek jest wystarczająco solidny. Teraz, gdy w przygotowane do tego celu haki wsadzili sztabę, zamykając szczelnie drzwi, o wiele mniej obawiał się siły burzy. Podeszedł do paleniska, by wybrać drewno ze skrzyni. Szczapy były dobrze wysuszone. Bez trudu wykrzesał iskrę z zapalacza i już po chwili grzali się w ciepłe płomieni, które, uspokajając, oświetlały jednocześnie ich nową kwaterę. Wężacze ułożyły się przy ogniu, zlizując wilgoć z futer. Nawet Rhin nie wydawał się za duży w tym przestronnym pomieszczeniu.

Dach nad głową, ciepło... nadal jednak nie mieli co jeść. Fanyi szperała w pojemnikach na półkach. Wróciła z dwoma, zamkniętymi szczelnie ruchomymi pokrywkami. Zawierały niewielką ilość czegoś, co wyglądało na taką samą mąkę jak znaleziona przez Sandera w Padford, oraz kilka płatków jakiejś wysuszonej substancji.

— A zatem nie mogli wyjechać stąd zbyt dawno — zauważyła Fanyi — ponieważ ta mąka nie zdążyła jeszcze stęchnąć czy spleśnieć. A to drugie to suszone mięso.

Natychmiast zrzuciła z siebie swoją kwadratową opończę i rozłożyła ją do wysuszenia przed kominkiem. Zrobiwszy to, umieszała ciasto z mąki i mięsnych płatków, rzucając część wężaczom i Rhinowi.

Sander przechadzał się po długim pomieszczeniu, notując w pamięci szczegóły konstrukcyjne. Jego wybudowanie musiało być bardzo pracołłonne. Nie sądził, by zadano sobie tyle trudu dla postawienia jedynie tymczasowego

pomieszczenia. Zamiarem budowniczych było raczej wzniesienie budowli, która wytrzyma przez pewien czas. Być może była przeznaczona jako mieszkanie sezonowe.

W odległym kącie natknął się na okrągłą metalową pokrywę, wyszczerbioną i zużytą, lecz nadal solidną, umocowaną w jednej z płyt podłogi. Przez jej wierzch przechodził metalowy pręt. Sander pomyślał, że naciskając go można by podnieść wieko. Być może na dole znajdowała się spiżarnia z większą ilością zapasów niż ta mizerna garstka znaleziona przez Fanyi.

Powędrował z powrotem do skrzyni z drewnem, wybrał jedno polano i wrócił z nim, by podważyć te dziwne drzwi. Wymagało to sporego wysiłku, jednak w końcu zdołał przesunąć okrągłą pokrywę na jedną stronę. Przykucnął i wpatrywał się w nieprzeniknioną ciemność w dole. Gdy światło z kominka zamigotało jaśniej, zauważył w otworze wierzchołek metalowej drabiny. A więc rzeczywiście była to droga w głąb!

Położywszy się na brzuchu obmacywał rękoma szczeble tak daleko, jak mógł dosięgnąć. Były one posztukowane chropowatymi kawałkami innych metali. Unoszący się z dołu zapach nie pochodził jednak ze spiżarni. Był do tego stopnia wilgotny i nieprzyjemny, że odrzucał i powodował kaszel. Z drugiej strony dziury stanął większy węzacz i wepchnąwszy w nią łeb zaczął węszyć. Naraz zasyczał, wyrażając tym samym niechęć do nieznanego. Sander na powrót umieścił pokrywę na dawnym miejscu. Nie ciągnęło go do badania w ciemnościach tych podejrzanych podziemi.

Podjął za to dalsze środki bezpieczeństwa, mocując pokrywę dodatkowo kawałkiem drewna przełożonego pod jej uchwytem, tak że wystawał z każdej strony na podłogę, zapierając się o nią. Miał nadzieję, że to zastąpi zamek. Nie miał pojęcia, co może im grozić z dołu, lecz przygody w lesie i z rzeczonymi amfibianami stanowiły wystarczające ostrzeżenie, by zachować daleko idącą ostrożność w nieznanym otoczeniu.

Raz po raz domem wstrząsały poddmuchy wichury. Skupili się możliwie najbliżej ognia, zdejmując stopniowo przemoczone części garderoby i susząc je jedną po drugiej.

Skrzynia na drewno była pełna, lecz Sander obawiając się, że zapas może nie wystarczyć do końca burzy, wodził wzrokiem po półkach wzdłuż ścian. Stwierdził, że w razie konieczności można je zdjąć i wykorzystać do podsycania płomieni. W tej

chwili było wystarczająco gorąco. Buzujący w kominku ogień dawał im poczucie bezpieczeństwa, jakiego z pewnością nie zaznaliby w ruinach.

Po ryku pioruna następował często odległy trzask. Sander był przekonany, że wichur zbiera nowy haracz od zasypanych gruzem hałd. A maleńkie świetliki wysoko pod sufitem stanowiły obramowanie dla lśniących ogni błyskawic. Wężacze i Rhin stały się dziwnie niespokojne; nie grzały się już, tak jak na początku, w ciepłe kominka.

Sander obserwował je spod oka. Nie miał żadnej pewności, że tym, co poruszyło zwierzęta, jest jedynie szalejący na zewnątrz żywioł. Przeciwnie, wyobraźnia podsuwała mu obrazy coraz to nowych zagrożeń, skradających się do ich schronienia. Podniósł się dwukrotnie, pierwszy raz by sprawdzić sztabę mocującą drzwi, później by sprawdzić tę drugą, która miała zablokować wjazd w podłodze. Obie trzymały się mocno.

Po posiłku Fanyi otulona opończą usadowiła się blisko paleniska, rozwiesiwszy do suszenia swoją ubogą bieliznę. Burza włosów spływała jej na ramiona niesfornymi kaskadami, których nawet nie próbowała ogarnąć. Siedziała z zamkniętymi oczyma, z dłonią ponownie zaciśniętą na wisiorze. Otaczała ją aura nieobecności. Wyglądała na śpiącą, choć siedziała sztywna i wyprostowana. Jeśli nie spała, wykorzystwała inną metodę zablokowania teraźniejszości, wycofując się całkowicie we własne myśli. Sander podejrzewał że była to jakaś szamańska sztuczka.

Wężacze przycupnęły cicho po obu jej stronach, złożyły łapy na łapach. Nie spały jednak, gdyż przy każdym najmniejszym nawet ruchu Sander widział ich obserwujące go bacznie, błyszczące ślepie.

Wyłączenie się Fanyi sprawiło, iż poczuł się nieswojo, jakby wystawiono go poza nawias i pozostawiono własnemu losowi. Rhin co prawda leżał spokojnie między kominkiem a drzwiami, lecz jego uszy sterczały nadstawione, jakby nieustannie nasłuchiwał.

Grzmoty zamierały, a błyskawice już nie rozświetlały małych okienek. Jednakże bębnienie deszczu w dach nie zelżało. Po nocnej wędrówce Sander łaknął snu i łapał się teraz na tym, że drzemie, podrywając się raz po raz, by znów po chwili zapaść w drzemkę. Nie chciał kłaść się na łóżko, gdyż wrodzona przezorność nie pozwalała mu zasnąć na dobre. A jego czujność okazała się uzasadniona, gdy Fanyi drgnęła gwałtownie budząc się, otwierając szeroko oczy i unosząc głowę, jakby nasłuchiwała.

Jednakże żadne z trojga zwierząt nie okazywało niepokoju.

— O co chodzi? — spytał z wyrzutem.

Dziewczyna przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

— To myśl... poszukująca myśl... — odpowiedziała niemal bezwiednie, jakby nie chcąc się dekoncentrować.

Nie rozumiał, o czym ona mówi. Myśl... co to jest poszukująca myśl?

— Jest ktoś... ktoś, kto jest biegłym szamanem — kontynuowała. — Lecz to... — jej ręce odsunęły się od wisiora. Wyciągnęła je złożone ku górze, jakby chciała nałapać niewidzialnej wody z niewidzialnego strumienia. — To jest tak silne! I nie jest to myśl w zupełnie czystej postaci... jest jeszcze coś...

— Nie rozumiem tego, co chcesz powiedzieć — przerwał jej Sander opryskliwie, próbując przebić się przez otaczającą ją powłokę nieobecności. — Nie znam się na szamańskich sztuczkach. Czy chcesz powiedzieć, że ktoś nadchodzi?

Spojrzał ponownie na zwierzęta. Mimo iż bacznie obserwowały, zachowywały się spokojnie. Nie wierzył, by Rhin pozwolił się zbliżyć obcemu, nie ostrzegając o tym.

Twarz Fanyi wyrażała raczej podniecenie niż strach. Wyglądało to tak, jakby była kowalem, który właśnie znalazł rozwiązanie jakiegoś skomplikowanego problemu z zakresu wytopu metali. On sam doskonale znał uczucie triumfalnej radości, jaką niosły ze sobą takie chwile.

— To... tu nie ma wroga — zdawała się starannie dobierać słowa. — Nikt nie wie o naszym istnieniu, od razu bym to wyczytała. Czuję moc przesyłania, lecz nie jest to moja moc, a ja nie potrafię określić, czyja. Tyle tylko, że jest ktoś, kto przesyła... Ach!... to zniknęło! — W jej głosie brzmiało rozczarowanie. — Straciłam kontakt.

Sander wiedział, że ona święcie wierzy w to, co mówi. Nie mógł jednak zaakceptować faktów, które zdawały się być tak bardzo częścią jej wierzeń. Weźmy na przykład takiego Zapamiętywacza... Spędził długie lata na „spamiętywaniu”, czyli na słuchaniu w kółko pieśni o minionych wydarzeniach, co było konieczne, aby był w stanie pomóc Wspólnocie w rozwiązywaniu niektórych nowych problemów. Musiał tak zapamiętać genealogię całego rodu, aby nie dopuścić do koligacenia się zbyt bliskich krewnych, osłabiającego ludzkość jako całość. Sposoby pielęgnacji zwierząt, dokładne kontury lądu, który od Czasu Ciemności przemierzali sezon po sezonie, wszystko to kryło się w umyśle Zapamiętywacza, by mu służyć w razie potrzeby. Ale

poszukująca myśl...? Jak można poszukiwać inaczej niż fizycznie, za pomocą oka, głosu, ciała?

— Czy Handlarze mają takich poszukiwaczy? — zapytał teraz.

Ten wędrujący w określonym celu gatunek ludzi, który odkrył Wspólnotę, niewiele różnił się od jego ludu. Owszem, strzegli zazdrośnie swych sekretów. Lecz były to sekrety dotyczące szlaków i miejsc, gdzie znajdowali swój podstawowy asortyment, meta) tak niezbędny do wyrobu narzędzi i broni. Opowiadali straszliwe historie o ziemiach, które przemierzali, by uzyskać ten metal, jednakże większość Wspólnoty zgadzała się z tym, iż w tych opowieściach była metoda: miały odstraszyć wszystkich ciekawskich intruzów. Handlarze znani byli z tego, że mogli zabić, aby nie dopuścić do ulubionego punktu zaopatrzenia kogoś nie należącego do ich klanu. Lecz i oni nie wspominali nic o poszukiwaniu myśli.

— Nigdy o tym nie słyszałam — odparła Fanyi natychmiast. — Handlarze, którzy przyjeżdżali do Padford — potrząsnęła głową — wyglądali mniej więcej tak samo jak inni wieśniacy. Ale przecież my widzieliśmy już dziwne indywidua, nie spokrewnione z naszą rasą. Pomyśl o tych leśnych dzikusach lub o tych, co kotłowali się w rzece. Świat jest pełen dziwów, a kto podróżuje, ten się uczy.

— Handlarze opowiadają dość makabryczne historie, lecz mają one przestraszyć ludzi, a tym samym trzymać ich z dala od ich tajemnic.

— Przynajmniej tak zawsze mówiliśmy — odparła. — Lecz może jest w tym jakieś małe nasionko prawdy.

Sander o mało nie wybuchnął śmiechem, lecz się zreflektował. Faktem było, że jego przekonanie o dominacji w obrębie własnego gatunku zostało poważnie zachwiane przez dwie utarczki z mieszkańcami lasu i rzeki. Chociaż Wspólnota nigdy nie natknęła się na nikogo prócz pasterzy jak oni sami czy odbywających dalekie podróże Handlarzy, czyż mogli na tej podstawie twierdzić, że są to jedyni pozostali na świecie ludzie? Rybacy z Padford różnili się karnacją i sposobem życia od jego własnego rodu. A on słyszała o Morskich Rekinach, tworzących na południu bandy handlarzy niewolników, choć żaden człowiek nigdy nie rozumiał, dlaczego zbierali bezbronnych, by wziąć ich do niewoli. Ci również byli ludźmi — w pewnym sensie.

Teraz zaczął sobie przypominać niektóre opowieści Handlarzy. Przypuśćmy, że ona ma rację... Przypuśćmy, że gdzieś jeszcze grasują uzbrojone bestie ogromnych rozmiarów, zabijające każdego napotkanego człowieka; fruujące stwory — ni to ludzie, ni ptaki — łączące w sobie w tajemniczy i przerażający sposób wymieszane

cechy obydwu i rzucające się z pazurami na normalnego człowieka... Łatwiej już było uwierzyć, że ziemia nadal miejscami wrze i kipi, tak że jeśli ktoś zapuści się za daleko w tę umęczoną krainę, umiera od trujących wyziewów lub tonie w parującym błocie, z którego nie sposób się wydostać.

— Widzisz — uśmiechnęła się Fanyi — zmusiłam cię do ponownego przemyślenia tego, co zastyszałeś. Dlatego może uwierzysz również w to, że gdzieś tam są Szamani, przy których ja jestem jak małe dziecko, wciąż niedouczone, nawet w najprostszych sposobach leczenia. Jakież — rozrzuciła szeroko ramiona, jakby chciała złożyć na piersi coś cennego — jakież cuda mogą istnieć na tym świecie, otwarte na nasze znajdowanie, jeśli tylko mamy odwagę ich poszukać! Jeśli ktoś nauczył się penetrować myśli, to i ja powinnam tego dokonać! Czyż nie należę do rodu, dla którego taka wiedza to chleb codzienny? Mogę się takim jak oni wydawać młoda i niedoświadczona, lecz mogę powiedzieć, zgodnie z prawdą: należymy do tego samego gatunku umysłów, więc pozwólcie mi uczyć się od was.

Sander obserwował jej podniecenie zafrasowany. Owszem, mógł zrozumieć jej głód wiedzy; czyż z nim nie było tak samo? Lecz on pragnął wiedzy przynoszącej konkretne rezultaty, nie zajmującej się tak niedorzecznymi sprawami jak myśli puszczone luzem, by wędrować. Chciał raczej wiedzieć więcej o tym, co może zrobić swymi dwoma rękoma, kiedy ich zręczność jest dobrze spożytkowana przez umysł. To wzbudziło w nim dziwaczne pragnienie, by rozważyć wykorzystanie myśli w jakiś inny sposób; żeby nie tylko towarzyszyła ona fizycznemu działaniu, lecz funkcjonowała zamiast niego, o ile dobrze odgadł, co ona miała nadzieję zyskać.

— Sądziłem — starał się teraz przywrócić ją do rzeczywistości — że szukasz narzędzia zemsty za swój lud.

— A czy nie wiesz — wybuchnęła Fanyi — że sama myśl może stanowić broń, jeśli jest zręcznie wykorzystana, tak jak te twoje kute strzały? Owszem, mam dług wobec zmarłych; niech ci się nie zdaje, że zapomniałam — zarumieniła się pod ciemnobrązową skórą. — A teraz — podniosła się — powinniśmy się przespać. Moje kudłacze i twój Rhin obejmą straż.

— A ogień?

Z dala od paleniska było zimno.

Fanyi roześmiała się:

— Nie martw się. Kai dużo potrafi — położyła rękę na łbie większego wężacza. — On będzie doglądał ognia. Robił to już dla mnie nie raz.

Wybrała pryczę bliżej ognia, zbierając suchą już i nagrzaną bieliznę i owijając się w nią. Sander obserwował, jak się układa, a potem poszedł w jej ślady. Ostatnią rzeczą, jaką widział, był większy węzacz chwytający w potężne szczęki kawał drewna ze skrzyni i wpychający go do ognia ze zręcznością świadczącą o tym, że rzeczywiście wielokrotnie wykonywał tę czynność w przeszłości.

Tak więc Sander ułożył się do snu. I był pogrążony we śnie, w którym przedzierał się przez długi, ciemny tunel, przyciągany głośnymi uderzeniami młota o metal, szukając kowala, który posiadał wszelkie tajemnice i od którego musi się uczyć.

Zimny dotyk na policzku wyciągnął go z tamtego korytarza, zanim jeszcze dojrzał tego tak pracowitego kowala. Nad nim pochylał się Rhin, i to właśnie nos kojota dotykał jego twarzy. Zwierzę zniżyło pysk, trącając go po raz drugi tak mocno, że Sander rozbudził się do reszty i usiadł.

Wycie wiatru i ciężkie bębnienie deszczu ustały. Było tak cicho, że słyszał własny oddech i cichutkie trzaskanie ognia. Lecz węzacz już przy nim nie leżał. Ustawiły się przy zabezpieczonych sztabą drzwiach, każdy z innej strony, i wpatrywały się w nie. A kiedy Rhin stwierdził, że Sander jest już całkowicie przebudzony, popatrzył w tym samym kierunku.

Sander schylił się i sięgnął po buty. Wyschły już jako tako, a mimo to trudno mu było wcisnąć w nie stopy. Mocując się z butami, nasłuchiwał.

Nie uchwycił nic, w pełni jednak polegał na ostrzeżeniu ze strony zwierząt i nie wątpił, że ktoś lub coś znajdowało się na tyle blisko, by pobudzić ich instynkt ostrzegawczy. Czyżby Handlarze wracający do swego domu?

Gdyby tak było, nie musiałby się obawiać. Prawa gościnności, przestrzegane skrupulatnie u wszystkich plemion z wyjątkiem Morskich Rekinów, usprawiedliwiłyby ich wtargnięcie tutaj podczas burzy nawet wśród takich zazdrośników jak Handlarze. Sander żywił szaleńczą nadzieję, że to właśnie oni.

W milczeniu ujął miotacz strzał, poluźnił długi nóż w pochwie i stąpając najciszej, jak potrafił, przemierzył pomieszczenie, by przycisnąć ucho do zabarykadowanych drzwi.

Rozdział ósmy

Fakt, że Sander nic nie słyszał, wcale nie znaczył, że alarm był fałszywy. Przywiesił broń do pasa i odwrócił się do ściany, na której wisały półki. Mógłby ich użyć jako drabiny, wspinając się po nich na wysokość jednego z umieszczonych pod dachem okienek.

Szybko usunął z wybranych półek stojące tam pojemniki i sprawdził miejsca łączenia desek, wieszając się na nich całym ciężarem. Choć drewno skrzypiało ostrzegawczo, trzymały się mocno. Wdrapał się więc na górę, przycupnął chybocząc się na wąskiej górnej desce, po czym balansując dla utrzymania równowagi sięgnął rękoma nad głowę i uczepił się obu stron wąskiego okiennego otworu.

Ku jego zaskoczeniu, otwory zakryte były kawałkami szkła, nie przepuszczającymi powietrza. Takie wyrafinowanie zdumiało go. Czy szkło, ta najbardziej krucha spuścizna Poprzedniej Epoki, rzeczywiście istniało w tym rumowisku, w kawałkach wystarczająco dużych do odtworzenia i uratowania?

Sander przycisnął twarz do szyby. Wyglądając przez nią na zewnątrz odkrył, że szkło nie jest idealnie czyste, lecz ma w sobie bąbelki powietrza i różne zniekształcenia. Niedoskonałości te nie przeszkadzały jednak w dobrym widoku na polanę przed domem.

Mroki burzy rozproszyły się. Oceniając kąt padania bladego światła na drzwi stwierdził, że było późne popołudnie. Nie pora jednak go interesowała, lecz to, co mogło się czaić na zewnątrz.

Teren tuż przed drzwiami był pusty i niezadrzewiony. Zarośla, tworzące pierwszy szereg leśnej roślinności, znajdowały się w pewnym oddaleniu. Ziemię pokrywała cienka warstewka śniegu, na której widniały ślady!

Śnieg musiał spaść pod koniec burzy. Zaczynał już topnieć pod padającymi nań promieniami słońca, zwłaszcza przy krawędziach licznych śladów. Przez pęcherzykowate szkło Sander nie był w stanie rozróżnić ich wyraźnie, lecz zauważył, że były większe od śladów jakiegokolwiek znanego mu zwierzęcia.

Zdawały się bezkształtne, a w ich ogólnych proporcjach było coś... Sander nie pozwolił sobie na spekulacje. Nie miał nawet pewności, czy był to trop jednego, czy może kilku osobników. Być może było to jedno stworzenie, które wyczuło ich obecność i dreptało przez pewien czas tam i z powrotem.

Sander przesunął się nieco na swym punkcie obserwacyjnym. Zobaczył miejsce, w którym te ślady wylaniały się z lasu, lecz nie było żadnego tropu powrotnego. Czyżby stwór czaił się gdzieś z tyłu budynku?

W tym momencie cisza wewnątrz i na zewnątrz domu została zakłócona przez wysoki, płaczliwy krzyk, który tak przeraził Sandera, że o mało nie spadł ze swego szpiegowskiego stanowiska. Z dołu odpowiedziało mu warczenie Rhina, syk węzaczy, a potem ciche wołanie Fanyi.

— Co to było?

— Nie wiem — Sander wyciągał szyję na wszystkie strony, usiłując dojrzeć coś dalej, zarówno z prawa, jak i z lewa. — Coś się tam czai, ale nie widzę, co.

Ledwo wypowiedział ostatnie słowo, na światło słoneczne wytoczyło się, powłócząc nogami, wielkie cielsko. Nadeszło z lewej strony, jakby właśnie ukończyło kolejne okrążanie domu.

Zatrzymało się przed drzwiami, a wysunięta ku przodowi głowa znalazła się niemal na poziomie okienka, przez które wyglądał Sander. Co to było? Zwierzę...? Przecież chodziło w pozycji pionowej! Poza tym przyjrawszy się dokładnie stwierdził, że brudna, skołtuniona sierść nie stanowi części ciała stwora, lecz jest czymś w rodzaju odzienia.

Odzienia? Więc to był człowiek?

Sander przetknął ślinę. To coś było tak ogromne jak tamta leśna samica. Musiało prawie wcale nie mieć szyi, gdyż głowa wyrastała niemal wprost spomiędzy ramion. Pokrywała ją stercząca strzecha sztywnych włosów, których końce opadając zakrywały do połowy małe oczka. Stworzenie niecierpliwym ruchem uniosło wielką, szponiastą rękę — czy raczej łapę — by odgarnąć włosy.

Nie odczuwali pokrewieństwa z leśnymi ludźmi, a ten tu był jeszcze większą karykaturą człowieka. Krótkie i grube nogi podtrzymywały masywny korpus. Dla kontrastu ramiona były tak długie, że kiedy stwór opuszczał je luźno na dół, końce palców dotykały ziemi.

Jego szczęka była bardziej pyskiem niż dolną częścią prawdziwej twarzy i zakończona była sterczącą, rzadką bródką. Ogólnie przypominało to koszmar z dziecięcych snów, z którego człowiek budził się z krzykiem.

Teraz stworzenie pochyliło się, opierając jedną ogromną pięść na zabarykadowanych drzwiach i wyraźnie na nie napierając. Sander usłyszał zgrzytnięcie drewna o sztabę. Czy wytrzyma...?

Rzucił się w panice na dół. Potwór na zewnątrz bombardował właśnie ciosami drzwi, a sztaba mogła lada moment puścić. Warczenie kojota i syki wężaczy przybrały na sile. Jasne, że miały powód, by bać się napastnika.

— To jest... — Sander pospiesznie wyjaśnił dziewczynie, co widział. — Słyszałaś kiedyś o takim?

— Tak, od jednego z Handlarzy — odparła. — Mówił, że one polują na północy i pożerają ludzi. Widzisz, kowalu, tak oto sprawdza się jedna z ich opowieści.

Walenie w drzwi nie ustawało. Sztaba mogła wytrzymać, lecz czy przytwierdzające ją gwoździe okażą się dość mocne? Zostać złapanym tu, w środku... Z tego, co widział, stwór nie miał broni, lecz z tymi potężnymi łapami czyż jej potrzebował? Nic dziwnego, że budownicy tego domu umieścili go nad tym umożliwiającym ucieczkę otworem w podłodze. Sander szybko podszedł do niego i szarpnął umieszczony tam tak pieczołowicie blokujący go kawał drewna. Gdy podważał okrągłe wieko, cały dom drżał już pod gradem ciosów z zewnątrz.

— Weź pochodnię — polecił Fanyi. Ostrzegła go wcześniej, że jej latarka ma ograniczoną długość działania, a nie miał zamiaru uciekać w panujących tam na dole ciemnościach.

Dziewczyna podbiegła do ognia, złapała długą szczapę i wsadziła jeden jej koniec w płomień. O ramię Sandera otarła się jedwabista sierść. Wężacze już niknęły w dziurze. Rhin... Czy Rhin zdoła zejść? Sander miał nadzieję, że tak, jeśli nie będzie obciążony pakunkami. Kojot przytruchtał do boku kowala i opuścił łeb, wężąc u wylotu zejścia.

Potem odwrócił się zadem do dziury i ostrożnie zaczął tyłem schodzić w dół. Kiedy zewnętrzne drzwi pękły na pół, Rhin zniknął, jakby spadł. Moment później z dołu dobiegło jego uspokajające wycie. Sander rzucił w ziejącą czernią dziurę podane przez Fanyi torby i chwycił pochodnię, a dziewczyna zsunęła się na „sztukowaną” drabinę.

Kiedy już znalazła się na dole, Sander zasunął pokrywę do połowy, pozostawiając wąski otwór, przez który mógł się przecisnąć. Leżąc na brzuchu opuścił weń pochodnię w wyciągnięte ręce swej towarzyszki, po czym sam ześlizgnął się na drabinę.

Zszedłszy kilka szczebli w dół zasunął do końca metalowe wieko, wykonując ten ostatni wielki wysiłek przy akompaniamencie dochodzących z góry odgłosów

pękającego drewna. W świetle pochodni dojrzał metalową sztabę przymocowaną do spodniej części wieka, toporny wytwór pracy ludzkiej, który musiał zostać zainstalowany już w czasach obecnych. Ostatnim morderczym pchnięciem przesunął ją, blokując wejście nad głową.

Odkrył, że zeszli do dużego, okrągłego tunelu. Po wężaczach nie było śladu, ale Rhin czekał. Skamlał cicho, demonstrując niechęć do tego miejsca, i od czasu do czasu węszył głośno w cuchnącym powietrzu.

Gdyby ruszyli się stąd, kojot musiałby się czołgać. Fanyi umieściła pochodnię w przeznaczonym do tego celu pierścieniu przymocowanym niedbale do ściany, po czym zajęła się przepakowywaniem dobytku w wygodne do niczenia tobołki, gdyż oczywiste było, że Rhin nie będzie mógł ich nieść w ciasnych korytarzach, przez które ledwie sam się przecisnie. Sander żywił rozpaczliwą nadzieję, że tunel nie zwęży się w dalszej części i że kojot nie utknie w nim na wieki.

— Spójrz — wskazała Fanyi ruchem brody, gdyż ręce miała zajęte supłaniem węzłów.

Zabrany z domu kawałek drewna dopalał się. Lecz pod przytrzymującym go pierścieniem, oparte o ścianę, stało wiele pochodni z prawdziwego zdarzenia. Ich okrągłe główne wykonane z włókna nasączono czymś, co nos Sandera zakwalifikował jako tran.

Wszystkie te zabezpieczenia świadczyły wymownie, iż konstruktorzy domu przewidzieli nagłe wypadki, w których konieczne będzie korzystanie z tych podziemnych przejść. Czy obecna w tej chwili na górze bestia przyczyniła się do opuszczenia przez nich tak doskonale urządzonego schronienia?

Sander zapalił jedną z pochodni, a resztę rozdzielił, dając połowę dziewczynie. Potem, schylając głowę, ruszył w głąb tunelu, słysząc żałosne pojękiwania Rhina przepychającego się z trudem przed Fanyi.

Nie wiadomo, jak długi był ten odcinek tunelu ani nawet w jakim biegł kierunku. Część się kiedyś zapadła, potem była wykopana ponownie i podparta stemplami. Dotarli wreszcie do wyrąbanego w ścianie otworu, którym przedarli się do znacznie większego korytarza, gdzie Rhin mógł już normalnie stanąć. Dołem tego korytarza biegły dwie długie metalowe szyny, wychodzące z ciemności z jednej strony i znikające w niej ponownie z drugiej. Uciekinierzy przystanęli, gdyż Sander nie był pewien, czy skręcić w prawo, czy w lewo.

— Aeeheee! — Fanyi wydała okrzyk przywołujący wężacze i natychmiast

otrzymała odpowiedź z lewej strony.

— Tędy! — Niewątpliwie darzyła swych towarzyszy pełnym zaufaniem. — Pobiegly naprzód i niechybnie kierują się do wyjścia.

Kowalowi pozostawało mieć nadzieję, że jej zaufanie było dobrze ulokowane. Z pochodnią w rękę utrzymaną pod optymalnym kątem, by oświetlała nierówne podłoże, skręcił w lewo.

Wydawało się, że droga pod miastem Poprzedniej Epoki nie ma końca. Choć Sander był prawie pewien, że oblegający dom stwór nie byłby w stanie przecisnąć wielkiego cielska przez otwór w podłodze, nawet gdyby zdołał zerwać pokrywę, nie przestawał nasłuchiwać uważnie odgłosów mogących wskazywać na to, że są ścigani.

Światło pochodni wyłapywało spływające po ścianach strużki brudnej cieczy. Poza tym tunel był w zupełnie dobrym stanie: dach się nie walił, a ściany stały mocno. Później światło padło na coś, co niemal zaparło mu dech.

Podszedłszy bliżej stwierdził, że nie jest to zawalona ściana, lecz sterta rdzewiejącego metalu; wypełniała korytarz po sam sufit, pozostawiając jedynie wąziutkie przesmyki po bokach. Węzaczce mogły się niewątpliwie tędy przecisnąć, podobnie jak on i Fanyi, wątpił jednak, czy uda się to Rhinowi.

Wręczywszy pochodnię dziewczynie, Sander poszperał w swoim tobołku i wyjął torbę z narzędziami. Wybrał najcięższy młotek i ruszył zmierzyć się z kupą żelastwa.

Pod pierwszym ciosem metal wygiął się, zamieniając się w niektórych miejscach w rdzawy pył. Nie był pewien, czy istotnie jest to najlepszy sposób utorowania przejścia, w każdym razie należało spróbować. Pomimo przejmująco zimnej wilgoci spocił się tak bardzo, że musiał na chwilę przerwać i zdjąć skórzaną kapotę i koszulę. Bolały go plecy i ramiona odwykłe przez tak długi okres od dyscypliny codziennej pracy. Mimo to zamachiwał się i uderzał w rytmie, który prędko mu się przypomniał, ponieważ od dawna miał go we krwi. Centymetr po centymetrze poszerzał przejście z lewej strony.

Na szczęście nie musiał usuwać zbyt wiele z przeszkody. Posuwał się wolno naprzód. Za nim, z uniesioną wysoko pochodnią, szła Fanyi, za którą wpychał się ostrożnie Rhin. W połowie drogi przez przeszkodę zagiew się wypaliła i dziewczyna musiała zapalić następną z zapasu który dźwigała.

Metal był niezwykle kruchy. Sander domyślał się, że erodująca wilgoć stała się przyczyną zżerającej go rdzy. Badając stopień zniszczenia, zrobił sobie przerwę na

oddech i próbował odgadnąć, do czego niegdyś służyła ta kupa złomu. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie używano jej do transportowania ludzi bądź zaopatrzenia pod powierzchnią miasta.

Ilość kurzu wzbijanego uderzeniami młota zwiększała się, powodując, że dławili się kaszlem, Fanyi oderwała więc kawałki materiału od swojego ubrania i, zmoczywszy je wodą z bukłaka, zrobiła z nich maski na usta oraz na pysk Rhina.

Sanderowi dzwoniło w uszach od miazdzących uderzeń młota. Jeśli potwór szedł za nimi, nie będzie miał najmniejszych trudności z odgadnięciem, w jakim kierunku się udali.

Pod kolejnym uderzeniem padła ostatnia metalowa płyta i znów mieli przed sobą wolną drogę. Sander był głodny, a w ustach zaschło mu z pragnienia. Jednakże wszelkie lekarstwo na ten stan znajdowało się nadal przed nimi i mogli jedynie mozolnie brnąć jak najszybciej naprzód.

Dotarli do rozwidlenia dróg. Fanyi znowu krzyknęła na wężacze, lecz tym razem nie było odpowiedzi. I choć przybliżali pochodnię do ziemi, nie udało im się wykryć żadnych śladów. Sander zwrócił się do Rhina. Po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia tej podziemnej wędrówki kojot zdecydowanie ruszył z kopyta.

Spuścił łeb i obwąchawszy brzegi zardzewiałych szyn oraz przeszukawszy grunt między nimi, zawył rozkazująco i ruszył klusem środkiem żelaznej drogi. Na szczęście nie natknęli się na więcej metalowych zatorów. Lecz korytarz obniżał się coraz bardziej, a na ścianach zaczęły się pojawiać rozległe plamy wilgoci, świadczące, że niegdyś woda sięgała tu niemal po sam sufit.

Sander przyglądał się tym ścianom. Mogły przecież być tak nadgryzione zębem czasu, że nawet najmniejszy wstrząs wywołany przejściem ich grupy mógł spowodować zawał, wskutek którego zostaliby tu uwięzieni czy nawet zabici. Ponaglani przez niego, przeszli najszybciej, jak to było możliwe. Mimo to wydawało mu się, że posuwają się w żółwym tempie i nasłuchiwał w napięciu teraz już nie potwora, który atakował dom, lecz jakiegoś odgłosu przesuwania nad głowami.

Fanyi krzyknęła i wskazała przed siebie. Leżała tam kupa takiego samego gruzu, jaki widzieli w hałdach na powierzchni. Ten tutaj tarasował całe przejście. Lecz ponad nim, w suficie, widniała niesymetryczna wyrwa, pod która rumowisko tworzyło niestabilną platformę.

Z otworu zwisał łeb, wlepiający w nich ślepie. Najwidoczniej wężacze skwapliwie skorzystały z tej drogi ucieczki, nawet jeśli wyglądała tak podejrzanie.

Łeb Kai zniknął, gdy Rhin ruszył naprzód.

Stawiając niesłychanie ostrożnie, jedna po drugiej, przednie łapy kojot dotarł do połowy wysokości zwału, z którego w trakcie jego wspinaczki osypywały się strużki żwiru i drobnych kamyków. Przystawał nieruchomo, obwąchując kolejny odcinek wzniesienia przed sobą, jakby zapach mógł go upewnić, czy utrzyma jego ciężar, czy nie.

Kiedy Rhin wspinał się mozolnie, Sander i Fanyi odsunęli się kilka kroków w tył. Kojot dyszał ciężko/Spomiędzy na wpół rozwartych szczęk zwisał wysunięty/język, z koniuszka którego kapąła ślina. Stawiał każdą łapę z delikatną precyzją.

Znów w górę, i kolejna kaskada jeszcze drobniejszego gruzu. Jeszcze tylko jedna długość i jego łeb znajdzie się na zewnątrz. Sander podczołgał się do podnóża usypiska i uniósł jak najwyżej pochodnię, żeby poświecić Rhinowi.

Jeszcze raz osypał się żwir, wlokąc za sobą ten sam szorstki piasek, który zgrzytał im pod stopami, gdy przemierzali poccoceaniczną pustynię. Łeb i barki Rhina były już na zewnątrz. Jego mięśnie napinały się wyraźnie, kiedy parł ku górze, gramoląc się wściekle na brzeg otworu przednimi łapami.

Sander odskoczył, by uciec przed obsuwem spowodowanym szarpaniną Rhina. Teraz kojot, który był już na zewnątrz, wsadził łeb do dziury, spoglądając w dół i poszczekując ponagłajaco na ludzi, by jak najszybciej pospieszyli w jego ślady.

Kowal zapalił drugą pochodnię, potem trzecią. Wcisnął je w zbocze zwału, tak że rzucały pełne światło na tę zdradliwą, przesuwającą się powierzchnię. Rozsuptał znów tobolek i wyciągnął zwój zaplecionej w warkocz skórzanej liny, po czym powiedział do Fanyi:

— Wchodzę na górę. Jak już tam będę, obwiąż sznurem nasze pakunki i stań w bezpiecznej odległości, dopóki ich nie wciągnę. Potem zrzucę linę tobie. Przewiąż się mocno w pasie i spokojnie się wspinaj.

Przewiązawszy koniec liny wokół pasa, zwrócił się w kierunku pochyłości. Tamto ostatnie osunięcie się żwiru i kamyków szczęśliwie odkryło krawędzie kilku większych głazów, obiecujących bardziej stabilne oparcie dla stóp. Wypróbował najniższy z nich, po czym ostrożnie nań się wdrapał.

Krawędź była bardzo wąska, ledwie starczało miejsca na oparcie palców. Dłonie dwukrotnie ześlizgiwały się po sypkim materiale, zanim pod ruchomą warstwą natrafiły na lity kamień. Posuwając się ostrożnie wężowatymi ruchami, zdołał dotrzeć

do drugiej krawędzi. Rhin spoglądał w dół, a jego skamlenie przybierało na sile. Wyrażał w ten sposób zachętę dla jego wysiłków.

Ostatni odcinek był najbardziej zwodniczy. Rhin w czasie swej wspinaczki wyłamał krawędź. Aby dostać się na kruszące się resztki, Sander musiał przeczołgać się przez coś, co w przyćmionym świetle wyglądało na bardzo niepewny fragment powierzchni. Przez długą chwilę nie ruszał się, starając się oddychać równo i uspokoić nerwy przed tą ryzykowną przeprawą. Choć nigdy nie przyznawał się do tej słabości, nienawidził wdrapywania się na wysokości, nawet jeśli powierzchnia, po której miał się wspiąć, była bardzo gościnna. Wiedział wystarczająco dużo, by nie oglądać się za siebie i koncentrować się wyłącznie na tym, co jest przed nim. Nie mógł tkwić tu w nieskończoność; nie pozostawało nic innego, jak zaufać losowi oraz własnym siłom i podjąć tę ostatnią próbę.

Zagłębił obie ręce w rumowisku, szukając lepszego oparcia. Czuł, że zdziera sobie paznokcie, a przesuwające się kamienie miażdżyły mu boleśnie palce. W końcu jednak uchwycił się kurczowo czegoś, co nie przesuwało się, gdy z wolna napierał coraz większym ciężarem.

Ponieważ cała powierzchnia pod nim zdawała się pękać, Sander podciągnął się do góry. Zdołał jakoś znaleźć stabilne oparcie pod jedno kolano, co wykorzystałby wypchnąć się wyżej. Ciągłe znajdował się centymetry od krawędzi i bał się bardziej niż kiedykolwiek zaufać jakiemuś uchwytowi.

Łeb Rhina zakołysał się. Bez ostrzeżenia kojot kłapnął zębami, zaciskając szczęki na skórzanej kapocie opinającej ciasno barki Sandera. Kły zwierzęcia przebiły okrycie i drasnęły skórę chłopaka, który wrzasnął przestraszony.

Nieoczekiwane posunięcie Rhina wywindowało go na górę, gdzie, podobnie jak wcześniej kojot, stracił równowagę i zaczął się ślizgać na pokrytym muszelkami i skorupiakami gruncie, w pełnym blasku wielkiego, świecącego księżyca.

Po tym wszystkim wciągnięcie ich dobytku oraz znalezienie odpowiedniego kawałka skały do obciążenia liny i ponowne jej rzucenie do Fanyi były bagatelką. Z liną przewiazaną wokół talii, wspomagana siłami Sandera, wspięła się na górę łatwiej i szybciej niż on.

Kiedy oboje znajdowali się na górze, mieli okazję rozejrzeć się dookoła. Na zachodzie rysowały się linie spadzistej plaży. Na wschodzie rozciągał się płaskowyż, który kiedyś musiał być wyspą, a na którym obecnie leżały ruiny dawnego miasta. Tunel, którym tu doszli, przebiegał niegdyś pod odnogą morza, łącząc wyspę ze

stałym łądem.

Jednakże miejsce, w którym się znajdowali, było zbyt odsłonięte. Być może tamten stwór nie śledził ich w podziemnych korytarzach. Lecz jeśli on lub jego ewentualni towarzysze mają kryjówkę w mieście, któryś z nich mógł zauważyć ich małą gromadkę tutaj, na odkrytej przestrzeni, i ponownie ruszyć ich śladem.

Schylając się po bagaż Sander stwierdził, że jego ciało drży. Zabiegi w tunelu, głód i napięcie związane z ostatnią wspinaczką, zbierały teraz żniwo. Dotrzeć do dawnego wybrzeża i znaleźć tam jakieś schronienie — do tego musi teraz nakłonić własne ciało.

Jedynym plusem tej otwartej przestrzeni było to, że mogli ponownie załadować pakunki na Rhina. Sander grzebał się z liną, pakując i obwiązując manatki. Mieli jeszcze zapas pochodni, lecz lepiej było ich nie zapalać i nie ujawniać się żadnym wrogim oczom. Światło księżycy musi im wystarczyć.

Potykając się często, Sander maszerował z jednej strony kojota, a Fanyi z drugiej. Węzaczki znów zniknęły. Kowal przypuszczał, że skierowały się na plażę.

Idąc chwiejnym krokiem usiłował opanować drżenie rąk. Wstydzził się okazać zmęczenie przed Fanyi.

Na szczęście teren wznosił się ku górze stopniowo. Nie trzeba było wspinać się na żadne klify. Gdy wreszcie dotarli do wybrzeża, pogrążeni po kostki w piasku plaży, znaleźli się w otoczeniu całej masy głązów i rosnącej między nimi trawy. Sander zadarł głowę szukając lasu, maskującego takie samo wybrzeże na południu, które opuścili, jak mu się teraz wydawało, wieki temu.

Jednak nie było widać ciemnej linii drzew. Ten łąd był o wiele bardziej odsłonięty, choć tu i ówdzie widniały takie same hałdy gruzu, jakie znaczyły wyspę. Prawdopodobnie miasto rozciągało się na wielkim obszarze, a jego budynki wyszły również na stały łąd.

— Poszukajmy szybko jakiegoś schronienia — w głosie Fanyi wyczuwało się nutę napięcia. — Nie wiem, jak daleko jeszcze zajdę ani jak długo utrzymam się na nogach.

Był jej wdzięczny za szczerość, gdyż sam także nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła iść. Jednak jakaś wewnętrzna duma powstrzymywała go przed uczynieniem takiego samego wyznania.

W końcu oboje uczepili się lin przytrzymujących ładunek Rhina, tak że kojot niemal ich ciągnął, i zataczając się doszli do małej kotlinki, gdzie zakorzeniło się

kilka krzaków.

Musiał tu padać śnieg, gdyż gdzieś nadal leżały białe placki, odbijające światło księżyca. Przeszywający wiatr ucichł i noc była bardzo spokojna. Sander zadrżał z zimna. Zesztywniałymi palcami, które utraciły czucie, zaczął gmerać nieporadnie przy postronkach opasujących bagaże, pozwalając im zwalić się z głuchym łoskotem na ziemię. Zza jednego z pagórków ruin wypadły węzaczce. Kai niósł w pysku bezwładne ciało, które rzucił u stóp Fanyi. Był to wielki zając.

Uwolniony od ciężarów Rhin obwąchał zwierzynę, wydał niski, chrapliwy głos i oddalił się zdecydowanie z zamiarem, jak przypuszczał Sander, znalezienia własnego pożywienia. Kowal przyjrzał się dokładniej zagłębieniu, na które tak szczęśliwie się natknęli. Od odnogi pozostałej po morzu pustyni oddzielały ich co najmniej dwa pagórki gruzów. Nie mogli spędzić nocy bez ciepła i jedzenia.

Przyklęknął, by wyrwać z ziemi sztywny krzaczek. Wysuszona, pozbawiona soków roślina bez trudu złamała się pod jego dotykiem. Kilka chwil później płonęło już małe ognisko, a on zabrał się do odzierania ze skóry i patroszenia zająca.

Rozdział dziewiąty

Przez dwa dni nie opuszczali obozowiska. Nie groziły im tu niebezpieczeństwa, na jakie narażeni byli w innych miejscach, nic też nie świadczyło o tym, aby szkarada z dawnej wyspy miała tu krewniaków. Sander chodził na polowania, ogłuszając za pomocą procy zające i zwierzaki podobne do karłowatych jeleni, mniejsze nawet od Kayi. Nie bały się one w ogóle człowieka, z czego wywnioskował, iż nigdy na nie nie polowano. Stanowiło to kolejny dowód, że ląd ten jest bezpieczny dla wędrowców.

Dni stawały się coraz zimniejsze, noce spędzali na przemian na czujnej drzemce i doglądaniu ognia. Znow spadł śnieg, niezbyt obfity, lecz wystarczający, by pokryć ziemię. Sanderowi nie podobało się, że ich ślady wokół obozu były tak dobrze widoczne na białej połaci. Wypróbował wszelkie znane mu sztuczki w celu ich zatarcia, niestety — bez powodzenia.

Nie mieli możliwości odpowiedniego wyprawienia zajęczych filter. Skrobali je jednak najdokładniej, jak potrafili, po czym wiązali w pęczki. Sander zdawał sobie sprawę, że ich ubrania nie są wystarczająco ciepłe na ten klimat i że już wkrótce mogą zostać zmuszeni do wykorzystania tych cuchnących, niewyprawionych skórek dla uzyskania dodatkowego ciepła.

Fanyi siadywała przez długie chwile z wisiosem zaciśniętym w dłoniach, pogrążona w hipnotycznym transie i niezbyt świadoma tego, co się dzieje wokół niej. Dwukrotnie powiedziała mu, że znow natknęła się na to, co uporczywie określała jako „penetrujący umysł”. Była przekonana, że ani za pierwszym, ani za drugim razem myśl ta nie uświadomiła sobie jej istnienia. Ku jej bezgranicznemu rozczarowaniu, nie udało się również wysledzić źródła jej pochodzenia. To jednak, zdaniem Sandera, nie stanowiło żadnej straty. Nie ufał jej relacjom z tego, czego nadal nie uznawał za możliwe.

W czasie polowań rozglądał się także za metalem. Lecz jeśli nawet był on tu po Czasie Ciemności, to już dawno musieli się nim zająć Handlarze. W dodatku natknął się na stosunkowo świeże dziury. Ich wiek sugerował, że nie powstały w wyniku katastrofy, która zmieniła świat, lecz skutek grzebania w ziemi po tamtym okresie.

Ogólna wielkość tej zawalonej gruzami pustyni była zdumiewająca. Ile

Poprzednich Ludzi tu mieszkało? Z pewnością znacznie więcej, niż miała ich jakakolwiek Wspólnota. Sander poszedł raz za Rhinem na brzeg drugiej rzeki, tej na wpół zasypanej obsuniętymi kamieniami, która musiała płynąć zakolami do odległego obecnie morza, z drugiej strony wywyższonej wyspy.

Zarówno mężczyzna, jak i zwierzę zachowywali ostrożność wobec wody. Gdy pierwszy napełniał bukłak wodą, drugi stał na straży. Jednakże jak dotąd Sander nie napotkał żadnych dowodów na obecność amfibanów. Były tu za to ryby. Złapał nawet jedną za pomocą zaimprovizowanej tyczki z linką. Był to długi, wąski stwór, który przestraszył go podobieństwem do węża; wypuścił go czym prędzej, zdając sobie sprawę, że nie byłby w stanie przełknąć jego oślizgłego, lepkiego mięsa.

To właśnie nad rzeką znalazł głowę. Nie czaszkę jakiegoś żyjącego wcześniej stworzenia, lecz głowę wykutą w kamieniu. Miała wielkość dwóch złożonych pięści, była wyraźnie bardzo stara, z odłamanym nierówno karkiem. Była to głowa ptaka, mająca w sobie coś dzikiego i dumnego, co go zafrapowało.

Zabrał ją ze sobą, by pokazać Fanyi. Obracała rzeźbę w rękach, przyglądając się jej uważnie.

— To — oświadczyła zdecydowanie — był symbol władzy lub przywództwa. To dobry znak, że go znalazłeś. Sander o mało nie wybuchnął śmiechem.

— Nie znam się na znakach, Szamanko. Mój lud nie wierzy we wróżby. Lecz jest to przedmiot starannie i fachowo wykonany. Jeśli miał szczególne znaczenie dla tego, co go wyrzeźbił, to tłumaczy, dlaczego był tak precyzyjny przy jego modelowaniu...

Zdawała się go nie słyszeć; powróciło tamto nieobecne spojrzenie.

— Był kiedyś wielki budynek — powiedziała. — Bardzo wysoki... bardzo, bardzo wysoki. A to było częścią całego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Ptak był umieszczony nad drzwiami... i... — Fanyi upuściła kamienną bryłę na ziemię i przetarła oczy grzbietem dłoni, jakby chcąc coś odepchnąć. — To miało duże znaczenie — powtórzyła.

— Był to totem wielkiego narodu i rozległego państwa.

— Tego państwa? — Sander rozejrzał się po usypanych wokół hałdach gruzu. — No cóż, jeśli to faktycznie był totem, to jego moc ich w końcu zawiodła.

Fanyi powoli wyciągnęła rękę i raz jeszcze dotknęła odłamanej głowy.

— W Czasie Ciemności wszystkie totemy zawiodły, kowalu. Ponieważ ziemia i morze, wiatr i ogień — wszystko zwróciło się przeciwko człowiekowi. A jak mogą

totemy przeciwstawić się śmierci całego świata?

Ujęła głowę i ustawiła ją pionowo na kamieniu, podpierając dookoła mniejszymi kamykami. Zabezpieczywszy ją w ten sposób, pochyliła głowę.

— Totemie umarłych — powiedziała cicho — oddajemy ci znów honory. Jeśli zachowałeś jakąś moc, niech przejdzie ona na nas. Ponieważ jesteśmy z krwi człowieczej, a ludzie stworzyli ciebie jako symbol nieustającej ochrony swych potężnych siedzib.— Jej ręce poruszały się w gestach, których Sander nie rozumiał.

Niech Fanyi zajmuje się niewidzialnymi mocami i totemami; jego interesowało bardziej to, co dzieje się tutaj i teraz. Jednak spoglądając na swe znalezisko Sander pomyślał, że dobrze byłoby obłożyć je gliną i wypiec formę, w którą dałoby się wlać, na przykład, łatwo topliwą miedź i w ten sposób odtworzyć symbol związany z przeszłością. Lecz głowa była zbyt ciężka, by ją dźwigać ze sobą. Lepiej już pozostanie przy zrynkach metalu znalezionych we wraku statku.

Ogarniało go coraz większe zniecierpliwienie. Odpoczywali już wystarczająco długo. Zgromadzili też niezbędne zapasy, ususzył bowiem trochę mięsa w dymie ogniska. Pozostawanie tu dłużej nic nie dawało.

— Twój przewodnik... ten przedmiot, który nosisz — zwrócił się do dziewczyny — co on teraz wskazuje?

Znowu odwróciła głowę na północny zachód. Lecz pójść w tym kierunku oznaczało brnąć w dalszym ciągu przez ruiny miasta. Czułby się pewniej, gdyby skierowali się prosto na zachód, gdzie, zgodnie z jego przewidywaniami, nie powinno być cmentarzysk grzebiących dobytek Poprzedniego Człowieka.

Pomimo zniecierpliwienia dołożył jeszcze dwa dni na uzupełnienie zapasów. Pogoda była ładna, lecz każdego ranka było coraz chłodniej. Nie zdarzały się już jednak takie burze jak ta, którą przeżyli w chacie. Wreszcie, piątego ranka od podbicia miejsca stanowiącego niegdyś wybrzeże, wyruszyli. Na niebie jasno świeciło słońce, obdarowując ich tak utęsknionym ciepłem.

Węzacze jak zwykle wysforowały się do przodu i wkrótce zniknęły z widoku, schowane za hałdami i ścianami gruzu, pozostawiając tu i ówdzie odciski łap znaczące ich przejście. Za to Rhin był zadowolony, dotrzymując towarzystwa Sanderowi i dziewczynie.

Fanyi nie wypuszczała z ręki wisiora. Raz po raz wskazywała kierunek z taką pewnością, że Sander pogodził się z jej przewodnictwem. Żałował, że nie może osobiście zbadać tego owalu mieniącego się czymś, co brał za błyszczące kamyki. Nie

wątpił, że Poprzedni Ludzie potrafili wynaleźć prawdziwy wskaźnik kierunków, nie przypuszczał jednak, by był w stanie zgłębić jego tajemnicę. Jednakże w końcu zapytał:

— Jak ten przedmiot przemawia do ciebie, nakazując iść w prawo lub w lewo?

— Tego nie wiem. Wiem tylko co nieco o tym, jak odczytywać to, co ma do powiedzenia. Widzisz? — przywołała go bliżej gestem ręki. — Popatrz, lecz nie dotykaj. Nie wiem, jak duch kogoś drugiego może na to wpływać.

Wisior był owalny, lecz nie płaski, grubości może dwóch palców, a metal, z którego był zrobiony — błyszczący i bez jakiegokolwiek skazy, prawdopodobnie jeden z tych tajemniczych stopów, których sekret intrygował wszystkich w jego fachu. Dookoła rozmieszczone były okrągłe, szlifowane kamienie. Miały różne kolory i było ich dwanaście. Lecz mimo iż błyszczały pięknie, cała uwaga Sandera skupiła się na czymś innym. W metalu poruszała się widoczna linia ruchomego światła.

— Spójrz! — rzuciła Fanyi.

Przechyliła się gwałtownie w lewo. Linia światła na wisiorze przesunęła się także; nadal wskazywała jednak ten sam kierunek, tyle, że teraz dotykała innego kamienia.

— Mój ojciec — powiedziała cicho, odwracając się znowu tak, że świetlny pasek wrócił do tego samego kamienia co poprzednio — wiedział bardzo dużo. Niektórych rzeczy nauczył moją matkę, a potem ona nauczyła ich mnie. Lecz on zmarł, zanim przyszedłem na świat. To był jego wielki skarb. Przysięgał, że za sprawą magii Poprzednich Ludzi może on doprowadzić tego, kto to nosi, do miejsca, z którego to pochodzi. Im bliżej jest się tego miejsca, tym jaśniejsza staje się wskazująca linia. I to jest prawda, ponieważ widziałam, jak jaśnieje ona z każdym dniem naszej podróży. Wiem, że miejsce, którego szukamy, jest miejscem ogromnej wiedzy. Może Poprzedni Ludzie otrzymali jakieś ostrzeżenie o zagładzie nadchodzącej na ich świat i zdołali przygotować magazyn, którego nie naruszył nawet wielki wstrząs z Czasu Ciemności.

Sander był pod wrażeniem tego świetlnego paska. To prawda, że obrócił się na osi, gdy Fanyi się poruszyła. I mógł uwierzyć, że został skonstruowany do wskazywania ludziom drogi. Jakim człowiekiem był jej ojciec? Handlarzem buszującym wśród ruin i natykającym się przypadkowo na skarby, w których istnienie nigdy nie wierzył? Albo kimś innym, może członkiem plemienia posiadającego Zapamiętywacza z większym zasobem Dawnej Wiedzy, niż można było znaleźć w

jakiegokolwiek Wspólnocie?

— Twój ojciec... Czy on był Handlarzem?

— Nie. Chociaż przyjechał do Padford z Handlarzami.

Był poszukiwaczem, lecz nie metali, a innych ludzi. I nie szukał ich po to, by zrobić z nich niewolników, jak to robią Reki, ale po to, by nauczyć się tego, co zachowali z Poprzedniej Epoki. Wiele z tego zapisał, lecz — wyglądała na bardzo nieszczęśliwą — kiedy składali go do grobu, moja matka włożyła w jego dłonie książkę, w której spisywał wszystko, czego się dowiedział. Książka składa się z pisma. Dużo pisma zaznaczonego na kawałkach wygładzonej kory lub wyprawionej skóry. Matka wiedziała, że to jego największy skarb, dlatego należało go złożyć wraz z nim do ziemi, aby w Następnym Świecie miał ją przy sobie, tak jak inni będą mieli swoje narzędzia i broń. Bo mój ojciec twierdził, że słowa tak zanotowane, są najwspanialszym ze wszystkich narzędzi...

Słyszając to Sander potrząsnął głową. To stwierdzenie było niemądre. Jak mogły znaczki takie jak te narysowane przez nią na ziemi kawałkiem gałązki znaczyć dla człowieka więcej niż narzędzia, którymi tworzył coś z niczego, czy ręce, za pomocą których mógł obronić swoje życie?

— Mój ojciec był o tym przekonany! — Fanyi uniosła dumnie głowę, jakby czytała w myślach Sandera. — Lecz chociaż jego zapiski leżą z nim, ja mam to! — Jej palce zacisnęły się mocniej wokół wisiora. — I myślę, że to tylko mała część wszystkich cudów.

Tego dnia w czasie podróży Sander od czasu do czasu zerkał ukradkiem na wisior. Musieli obchodzić dookoła zwały ruin, a niekiedy nawet cofać się, by poszukać innej drogi. Za każdym razem pasek światła zmieniał położenie tak, że ciągle wskazywał ten sam podstawowy kierunek, niezależnie od tego, którądy szli.

Sanderowi wydawało się, że to miasto nie ma końca. Skąd wzięło się tyle ludzi, jak długo i jak ciężko pracowali, by ściągnąć tu kamienie do wzniesienia budynków? Jego zdumienie rosło.

Na szlakach swych wędrówek Wspólnota czasem znajdowała pozostałości dawnych miast. Przeważnie omijali te zwały gruzu, gdyż stanowiły one tabu, będąc niekiedy siedliskiem śmiertelnych chorób. Raz czy dwa młodszy mężczyźni zapuścili się w głąb ruin w poszukiwaniu kruszców. Jednak to, co znaleźli, było tak przeżarte rdzą, że nie przedstawiało żadnej wartości. Lepiej już było polegać na Handlarzach, którzy zawsze byli gotowi podjąć ryzyko dla zdobycia metalowych bryłek, którymi

handlowali ze Wspólnotami.

Żadne z miast widzianych przez Sanderą nie ciągnęło się tak bez końca! Lub prawie bez końca. Lecz jeśli istniał jakiś kruszec, wart splądrowania tego miejsca, to zabrano go już dawno. W krzakach porastających zbocza bardziej ubitych hałd gruzu ptaki uwiły gniazda, pozostawiając na zwietrzałych blokach białe packi odchodów. O tej porze roku gniazda stały opuszczone, były jednak widoczne, gdyż wiatr postrząsał liście z gałęzi.

Sander dwukrotnie użył procy. Raz miał szczęście, trafiając kolejnego ogromnego zająca. Upiekli go, oszczędzając suszone mięso na później. Węzaczce zniknęły z pola widzenia. Rhin obwąchiwał niektóre kamienie i raz po raz warczał chrapliwie, jakby złapał niewyraźny zapach, który mu się nie podobał. Za każdym razem Sander stawał się nerwowy i przetrząsał okolicę w poszukiwaniu jakichś śladów. Najbardziej obawiał się spotkania z potworem podobnym do tego, który zaatakował ich w domu na dawnej wyspie.

Tak czy inaczej, ślady wywęszone przez kojota musiały być stare lub nie pochodziły od nadrzewnych istot. Ponadto w okolicy nie było drzew, mogących stanowić ich kryjówki. Szukając drewna w pobliżu nocnego obozowiska, Sander dokonał wstrząsającego odkrycia. W małym zagłębieniu leżał stos kości, a nie były to kości ludzkie. Łypiąca okiem czaszka ze szczęką opartą o skałę była dwukrotnie większa od jego czaszki. W jednym z oczodołów tkwiła strzała.

Ostrożnie wyswobodził pocisk. Wyglądem nie różniła się od jego strzał. Metal był dobrze obrobiony, dzieło wytrawnego kowala. Nie miała jednak żadnego oznakowania, które by coś Sanderowi mówiło. Pochylił się, by dokładniej przyjrzeć się szkieletowi.

Z pewnością musiały to być szczątki jednego z potworów. Został prawdopodobnie zabity więcej niż sezon temu. Zastanawiał się, dlaczego zabójca nie wyciągnął swojej strzały. Pozostawianie strzał nie leżało w zwyczaju, i pierwszą myślą każdego myśliwego po upolowaniu zwierzyny było odzyskać broń. Może potwór został postrzelony gdzieś dalej, potem, ciągle żywy, choć śmiertelnie ranny, dotarł tutaj i skonał.

Sander dokonał dokładnego obchodu okolicy i natknął się na drugie znalezisko — dziurę w zboczu jednej z hałd. Późniejsze osunięcie się ziemi niemal całkowicie ją zasypało, lecz pierwotnie otwór wejściowy nie był tak ukryty, by nie można go było odróżnić. Być może mający nadzieję odkryć tu jakieś skarby Handlarze zostali

zaskoczeni przez jedną z tych półbestii. Był nieomal w stanie zrekonstruować wydarzenia.

Być może ucierpieli tak poważnie od zjadłej napaści potwora, że uciekli, zabierając ze sobą zabitych i rannych. Ta oczywistość bitwy, nawet jeśli miała ona miejsce dawno temu, była zatrważająca.

Zerknął ciekawie na strzałę. Grot pokryty był cieniutką warstewką rdzy, lecz zdołał ją zetrzeć piaskiem. Każdy dodatkowy pocisk mógł się przydać w jego arsenale.

Mimo to Sander nie czuł się usatysfakcjonowany. Zagwizdał na Rhina. Kojot obwąchawszy szkielet zawarczał, wściekle szczerząc kły. Lecz kiedy Sander nakłonił go, by przeszedł od zbiorowiska kości do dziury w hałdzie, nie wykazał większego zainteresowania. Wszelkie unoszące się tu niegdyś zapachy musiały się dawno ulotnić. Teraz za poszarpaną kupą gruzu Sander spostrzegł coś nowego — głębokie koleiny w ziemi.

Na to istniało tylko jedno wytłumaczenie. Sprowadzono tu wóz, według szacunków Sander'a nieco mniejszy od tych, jakich używała Wspólnota do swych podróży po równinach. I był on na tyle ciężko załadowany, że odcisnął w glebie głębokie ślady kół. A więc kopacze nie zostali całkowicie rozgromieni; zabrali ze sobą wszystko, co znaleźli.

Lecz jeśli ta ziemia stanowiła teren łowów bandy Handlarzy, on i jego towarzysze mogli znajdować się w niebezpieczeństwie. Nawet jeśli nie wyglądali na poszukiwaczy kruszcu, nie mieli wozów do transportu ciężarów, a jedynie kojota i węzaczę, to zazdrość Handlarzy była tak wielka, że mogli zaatakować każdego intruza na terytorium, które uznawali za swoje, nie czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia dotyczące celu jego wędrówki.

Sądząc ze stanu osypiska oraz kości potwora, to miejsce było stare. Nie oznaczało to jednakże, że poszukiwacze, którzy prowadzili tu wykopaliska, wynieśli się z ruin. Tak ogromne miasto gwarantowało zbyt wiele łupów, by je szybko opuścić.

Tak więc dochodził im nowy element, którego należało się strzec. Sander wiedział, że Rhin nie zaakceptowałby żadnego obcego, jeżeli on sam za niego nie poręczy. Gdyby nie wściekle węzaczę, mógł zaatakować bez uprzedzenia nawet Fanyi, zanim Sander zawarł z nią przymierze. Dlatego muszą polegać na kojocie, który zapewni obojgu ochronę i w porę ich ostrzeże. Kowal nie życzył sobie wymiany strzał z jakimkolwiek Handlarzem. Za bardzo potrzebował wiedzy — towaru, którym

kupczyli. Ci, których spotykał dawniej, byli ludźmi przyjaznymi, choć przebiegłymi jeśli idzie o zawieranie transakcji. Nie przypominali Morskich Rekinów, którzy wadzili się ze wszystkimi i których ludzie nienawidzili od pierwszego wejrzenia. Miał nadzieję, że jeśli jakaś grupa poszukiwaczy stanie im na drodze, Rhin ostrzeże ich na tyle wcześnie, że sami zdążą dać im znać, iż nie są dla nich konkurencją i nie stanowią żadnego zagrożenia.

Kiedy opowiedział o swoich odkryciach Fanyi, ta nie zdawała się poruszona.

— To mogli być nawet ludzie z rodu Gavah. Jeden z nich wiosną przyjeżdża... przyjeżdżał — poprawiła się smutno — w dół wybrzeża robić interesy w Padford. Nasz kowal, Ewold, zaklinał się, że jego metal nie miał sobie równych.

— Co dawaliście im w zamian? — Wspólnota oferowała wyprawione skóry i uprzedzoną wełnę ze swych stad, które Handlarze chętnie przyjmowali. Zastanawiał się, co takiego produkował klan Fanyi, że Handlarze przywozili im swój metal. Jego zdaniem wioska nie wyglądała na tak produktywną, by nęcić do swych zagród jakichś spekulantów.

— Sól i solone ryby — odpowiedziała bezzwłocznie. — Nasi mężczyźni wyprawiali się po nie na morską pustynię. Niekiedy mieliśmy też nadwyżkę ziarna i zawsze suszone owoce. Moja matka proponowała zioła, jakich nie mieli ich uzdrowiciele. Nie byliśmy tacy biedni, jak sądzisz, kowalu!

— Czy ja tak powiedziałem? — zaprotestował. — Każdy lud żyje po swojemu!

— Może i nie powiedziałeś, ale tak myślisz — odparła Fanyi z przekonaniem. — Morskie Rekiny podczas swojego bandyckiego najazdu wywiozły z Padford więcej niż ród. Zastanawiam się, dlaczego oni zabijają i porywają istoty z własnego gatunku, by wywieźć ich jako jeńców na statkach? — zadała to pytanie, jakby nie oczekując odpowiedzi. — Słyszeliśmy o nich nie tylko od Handlarzy, lecz i od naszej starszyny. Na południu również na nas polowali. Niegdyś byliśmy liczniejszym ludem, lecz przez Rekiny straciliśmy młodzieńców i dziewczęta. To część naszej pamięci, kowalu, choć nie mamy, tak jak wy, Zapamiętywaczy, którzy by ją przywoływali na życzenie.

— Ja słyszałem o Rekinach tylko od Handlarzy — wyznał Sander. — W końcu oni trzymają się wybrzeża i nie zapuszczają się na równiny. Nigdy ich nie widzieliśmy, chyba że ci Biali należeli do ich rasy...

— Biali?

— Pojawili się, gdy byłem bardzo młody. Byli dziwnymi ludźmi; rzucali się

natychmiast do walki, jakby ich życie zależało od naszej śmierci. Nie byliśmy w stanie prowadzić z nimi pertraktacji w celu ustalenia granic pastwisk, jak to robimy z innymi Wspólnotami. Nie, zabijali wszystkich: dziecko, kobietę, mężczyznę, nawet kojota, ponieważ okropnie się ich bali. Tam, na pomocy, podróżowali swoimi wozami. Nie zaprzęgali do nich kojotów, lecz stworzenia podobne do jeleni, tyle że bardzo duże i noszące na łbach ciężkie, rozgałęzione rogi. Zachowywali się tak, jakby chcieli cały świat mieć tylko dla siebie: chcieli usunąć wszystkie Wspólnoty z równin. Gdy mój lud dowiedział się o ich krwiożerczym szaleństwie. Wspólnoty się połączyły i tak zjednoczeni stawili im czoła na polu, gdzie oni i ich zwierzęta zginęły. Kiedy zobaczyli, że szala zwycięstwa przechyla się na naszą stronę, kobiety zaczęły zabijać własne dzieci i siebie. Przytykali ostrza nawet do gardeł i serc swoich zwierząt. To była rzeź, jakiej nikt na równinach nigdy nie zapomni. Pomędzy ich wozami znaleźliśmy dziwne rzeczy. Zdecydowano jednak, że wszystko, co przywieźli, musi zostać przeklęte, ponieważ postępowali jak szaleńcy. Dlatego ich dobytek został ułożony w wielkie stosy. Na nich położyliśmy ich ciała i ciała ich zwierząt. Paliły się, dopóki nie pozostał tylko popiół. Potem wszystkie Wspólnoty zgromadzone w obronie swej ziemi zdecydowały po naradzie, że na to miejsce zostanie nałożony Zakaz, który ma się na wieki wryć w pamięć naszych Zapamiętywaczy. Tym sposobem nikt z żadnego obecnego tam klanu nigdy więcej nie odwiedzi tego pola.

— Naszych zabitych — ciągnął po chwili — pogrzebaliśmy w kurhanach dla bohaterów, wzdłuż drogi prowadzącej do tego krwawego miejsca, aby ich ziemskie duchy mogły nas strzec. Wprawdzie niektórzy uważają — dodał — że ludzie nie mają ziemskiego ducha, że tylko ciało, jak znoszone ubranie, pozostaje z człowieka, kiedy uchodzi z niego ostatnie tchnienie. Jednakże tylu naszych braci wierzyło, iż jest inaczej, że zrobiono, jak powiedziałem. Teraz, gdy któraś Wspólnota kieruje się ze stadami na północ, nowo zaprzysiężeni wojownicy, dziewczęta dobiegające wieku, w jakim wybierają sobie towarzysza do namiotu, wszyscy jadą z Zapamiętywaczem na linię kurhanów. Tam on odśpiewuje opowieść o Białych i ich obłędzie.

— Dlaczego nazwano ich Białymi?

— Ponieważ ich włosy, nawet u młodych, były bardzo jasne, a skóra, chociaż jeździli w słońcu, również była wybielona. Jednakże największą osobliwość stanowiły ich oczy: były jednolite w kolorze, bez źrenicy, i wyglądały jak kulki wypolerowanego srebra. Mieli ludzką postać, nie przypominali tych, których widzieliśmy w lesie, czy tego potwora, który dobijał się do domu. W tym więc sensie mogliśmy ich nazywać

krewniakami. Lecz jeśli chodzi o resztę... nie, nie należeli do naszego rodzaju.

— A tymczasem Morskie Rekińy należą — powiedziała Fanyi dobitnie. — Mają ludzką postać tak jak my, lecz dusze diabłów zrodzonych z ciemności.

Wbijała w ziemię patyki z nabitym na nie mięsem w odpowiedniej odległości od ognia, by się dobrze upiekło. Zapadał zmierzch. Rhin zniknął. Lecz Sander nie mógł odmówić kojotowi tej sposobności napełnienia żołądka, nawet w obliczu tak wielu ewentualnych niebezpieczeństw czyhających w mroku. Gdy coś poruszyło się w ciemnościach, kowal drgnął i złapał odruchowo miotacz strzał. Wokół jego nadgarstka zacisnęły się palce Fanyi.

— To Kai i Kayi — powiedziała. — Choć tutaj należy niedowierzać wszystkim ceniom, to jednak niektóre z nich mogą należeć do przyjaciół.

Zanuciła coś jękliwie półgłosem na powitanie wężaczy.

Rozdział dziesiąty

Fanyi ujęła najpierw łeb Kai, a potem Kayi i trzymając je w dłoniach wpatrywała się kolejno w ślepia węzaczy. Potem powiedziała:

— Nie znalazły żadnego śladu innych. Przynajmniej w tym względzie fortuna nadal nam sprzyja.

Sander stwierdził nieco ponuro, że może fortuna im i sprzyja, lecz mimo to był ciągle niepokojąco świadom, że na tym zrujnowanym obszarze ziemi nawet cała Wspólnota mogłaby się przemieszczać niepostrzeżenie i niedosłyszalnie. Nie widział powodu, aby zmniejszać czujność.

Znów podzielili między siebie na noc obowiązki wartowników. Kiedy tak siedział we wczesnych godzinach porannych, podsycając od czasu do czasu ogień, obserwował Rhina, nasłuchiwał odgłosów płynącej poniżej rzeki i hałasów dochodzących z ciemności.

Atak nastąpił niespodziewanie — pomiędzy jednym a drugim oddechem — nie wyskakując z mroku, lecz gdzieś wewnątrz jego własnego umysłu. Nie był nawet w stanie krzyknąć czy zmobilizować sił, by odeprzeć tę inwazję. Poczł natomiast, jakby stał w innym miejscu, którego znaki szczególnie przed nim zasłonięte. I chociaż nie widział nic, czuł obecność tego kogoś — czy czegoś — kto go tam wezwał, przełamując jego wolę z taką łatwością, z jaką mężczyzna pokonuje siłą dziecko.

Było to wrażenie, którego nie był w stanie opisać słowami płynącymi z dotychczasowych doświadczeń. Zawładnięto bezlitośnie jego myślami po to, by je poprzekreć, pozbawić tego, co pragnął sobie przyswoić niewidzialny agresor. Sanderowi zaczęły mieszać się obrazy: jakiś metal, zrujnowane budynki, ruch w nich i pomiędzy nimi. Kiedy jednak usiłował zobaczyć te sceny wyraźniej, wszystko zbladło, rozplynęło się, zmieniło.

Potem już było tylko ognisko i noc dookoła. A jednak Rhin uniósł łeb, a w jego ślepiach migotliwie odbijały się płomienie. Obok niego siadły na zadach węzacze, całym ciałem zwrócone w kierunku Sandera. Jedyna z tego towarzystwa, dziewczyna, nadal leżała śpiąc spokojnie.

Sander słyszał ciche, gardłowe warczenie Rhina i niezbyt głośny syk przynajmniej jednego z węzaczy. Kowal uniósł drżące ręce i wytarł czoło. Człł się słaby i przestraszony. Jego lud nie słyszał nigdy wzmianki o tym, że coś podobnego

przydarzyło się jakiemuś człowiekowi. Nie wspominał też o tym żaden Zapamiętywacz. Nie bardzo chciało mu się przedtem wierzyć w to, co Fanyi twierdziła na temat niewidzialnej, nieuchwytej siły, lecz teraz doświadczył jej oddziaływania na sobie. Czy właśnie to rozumiała przez „penetrującą myśl”? Kto zatem w taki sposób penetrował jego myśli i w jakim celu? Sander czuł się zbrukany tą ingerencją w jego umysł.

Kai zasyczał, szczerząc kły na Sandera. Kowal wzdrygnął się wobec tak jawnej wrogości zwierzęcia. Rhin... Rzucił szybkie spojrzenia na kojota, który nadal warczał gardłowo. Kiedy jednak oczy Sandera spotkały się ze ślepiami zwierzęcia, dźwięk zamarł. Kowal, który nigdy przedtem nie próbował komunikować się z kojotem w sposób, w jaki Fanyi kontaktowała się z wężaczami, odniósł wrażenie, że Rhin, moment wcześniej zaniepokojony tą umysłową ingerencją, teraz zaakceptował fakt, że Sander jest znów sobą.

Kowal zapragnął zbudzić Fanyi i zażądać wyjaśnień. Chciał wiedzieć, co mogło być przyczyną tego ataku, będącego zapewne sprawką jakiegoś Szamana, a nie normalnego człowieka. Gdy ulotnił się pierwszy strach i wstyd, odczuł narastający gniew. Nikt nie musi wiedzieć, że został wykorzystany i zbezczeszczony w taki sposób. Wyczuwał w tym penetrowaniu jego myśli jakąś pogardę, jakby ten, kto omotał na moment jego umysł niewidzialną siecią kontroli, uznał go za mało znaczącego, mało wartościowego. Nie, nie zapyta jej.

Zamiast tego zaczął szperać w swojej kowalskiej torbie. Robiąc to, powtarzał sobie w myśli jedną z sekretnie działających pieśni. Niejasno przypominał sobie coś, co kiedyś powiedział jego ojciec. Przypuszczano, że istnieją miejsca z Poprzedniej Epoki, gdzie na człowieka mogą oddziaływać dziwne wpływy, nakłaniając go do wykonywania różnych usług. Lecz można się było przeciw temu zabezpieczyć, o czym słyszał każdy, kto poznał arkana tajemnej wiedzy kowala.

Palce Sandera zacisnęły się na paru kawałkach drutu, znalezionych na dawnym statku. Odmierzył kilka jednakowej długości i zaczął je splatać w warkocz najciaśniej, jak mógł. Potem zrobił z niego pętlę i włożył ją na głowę, tak że przechodziła przez czoło tuż nad oczami. Po tej przymiarce zdjął ją ponownie, by zapleść końcówki i zabezpieczyć przed rozwiązaniem.

Żelazo — zimne żelazo — pełniło swoją funkcję jeszcze od Poprzedniej Epoki. Działając w określone sposoby mogło stanowić ochronę. Nigdy przedtem nie miał powodu, by sprawdzać prawdziwość tego wierzenia (choć wielu członków

Wspólnoty nosiło amulety z zimnego żelaza; niektóre z nich modelował osobiście, zgodnie z ich życzeniami). W głębi ducha traktował to jako bezpodstawny przesąd, wyznawany tylko dlatego, że posiadanie takich zabawek dawało mężczyznom poczucie bezpieczeństwa, choć niewiele miało wspólnego z prawdą.

Teraz... teraz był skłonny uwierzyć w istnienie tu wrogów — lub wroga — których w pewien sposób należało się obawiać bardziej niż potwora, Białego czy zazdrosnych Handlarzy.

Zakończywszy pracę nad topornym diademem z przerdzewiałego metalu, Sander zabrał się do splatania mniejszych kawałków w skomplikowany węzeł, który przywiązał do skórzanego rzemienia. To dla Rhina. Nie wiedział, czy kojot może podlegać wpływowi ingerencji, której on doświadczył, lecz zastosował wszelkie możliwe środki zabezpieczenia.

Pozostawała Fanyi i jej węzaczce. Sander był przekonany, że zwierzęta nie pozwolą mu się do siebie zbliżyć. Stanowiły trzymającą się na uboczu parę, tolerującą mężczyznę i kojota wyłącznie dlatego, że takie było życzenie Fanyi. Natomiast dziewczyna... Wydawała się podniecona, nawet zadowolona, uchwyciwszy się sugestii tej „penetrującej myśli” i oczywiste było, iż z radością powita kontakt z każdym, kto potrafi się nią posługiwać. Przypuszczał, że był to skutek jej szamańskiej praktyki. Lecz jeśli takie kontakty były akceptowane przez Szamanów jako normalne i właściwe...! Gdyby znał drogę, zostawiłby ją w tym momencie, znikając w ciemnościach nocy.

Wściekłość i strach szarpały go. Nie będzie jednak poddawał się emocjom. Nie; będą nadal podróżować razem dopóty, dopóki Fanyi nie da mu powodu, by uwierzył, że jest bardziej spokrewniona z tym... z tym wyzyskiwaczem umysłów niż z nim i jego rodzajem.

Chropowaty metal wpijał się w skórę czoła. Sander ciągle powtarzał w myślach zaklęcia, które należało wypowiadać, wykuwając jakieś narzędzie czy broń. Znów dorzucił do ognia. Węzaczce na powrót usadowiły się spokojnie obok śpiącej Fanyi. Jakikolwiek by był wpływ, który nawiedził ich obozowisko, by w niego uderzyć — musiał się już wycofać.

Sander związał kowalską torbę i spakował ją razem ze swoimi rzeczami. Widział, jak światło świtu powoli wpełza na niebo zza okalających rzekę klifów i miał nadzieję, że dzisiejsza podróż doprowadzi ich do kresu tego miasta lub przynajmniej do celu, którego szukała Fanyi. Zaczynał serdecznie nienawidzić tego

labiryntu ruin i wraków. Jeśli ziemskie duchy rzeczywiście istnieją, to zapewne zmarli spacerują tutaj setkami. A ponieważ prawdopodobnie żaden człowiek nie uhonorował ich obecnością na pogrzebie, nie będą mieli żadnych skrupułów.

Sander otrząsnął się z tych myśli. Nie wierzył w to, że część człowieka pozostaje po śmierci na ziemi w postaci ducha. I nie zniży się teraz do poziomu dziecka bojącego się ciemności, ponieważ jego wyobraźnia zaludniała potworami. Nie, nie, i jeszcze raz nie!

Fanyi poruszyła się i z wolna otworzyła oczy. Sander zauważył z powracającym niepokojem, iż wyraz jej twarzy jest bardzo podobny do tego, jaki przybierała gładząc wisior, kiedy to zdawała się zupełnie nieobecna.

— To jest tam... on jest tam — jej głos odpływał w dal. Zamrugwała, jakby strząsając z siebie resztki snu. Potem, kiedy usiadła, jej twarz rozjaśniła się podnieceniem, jakiego nigdy przedtem nie widział. W porównaniu z nim poruszenie towarzyszące złapaniu „penetrującej myśli” było ledwie bladym złudzeniem.

— Sander... to jest tam! Słyszysz mnie? — złapała go za ramię, potrząsając z dziką energią. — Miałam widzenie!

— Jej twarz nadal promieniała podnieceniem i radością. —

Wkrótce powinniśmy tam dotrzeć... do tego tajemnego miejsca. I ktoś tam będzie... ktoś ważny.

— Kto? — spytał matowym głosem.

Przez rysy dziewczyny przemknął cień zakłopotania, przyćmiewając radość.

— Ja... ja nie... nie pamiętam. Ale... to było prawdziwe widzenie.

Znajdziemy to, czego szukamy!

Jej entuzjizm zastanowił go. Czyżby pod pewnością, jaką przez wszystkie te dni zdawała się czerpać z wisiora, ukrywała zwątpienie? Czyżby było tak, że w gruncie rzeczy nie była przekonana, że on rzeczywiście doprowadzi ją... ich... gdziekolwiek? Tak podejrzewał, lecz nic nie powiedział. Najwyraźniej teraz była faktycznie bardzo pewna sukcesu.

— Co ty masz na sobie? — spytała. Jej wzrok spoczywał na uplecionej przez niego przepasce. — To jest zrobione z metalowego drutu. Po co to zrobiłeś? Dlaczego masz to na głowie?

— To moja tajemnica — odparł Sander powściągliwie. Nie zamierzał wtajemniczać jej w to, co się wydarzyło. — Tajemnica kowala.

To jej wystarczyło. Nie zadawała też pytań, kiedy zawieszał na szyi Rhina

drugi kawałek skręconego drutu, choć widział, że obserwuje go uważnie.

Węzaczki odpłynęły w dal ze zwykłą prędkością. Po posiłku Sander ponownie objuczył kojota, umocowując pakunki w taki sposób, że do ich rozwiązania wystarczyły dwa pociągnięcia linki. Gdyby przyszło stawić czoła niebezpieczeństwu, Rhin powinien mieć takie same szansę w walce.

Fanyi prowadziła, ze wzrokiem utkwionym w wisior. Hałdy gruzu stawały się mniejsze, a między nimi było więcej przestrzeni dla roślinności. Najpierw pojawiły się rzadkie zarośla, potem pojedyncze drzewa, początkowo rachityczne, lecz w miarę jak posuwali się dalej, coraz grubsze w obwodzie. W dalszym ciągu podążali równoległe do brzegu rzeki, a ład stopniowo obniżał się, tak że przybrzeżne klify nie były już takie wysokie.

Wkrótce po opuszczeniu obozowiska weszli na szeroką, otwartą przestrzeń, porytą koleinami wozów. Rhin spuścił nos, węsząc, lecz nie warczał. Dla wprawionych w czytanie śladów oczu Sander'a wszystkie one wyglądały na stare, zrobione jakiś czas temu. Lecz było ich tak wiele, przecinających się we wszystkich kierunkach, że oczywiste było, iż w przeszłości w mieście i w jego pobliżu panował ogromny ruch. Głęboko odcisnięte ślady kół wskazywały też na ciężkie ładunki.

Z wyzłobieniami od kół nie przeplatały się żadne odciski kojota, były za to inne, należące do słynnych wielkich psów gończych, zwanych tropicielami, a będących własnością Handlarzy. Po raz pierwszy odkąd opuścili nocne obozowisko Sander przerwał milczenie, choć widział, że Fanyi jest tak pogrążona we własnych myślach, być może rozważając sen, który określiła jako „widzenie”, że ledwo zdawała sobie sprawę z obecności jego i Rhina.

— Jeśli twój wskaźnik pokazuje ten kierunek — zauważył — to możemy nie być jedynymi, którzy odnajdą twoją składnicę. Zdaje się, że Handlarze albo ktoś inny przetrzasnęli już to miasto, najeżdżając tu gromadnie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie przypuszczam, żeby jakikolwiek Handlarz wiedział, czego szukamy. To nie metal — wytwór rąk Poprzednich Ludzi, lecz raczej dzieło ich umysłów. Nie znam żadnego Handlarza, który by się tym interesował.

— Czy wiesz o wszystkich klanach Handlarzy? — zripostował. — My na równinach mamy kontakt z czterema hordami, które przyjeżdżają regularnie, w liczbie około trzydziestu ludzi każda. Nigdy nie widzieliśmy ich kobiet. Ilu przyjeżdżało do Padford?

— Ja pamiętam dwudziestu — odpowiedziała natychmiast. — I mojego ojca, lecz on nie był Handlarzem. Mogą być i inni, jemu podobni, poszukiwacze wiedzy.

— Ale on podróżował z Handlarzami — naciskał Sander. — A wiadomo, że nie mają oni zwyczaju zabierać ze sobą kogoś nie należącego do ich rodu.

— Moja matka mówiła, że ci, którzy go przywieźli, traktowali go osobliwie, jakby się go bali. A przecież nie był człowiekiem paradyżującym z bronią gotową do strzału ani nie wdawał się w awantury. Mówiła mi, że była pewna, iż wódz Handlarzy był zadowolony, gdy odjeżdżali, a ojciec zdecydował się zostać przez zimę z nami. Powiedział, że zabierze się z nimi, kiedy znów przyjadą, ponieważ planował dotrzeć jeszcze dalej na południe, żeby się dowiedzieć, co tam jest. A oni mu nie odmówili.

Sander zaczynał czuć się trochę zmęczony tym tajemniczym ojcem, którego złożono w grobie, nim narodziła się Fanyi. Zdawało się, iż wywarł on takie wrażenie na matce Szamanki, która wzięła go do swego domu, że traktowała go z szacunkiem i lękiem nietypowym dla jej płci. Kobiety Wspólnoty same wybierały sobie partnerów.

Tak, i porzucały ich, jeśli nie czuły się usatysfakcjonowane ich dokonaniem. Jego ojciec był wybierany dwukrotnie. Lecz za drugim razem odrzucił oświadczyzny, ponieważ miał już syna, któremu mógł przekazać swe tajemnice. A żaden kowal nie chciał dzielić władzy kiedy nastaly dni, gdy jego ramię nie było już dość silne, by zamachnąć się największym młotem. Sander był wychowywany w rodzinie mężczyzn: ojciec, wuj — o języku tak ciętym i umyśle tak ograniczonym, że żadna kobieta nie spojrziała na niego przychylnie — oraz on sam, będący praktykantem.

Każdy namiot chętnie wspomagał kowala dobrze skrojonym odzieniem, porcją pieczonych z mąki ciastek czy kocami utkanymi z wełny stad w zamian za to, co jego ojciec mógł wykuć. Mieszkańcy jego namiotu nigdy nie chodzili z pustym żołądkiem czy obdarci, mimo że ani krosna, ani garnki żadnej kobiety nie jeździły ich wozem podróżnym.

Lecz mężczyzna posiadał na własność przeważnie jedynie broń i narzędzia, cała reszta należała do kobiety. To ona wyposażała swą córkę, gdy nadchodził dla niej czas wyboru i ona mądrze doradzała jej ten wybór, głównie spośród starszych mężczyzn z widokami na przyszłość, a nie spośród młodzików, których umiejętności jeszcze nie zostały sprawdzone.

Czy ten zwyczaj był praktykowany również wśród ludu Fanyi? Jeśli tak było, a Sander miał taką nadzieję, to kobiety z Padford mogły równie dobrze odsunąć się od obcego, takiego jak jej ojciec, nie dostrzegając zabezpieczenia w takim z góry

skazanym na krótkotrwałość związku. Jednakże ich Szamanka przyjęła go z otwartymi ramionami, wyrażała się o nim z niezwykłym szacunkiem, pielęgnowała go aż do śmierci. Skoro tak było, ten nieznajomy podróżnik musiał faktycznie posiadać jakąś siłę charakteru.

— Nie jest w zwyczaju — ciągnęła Fanyi — żeby Szamanka brała ślub. Jej Moce nie powinny być ograniczone przez okazywanie przychylności mężczyźnie. A jednak jest wymagane, by poczęła córkę, która będzie kontynuowała jej dzieło. Dlatego gdy moja matka wybrała podróżnika z dalekich stron, wioska była zadowolona. Tyle że matka nie przypuszczała, iż stanie się on dla niej kimś więcej. I kiedy umarł, jej żałoba nie była tylko ceremoniałem, a rozpacz płynęła prosto z serca.

— Powiadasz — Sander czuł się trochę nieswojo, słysząc tak intymną nutę w głosie towarzyski, jakby wdarł się do prywatnej części namiotu bez zaproszenia gospodarza — że Szamanka musi urodzić córkę. A co, jeśli przychodzi syn?

Fanyi roześmiała się.

— To się nie może zdarzyć, kowalu. Mamy swe tajemnice i w niektórych sprawach możemy nawet przechytryć matkę naturę. Pierwsza z mojego klanu, ta, która przeżyła Czas Ciemności, posiadała wiedzę nową nawet jak na tamte czasy. I tę przekazała swej córce, i tak przechodziła ona z córki na córkę. M y nie rodzimy synów, tylko córki. I tylko jedną w każdym pokoleniu... Ponieważ taka jest nasza wola, choć — gdybyśmy tylko chciały — mogłybyśmy ją zmienić. Ale nie chcemy, gdyż nie ma miejsca dla chłopca w domu Szamanki.

W miarę jak się posuwali naprzód, zmieniał się krajobraz. Przed nimi pojawiło się strome wzniesienie o tak spiczastych wierzchołkach i z wąwozami o tak ostrych krawędziach, jakich Sander nigdy wcześniej nie widział. Rzeka płynęła tu szybciej, z łoskotem. Okrążyli jakąś skałę i ujrzeli potężne wodospady, z mgłą na wpół przesłaniającą spadającą przejrzystymi nitkami wodę i zakrywającą pełną okazałość tej kaskady.

Po drugiej stronie rzeki łąd był bardziej płaski, a wypukłości zakończonych zębato skał mniej dostrzegalne. Sander zamarł w zdumieniu, gdy zobaczył wyraźnie, co znajduje się przed nimi. Jakaś niewypowiedziana siła skręciła i rozdarła tę ziemię. Potoki lawy zalały kamienne bloki i gmatwaninę pociętego metalu, obecnie przeżartego rdzą. Krajobraz stanowił taką gigantyczną mieszaninę przedmiotów wykonanych przez człowieka i uwięzionych przez naturę, zamrożonych w coś, co na pierwszy rzut oka tworzyło barierę nie do przebycia, że było to odstrasżające.

A jednak koleiny wozów prowadziły prosto w kierunku krainy, której — mogliby przysiąc — nie przejedzie żadne koło. Fanyi wpatrywała się w ten galimatias zagradzający drogę.

— Fala... fala, która wypadła gwałtownie z morza — wymamrotała — Fala wysoka jak góra. Fala, która uniosła ze sobą większą część miasta, która załamała się tutaj i przez to wypuściła to, co było najcięższe. Taka fala, jaka według podania uniosła statek mego ludu w głąb lądu. Teraz nie mogę wyjść ze zdumienia, że oni przeżyli... Chyba, że ich fala była mniejsza.

— To bez znaczenia, jak do tego doszło — Sander przeszedł wprost do sedna sprawy. — Ważne jest, żeby znaleźć przez to drogę, o ile twój przewodnik nadal utrzymuje, że musimy to zrobić.

Popatrzyła uważnie na wisior i pokiwała głową.

— Droga, którą wskazuje, nadal leży wprost przed nami. Jednak one — wskazała na koleiny pojazdów — mówią, że inni musieli znaleźć drogę na tyle szeroką, by przejechać wozami.

Sander nie powiedział, że podróżowanie tak dobrze oznakowaną drogą może sprowokować przygotowanie zasadzki. W tym momencie nie widział innej szansy spenetrowania tej niewiarygodnej, piętrzącej się przed nimi masy.

— Spójrz! — wskazała Fanyi. — Budynek!

Przez chwilę był wstrząśnięty, widząc, co pokazuje. Potem zobaczył, że rumowisko nie jest kompletnym budynkiem, a jedynie blokami spiętymi metalowymi klamrami, używanymi przez Poprzednich Ludzi do łączenia kamiennych masywów; wiele z nich było nietkniętych i tworzyło coś na kształt muszli wspartej o wieżyczkę.

Ogrom zniszczenia, które postawiło tu sobie pomnik, był przytłaczający. Przez całe życie wysłuchiwał opowieści o Czasie Ciemności, o tytanicznych siłach, które zawładnęły Poprzednim Światem; widywał ruiny spustoszonych miast, pustynie powstałe po cofnięciu się morza. Lecz do momentu, kiedy stanął przed tą zapierającą dech, rozsypującą się masą, która musiała być rzucona siłą szalejącego morza na umęczoną i wstrząśniętą ziemię i zakorzeniona tam w czasie cofania się wód morza, nigdy nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, jaka furia została wypuszczona przeciwko rodzajowi ludzkiemu i jego światu. Jak wcześniej powiedziała Fanyi, trudno uwierzyć, że jakkolwiek człowiek uszedł z życiem z grozy Czasu Ciemności. Nawet pieśni Zapamiętywaczy nie oddawały głębokiej rozpaczycy tych, którzy uciekli tylko po to, by zostać zmytymi przez fale czy pochłoniętymi w czeluściach, gdy

trzęsienia ziemi otworzyły ląd pod ich stopami.

Fanyi zakryła twarz rękoma.

— To jest... — Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna nie znajduje słów. Nie więcej, niż jemu przychodziło do głowy w tym momencie.

Objął ramieniem jej drżące plecy i przygarnął do siebie. Dwie małe istotki ludzkie, stojące wobec oznak śmierci świata.

Wreszcie Sander oderwał z trudem wzrok od tej niewiarygodnej ściany.

— Nie patrz na to — powiedział do niej. — Patrz na koleiny. Może masz rację i one nas przeprowadzą.

Śmiało wpatrywał się w niewyraźne znaki na ziemi. Tu i ówdzie leżały kupy kamieni, na których koła musiały się trzeć. Droga skręcała dalej od krawędzi klifu, z dala od wodospadów. Na nie też nie chciał patrzeć. W tym szaleńczym spadaniu wody był rodzaj straszliwej fascynacji, tak jakby człowiek obserwujący je ze zbyt bliskiej odległości mógł zostać doprowadzony do skoczenia w ślad za nią. Grzmiący dźwięk coraz głośniej atakował ich uszy, gdy na wpół ogłuszeni prawie biegli dróżką.

Sander zauważył, że Rhin biegł z nosem przy ziemi, niczym na polowaniu. Zdawać się mogło, że nawet nie zauważył straszliwej góry gruzu. Oczywiście kowal rozumiał, że w pojęciu Rhina — choć inteligentnego, to jednak zwierzęcia — ten kataklizm nic nie znaczył. Jedynie dla człowieka, który stracił tak dużo, widok ten był potężnym ciosem z przeszłości.

Szlak wozów zwięził się. Powlekli się naprzeciwko wodospadów. Huk był taki, że nie słyszeli się nawzajem, próbując wymieniać słowa zachęty. Jeden komplet śladów biegł niebezpiecznie blisko przepaści. Sander przesuwiał się powoli, plecami przywierając do skały, twarzą na zewnątrz, ciągnąc za sobą Fanyi. Ich ubrania, włosy i twarze były mokre od wodnego pyłu. Przesuwali się ostrożnie, trzymając się jak najdalej od krawędzi. Rhin odskoczył naprzód, lecz oni powoli pokonywali kolejne odcinki. Sanderowi kręciło się w głowie. Walczył z pokusą, by zostawić za sobą tę masę kamienia i gruzu i pospieszyć w kierunku wody. Wiedział jednak, że gdyby tak postąpił, byłby zgubiony.

Fanyi zacisnęła palce jednej ręki na jego futrzanej kapocie z taką siłą, że aż zbielały jej kłykcie. W drugiej dłoni ścisnęła wisior, a jej usta poruszały się, jakby recytowała jakieś szamańskie słowa Mocy.

Podróż zdawała się nie mieć końca. Dwukrotnie padali na brzuchy i czołgali się, by utrzymać się przy ścianie, kiedy natykali się na wystające z niej kamienne

bryły bądź sterczące kawały pogiętego, zardzewiałego metalu. Mimo to koleiny wozu ciągnęły się dalej. Sander odczuwał ogromny szacunek dla tych, którzy ośmielili się jechać tą drogą, czy jeszcze innych, którzy robili to tak często, że pierwsza fala przerażenia wobec przytłaczającej zagłady ludzkości została dawno zapomniana.

Minęli wreszcie wodospady. Z prawej strony rozciągało się teraz jezioro upstrzone skalnymi wysepkami i jedną czy dwiema rafami z zakrzepłej, od dawna wystygłej lawy. Na ledwo widocznym przeciwległym brzegu jeziora zauważyli ujście, które musiało prowadzić do kolejnej rzeki, tak jakby jezioro miało dwa odpływy.

Między nimi a jeziorem zaczęła się wznosić druga ściana gruzów. Tutaj Sander znalazł dowód na to, że droga była przejezdna częściowo dzięki wysiłkom ludzi, przy użyciu narzędzi, które pozostawiły ślady na kamiennych blokach lub wycięły kawały metalu. Oczyszczony w ten sposób przejazd był niewiele szerszy od małego wozu, podczas gdy praca, jaką musiano w to włożyć, sprawiała, iż Sander był skłonny uwierzyć, że na końcu tego szlaku musi czekać nagroda warta takiego wysiłku. Minąwszy wodospady puścił się kłusem, a Fanyi biegła lekko obok niego. Spocony, z łomoczącym sercem sunął naprzód, bojąc się patrzeć wyżej niż powierzchnia bardzo wyboistej drogi. Zaczynała ona zbiegać zboczem w dół.

Minęli już odcinek oczyszczony przez człowieka. Droga znów się rozszerzała. Przed sobą widzieli, że zbocze biegnie dalej w dół, niemal do poziomu tafli jeziora.

Z tej jego strony nie było oznak roślinności. Ta ponura, śmiertelna masa nie dawała oparcia nawet karłowatym krzaczkom. Lecz na przeciwległym brzegu żółciły się i czerwieniły opadające liście drzew, a wzdłuż brzegu zieleń się trzcina.

Uszedłszy kawałek w dół natknęli się na Rhina i węzaczę. Trójka zwierząt stała tarasując drogę, jakby w geście ostrzeżenia

Rozdział jedenasty

Rhin warczał ponagłajaco. Sander zaczął biec, patrząc pod nogi, by się nie poobijać w wyniku obsunięcia się stopy do głębokiej koleiny. Pozycja kojota zdradzała podniecenie, ale i pewną obawę. Jego spiczasty pysk zwrócił się w kierunku wzgórz, gdzie gigantyczna powódź pozostawiła to, co przyniosła na ląd.

Kiedy wężacze zobaczyły nadchodzących ludzi, wyskoczyły do przodu i zniknęły pomiędzy wzniesieniami i dołami okaleczonego krajobrazu. Rhin warknął ostrzegawczo ostatni raz i ruszył w tym samym kierunku.

Pośród tych fantastycznych usypisk kamienia, poskręcanych i połamanych metalowych prętów, niektórych złapanych w zastygłe kałuże lawy, było wiele miejsc na znalezienie kryjówki. Z tyłu dobiegał grzmot wodospadów. Choć Sander wyteżał słuch, nie mógł uchwycić żadnego dźwięku, ponieważ Rhin zaczął .ujadać. Kowal wspiał się na szczyt rumowiska, badając każdy odcinek, zanim złożył na nim cały swój ciężar, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę do Fanyi.

Dotarli do miejsca, gdzie wyszczerbiona iglica oderwała się od masywu macierzystej skały. W szczelinę między nimi wciśnięta była nie wyglądająca zbyt stabilnie kupa gruzu. Sterczało tu tyle ostro zakończonych kawałków, że nie było miejsca na wygodne i bezpieczne rozłożenie obozowiska. Mimo to właśnie tutaj wężacze rozpląszczyły się, przywierając pazurami do podłoża. Rhin warował, przyciskając mocno brzuch do niekształtnej skały nafaszerowanej metalem, zastygły w bezruchu. Szarobrazowa sierść idealnie stapiała się z tłem i Sander wiedział, że kojot stosuje jedną ze swych łowieckich sztuczek. Mógł tak cierpliwie leżeć godzinami, absolutnie skoncentrowany, przy zajęczej norze lub nad tropem jelenia prowadzącym do wodopoju.

Miejsca było tak mało, że Sander i dziewczyna ledwo zdołali wcisnąć się obok kojota. Kiedy się jako tako ulokowali, Sander przygotował miotacz strzał. Rhin wpatrywał się w drogę na dole, którą tu przyszli. Postawił uszy na sztorc, a Sander wyczuwał wibracje warkotu, który narastał bezgłośnie w gardle zwierzęcia.

Sander pochylił się ku dziewczynie, muskając niemal wargami jej potargane teraz włosy nad uchem.

— Czy twoje wężacze wiedzą, co nam grozi? — Nie pierwszy raz pożałował, że on i Rhin nie mają pełniejszej możliwości komunikowania się. Wierzył, że Fanyi

potrafi czytać w myślach swoich kudłaczy albo przynajmniej odgadywać celniej, co oznacza ich zachowanie.

Odsunęła się od niego i spojrzała poważnie na Kai. Wężacz wyszczerzył złowieszczo kły.

— Coś nadchodzi — odparła. — I to nie tylko z jednego kierunku. Zobacz, Kayi jest zwrócona do przodu, a Kai patrzy w tył. Jesteśmy pomiędzy dwoma źródłami kłopotów.

Sander wykrzywił twarz w grymasie. Jeszcze tylko tego potrzebował! Miał wszystkiego może z dziesięć strzał, długi nóż i procę używaną do polowań. Wypuszczony z niej kamień mógł być pomocny i niebezpieczny na swój sposób, pod warunkiem, że wycelowano precyzyjnie. Ułożył strzały w zasięgu ręki, potem szarpnięciem uwolnił Rhina od ładunku, dając mu swobodę manewru na wypadek walki.

Przez długi czas wydawało się, że alarm był fałszywy. Jednakże Sander wiedział, że czułość słuchu zwierząt jest o wiele większa, niż u człowieka. Mogły nawet usłyszeć, jak coś pełzało wzdłuż tej wąskiej drogi. Wtem...

Dźwięk, który wypełnił powietrze, cofnął go gwałtownie do okresu dzieciństwa. Wraz z nim nadeszło ukłucie strachu, tak ostre jak prawdziwa szpada wbijana w ciało. Taki ryk dawno temu rozdzierał uszy członków Wspólnoty do tego stopnia, że zapychali je kępkami trawy, by przytępić słuch.

To był róg bojowy Białych! Nikt, kto go raz usłyszał, nie zapomni jego brzmienia. Teraz jego przeraźliwe tony przebiły się przez huk wodospadu z taką łatwością, jakby grzmot spuszczonej z uwięzi wody był ledwie szemraniem.

Głosowi rogu odpowiedziała seria rehotliwych, buczących okrzyków, o tyle bardziej przerażających, że nie wydobywały się z żadnego ludzkiego gardła.

Z góry, drogą od jeziora, zbliżały się wielkimi skokami dziwaczne amfibiany, identyczne z mieszkańcami pustynnej rzeki. Ich ciała okrywały takie same zbroje w kształcie muszli, a każdy trzymał złośliwie zakrzywioną włócznię. Ogromne muszle, z których zrobione były ich hełmy, zwisały nad ich obliczami tak, że z półki skalnej, gdzie ukryła się grupa Sandera, poza tymi muszlami nie było widać nic więcej.

Pojawiwszy się w zasięgu wzroku, amfibiany złamały szyk przedzierając się przez dziury i rozpadliny, po czym przycupnęły na tylnych łapach. Sander był pewien, że podobnie jak Rhin — posiadały one wrodzoną zdolność kamuflażu, czyniącą je niemal niewidocznymi, gdy zaszywały się w wybranych zakątkach, przygotowując

zasadzkę.

Ponownie rozległ się dźwięk rogu bojowego. Na horyzoncie pojawiła się jedna z tych ogromnych, jeleniopodobnych bestii służących Białym, którzy wyginęli na równinach. Tym razem stworzenie nie ciągnęło wozu. Zamiast tego niosło na grzbiecie jeźdźca. Noski jego butów wsunięte były w obręcze zwisające na rzemieniach pod brzuchem zwierzęcia. Był to Biały, ostrożnie posuwający się naprzód na stąpającym powoli wierzchowcu. Jeleniopodobny zrobił ledwie dwa lub trzy kroki na odsłoniętym terenie. Potem rzucił się w tył z donośnym chrząkaniem.

W rękę jeźdźca pobłyskiwał nagi metal, szpada dwukrotnie dłuższa od noża Sander. Jego głowa schowana pod spiczastym skórzanym kapturem kołysała się miarowo z prawa na lewo i z powrotem. Dopiero gdy ponownie zabrzmiał róg bitewny, ponaglił wierzchowca. Fanyi wyciągnęła ręce i położyła je na pyskach wężaczy, żeby je uciszyć. Sander znów poczuł wibracje w ciele Rhina. Wszyscy jednak zamarli, nie wydając żadnego dźwięku.

Drugi z ogromnych jeleni (jeżeli były to jelenie), pojawił się w polu widzenia. Za nim szły następne. Jeźdźcy poruszali się jednak tak ostrożnie, iż Sander był przekonany, że spodziewają się kłopotów. Ani jeden z amfibianów nie drgnął. Właściwie spoglądając w ich kierunku Sander dostrzegał zaledwie jednego lub dwa, choć wcześniej widział, jak się rozlokowywały, a i te dwa dostrzegał wyłącznie dlatego, że rozpoznawał szczeliny, w których się usadowiły.

Oczy Białych przeszukiwały wyszczerbione ściany. Kiedy ostatni z nich znalazł się na biegnącej w dół drodze, Sander zauważył długi, łukowaty róg wojenny przewieszony przez jego plecy. Grupa była nieliczna, zaledwie sześciu. Być może wybrali się na zwiady przed takim najazdem, przed jakim obroniła się Wspólnota, gdy Sander był dzieckiem.

Ich wierzchnie okrycia składały się z długich, kudłatych futer, zmierzwionych i brudnych. Futra były ciasno przywiązane do ciał poplamionymi szarfami. Zdawało się, że nie rozmawiają ze sobą, lecz kiedy dotarli do postoju mieli ręce uniesione, a palce poruszały się szybkimi ruchami, prawdopodobnie przekazującymi jakąś treść.

Wyraźnie nie podobało im się to, co zobaczyli czy wyczuwali przed sobą, a jednak jakiś silny bodziec pchał ich naprzód. Przodownik pogonił wierzchowca, trzymając rękę na szpadzie. Mimo wszystko włócznie ukrytych amfibianów i tak były dwu— lub trzykrotnie dłuższe od tej broni. Każdy z wodnych stworów mógł strącić takiego jeźdźca, nim ten zdążyłby się przygotować do odparcia ataku.

Obserwując wroga Sander zauważył ruch jednej z tych dzid, znamionujący przygotowanie do bitwy. W tym momencie poczuł silny impuls nakazujący mu krzyknąć, by ostrzec Białych. Powstrzymała go jedynie pamięć o tym, co wydarzyło się ponad dziesięć lat temu na równinach. Wówczas Biali byli jak demony, mordowali bez litości, a na końcu zabijali siebie samych, żeby nie dopuścić do kontaktu z członkami Wspólnoty. Ich bezwzględne okrucieństwo zapisało się tak krwawymi zgłoskami w historii jego klanu, że normalnie nie kiwnąłby palcem w ich sprawie. Ale przecież oni mieli powierzchowność ludzi jego gatunku, podczas gdy ci czyhający, by ich nadziać na włócznie, nie należeli do żadnego znanego mu świata.

Ręce Fanyi spoczęły na ramionach kowala. Użyła całej siły, by przyszpilić go do miejsca, krępując mu ramiona tak, że nie mógł wystrzelić strzały bez szamotaniny, która zdradziłaby ich obecność obu grupom.

Jej usta ułożyły się w wyraźne „nie”. Sander odczuł przebłysk niezadowolenia i strachu. Jeśli Fanyi potrafi czytać w jego myślach, na co wszystko wskazuje, to jemu się to nie podoba.

Przodownik Białych zrobił ostrożny krok w przód. Wtedy — jakby znikąd — nadleciała włócznia. Jedynie błyskawiczny unik wierzchowca uchronił mężczyznę przed przebicciem na wylot. Amfibiany wysypały się z ukrycia skacząc naprzód i formując z włóczni najeżoną ostrzami ścianę. Oczywiście było, że Biali nie mieli najmniejszych szans na zwycięski atak, mając jedynie taką broń, jaką Sander widział w ich rękach.

Mężczyzna z rogiem, jadący kilka długości za szermierzem, wykonał teraz pierwszy ruch. Machnął rogiem, przytykając zaokrąglony ustnik do warg i opierając mocno kawał zmatowiałego metalu o kark wierzchowca. Jego policzki wyduły się i zadał potężnie.

Zszokowany tym dźwiękiem Sander zatkał uszy rękoma. Poczuł, że Rhin drgnął gwałtownie, jakby wysokie tony smagnęły jego muskularne ciało niczym bat. Fanyi puściła ramiona kowala i przycisnęła dłonie do łbów wężaczy, choć zwierzaki skręcały się i wiły pod jej dotykiem.

Ryk rogu wstrząsnął ich gromadką, lecz jeszcze większe wrażenie wywarł na amfibianach. Dwa z nich rzuciły włócznie i upadły na ziemię, waląc wokół siebie rękoma i nogami, niczym w okrutnej meczami. Ich towarzysze wycofali się, a odwrót ten niespodziewanie zamienił się w pogrom, i to w momencie gdy oddalili się na — zdawałoby się — bezpieczną odległość od szermierzy. Biali spięli wierzchowce

ostrogami do galopu i ruszyli za uciekającymi. Przodownik pochylił się, wbijając kolejno szpadę w karki dwóch leżących na ziemi amfibianów i unieruchamiając wijące się ciała. Potem obie grupy zniknęły w tumanach kurzu, mijając zakręt w górze drogi, którą wcześniej nadeszły amfibiany.

Sander nie wykonał żadnego ruchu, by wyprowadzić swoje towarzystwo z ukrycia. W dalszym ciągu obawiał się, że Biali byli oddziałem zwiadowczym, a za nimi ciągnie banda, podobna do tej, która najechała na równiny.

Jednakże Rhin się rozluźnił, a wężacze z ujadaniem wywinęły się z uścisku Fanyi, jakby chciały w ten sposób ponaglić swych towarzyszy. Tak więc Sander został zmuszony, uznać fakt, że za tymi Białymi nikt nie jedzie — przynajmniej nie w małej odległości. Jeśli rzeczywiście tak było, to im prędzej on i reszta oddalą się od tego niespokojnego terytorium, tym lepiej.

Zatrzymał się przy jednym z martwych amfibianów. Nie chciał patrzeć na zastygłą w śmiertelnym grymasie twarz stwora pod brązowo cętkowanym hełmem z muszli. Zabrał jedynie jego włócznię i ruszył dalej.

Drzewce było o wiele za długie, sądził jednak, że będzie je można skrócić. Wąsy wieńczącego ją haka były wykonane tak sprytnie, że — wbrew sobie — oddał hołd kowalowi który je wykuł. Materiałem nie był metal, a raczej zręcznie wyrzeźbiona kość. Zadrżał na myśl o tym, jak taka końcówka wbija się i rozrywa ciało. Wąsy haka były cienkie. Niewątpliwie łamały się przy wyciąganiu włóczni, pozostawiając odłamki, które potem ropiąły w ranie.

Uwolnione od ręki i woli Fanyi wężacze skakały na zakręcie drogi, po czym zniknęły, podążając zarówno śladem Białych, jak i wycofujących się wodnych stworów. Sander nadal nie miał zdania w kwestii jak najmądrzej kontynuować podróż. Jeśli gdzieś z tyłu była jeszcze jedna gromada Białych, mogli zostać schwytani w kleszcze dwóch siejących śmierć grup wojowników. Z tego samego powodu jednak nie mógł zaproponować odwrotu.

Gdyby po raz drugi mieli szczęście znaleźć kryjówkę w tym labiryncie skał, mieliby szansę przetrwania. Lecz człowiek nie powinien tak łatwo uzależniać swojego życia od samego tylko uśmiechu fortuny.

Masa posztormowych gruzów nadal górowała nad okolicą. Idąc nie usłyszeli więcej grzmiącego ryku bitewnego rogu. Jednakże gdy doszli do zakrętu i ujrzeli brzeg jeziora, stali się mimowolnymi świadkami zakończenia tej potyczki.

Biali jeździli w górę i w dół brzegu. Widać było, że nie nęci ich perspektywa

podążania w głąb jeziora za tymi, dla których stanowi ono naturalne środowisko. Uciekające amfibiany pozostawiły za sobą zdradziecko pomarszczoną taflę wody, pod którą nie było widać nawet ich głów.

Równy w tym miejscu łąd rozszerzał się. Sander podjął błyskawiczną decyzję, że zejść z drogi i skręcić w lewo, by pójść dalej wzdłuż podnóża wzgórza. W razie gdyby Biali ich spostrzegli, szybka wspinaczka na górę może się stać dla nich ratunkiem.

Żeby nie rzucać się w oczy, przywarli jak najbliżej ziemi. Czołgali się naprzód, nie zważając na kamienie rozrywające ubrania, wpijające się w kolana i znaczące siniakami ręce. Wszystko to było drobiazgiem, jeśli dzięki temu mogli przejść niezauważeni przez jeźdźców i pływaków.

Po jakimś czasie Biali pozornie zaniechali dalszego polowania na tych w jeziorze. Jeźdźcy zebrali się razem, a Sander

zauważył trzepotanie ich dłoni, gdy konferowali w niemym języku.

Ostatecznie grupa ludzi na wierzchowcach rozdzieliła się. Dwóch kopniakami pogoniło swe jeleniowate zwierzaki na powrót drogą, którą przyjechali, zmuszając tym samym Sandera, Fanyi i Rhina, by przywarli płasko do ziemi za najbliższym występem skalnym. Kowal uniósł ostrożnie głowę. Jak dotąd jego obawy się potwierdzały. Ci jeźdźcy kierujący się na wschód musieli jechać albo w celu złożenia raportu, albo by ściągnąć posiłki. Wybawieniem dla jego grupy było jak najszybsze ominięcie pozostałych, rozłożonych na brzegu jeziora.

Najlepszym rozwiązaniem było trzymać się popękanych podnóży wzgórz. Wierzchowce nieprzyjaciela, większe i cięższe od Rhina, potrzebowały przestrzeni do manewrowania. Nie potrafiły się ostrożnie czołgać, jak w tej chwili robił to kojot.

Jednak ustawiczne tulenie się do zbocza wzgórza bardzo spowalniało tempo marszu. Jediną zaletę stanowiły liczne kryjówki, jakie oferowała nierówna powierzchnia zbocza.

Na szczęście Biali nie przejawiali ochoty natychmiastowego zbadania terenu. Może poza wodnymi stworami, które rozgromili z taką łatwością, obawiali się jeszcze innych przeciwników. Ta ziemia stworzona była do zasadzek. Garstka ludzi Wspólnoty wyposażona w odpowiednią ilość strzał rozbiłaby w mgnieniu oka całe plemię Białych. Sander na pewno nie zauważył u nich żadnych miotaczy strzał. Gdyby posiadali taką broń, bez wątpienia użyłoby jej przeciwko amfibianom.

Czołgając się minęli wreszcie jeźdźców. Sander gestem ręki dał Fanyi i

Rhinowi znak, że mogą się podnieść. Parawan z gruzu, najeżony wystającymi bryłami kamienia i skorodowanego metalu, stał, jakby faktycznie z przeznaczeniem na barykadę. Chowając się za nim, choć nie mogli się spieszyć, mogli przynajmniej maszerować i zwiększyć tempo.

Sander dwukrotnie wspinał się na szczyt barykady. Był to naprawdę ogromny zwał całkowicie stopionego materiału, który musiał się odłamać od sąsiedniego wzgórza, tworząc postrzępione podnóże. Stąd mógł śledzić całą drogę powrotną.

Zaobserwował koleiny w drodze biegnącej nadal brzegiem jeziora i jeźdźców, którzy w tej chwili nią podążali spacerowym krokiem. Widać było, że Białym się nie spieszy.

Wreszcie przodownik zsunął się ze swego zwierzęcia, a pozostali poszli za jego przykładem. Ich wierzchowce poczłapały na płyciznę jeziora, gdzie nawet z tej strony pokazywały się nie zwarzone jeszcze mrozem zielone rośliny wodne. Zanurzając łby, zwierzęta wyrywały wielkie wiechcie i przeżuwały je łapczywie. Mężczyźni zajęli pozycję przy dużej, wystającej skale i otwierali torby przy siodłach.

Sander uświadomił sobie, że również jest głodny. Nie mogli się tu jednak zatrzymywać i tracić czasu. Im większy dystans będzie ich dzielił od tych zwiadowców, tym bardziej będzie zadowolony.

Nie zaniebując żadnych środków ostrożności, towarzystwo ruszyło dalej, torując sobie drogę przez góry odpadków zmiażdżonych przez starożytnie fale i pozostawionych przez wysychające morze. Od czasu do czasu kusiło Sandera, by wypróbować niektóre kawałki metalu widoczne w tym rumowisku. Dlaczego Handlarze, mając to wszystko pod nosem, szukali innych, bardziej zżartych przez rdzę i zniszczonych miast? A może ten szlak miał prowadzić tutaj, w celu splądrowania tego nieogarnionego chaosu?

A jednak nie było tu żadnych oznak kopania. Prawdę mówiąc, Sander uważał, że próbowanie tego byłoby bardzo ryzykowne. Hałdy w mieście stawały się gładsze pod wpływem podmuchów rzeńskiego wiatru, podczas gdy te masy łamały się od niego i od czasu do czasu krusząc się spadały w dół. Dlatego Sander jednym okiem spoglądał do góry, aby omijać wszelkie niepewnie wyglądające wzniesienia.

W końcu zatrzymali się, gdyż byli już tak zmęczeni, że nie mogli dalej iść. Fanyi westchnęła głęboko, dzieląc mięso i wodę. Rhin leżał, dysząc ciężko po przełknięciu swojej porcji. Ich buty bardzo ucierpiały na wyboistych drózkach. Sander odciął wiązkę niewyprawionych zajęczych skórek i obwiązał je sobie i dziewczynie

wokół stóp futrem do wewnątrz, mając nadzieję oszczędzić i ochronić to, co pozostało z ich butów.

Fanyi masowała swoje smukłe, brązowe łydki.

— Nigdy nie podróżowałam takim szlakiem jak ten — stwierdziła. — Już same koleiny były okropne, ale to wdrapywanie się w górę i w dół jest jeszcze gorsze. Jak długo to potrwa?

Wiedział nie więcej niż ona. Wszędzie były pokruszone kamienie i zastygłe w lawie wodorosty z dawnego morza. Kilka skalnych szczytów urastało do wysokości góry, widocznie wypchnięte ze skorupy ziemskiej w tym samym czasie, gdy morze zawirowało. Był to koszmarny ląd i Sander dziękował losowi, że jak dotąd skutkiem podróżowania po nim było jedynie kilka zadrapań, siniaków i pokierszowane dłonie. Wiedział, że muszą znaleźć schronienie przed nadejściem nocy. Nawet należąca do Fanyi cenna latarka z Poprzedniej Epoki nie mogła ich prowadzić przez tak niebezpieczny teren.

Jeziro było tak ogromne, że nawet teraz, mając za sobą całą tę drogę, nie dotarli do jego zachodniego krańca. Sander przeżywał męki Tantala za każdym razem, gdy wdrapywał się na górę w celu zbadania sytuacji na drodze. Jednak ostrzeżeniem były dla niego przygody Białych. Zbliżanie się do tej zamieszkałej wody byłoby aktem najwyższej głupoty. Dla bezpieczeństwa muszą się trzymać tego surowego, umęczonego lądu.

Na krótko przed zachodem słońca natrafili na odpowiednie, zdaniem Sandera, miejsce. Dwa masywy, powstałe na skutek obsunięcia się zboczy wzgórz, utworzyły tu obniżenie, formując je ze stopionych fragmentów ściany. Pomiedzy nimi leżał kawałek stosunkowo gładkiego podłoża. Choć było tu dużo drewna, nie odważyli się rozpaść ogniska. Fanyi przywołała węzaczę i skuliła się między futrzastymi ciałami, gdzie było jej chyba nawet cieplej niż przy ogniu. Sander miał Rhina.

Zwierzęta leżały cicho, nie okazując niepokoju. Zjadły szybko i z apetytem kawałki suszonego mięsa wydzielonego oszczędnie przez Sandera. Węzaczę zaspokoili głód podejrzanie szybko, więc Sander przypuszczał, że wcześniej, buszując po okolicy, zdołały nawet w tym wyludnionym miejscu znaleźć jakąś zwierzynę. Ponadto żadne z trójki nie wykazywało ochoty, by zniknąć ponownie po zapadnięciu zmroku. Kiedy ciemność zgęstniała zupełnie, Sander pożyczył od Fanyi latarkę z Poprzedniej Epoki. Osłaniając ją jedną ręką, utorował sobie drogę do krawędzi zbocza, stanowiącego zachodnią ścianę ich kryjówki.

Tu pstryknięciem zgasił światło i wpatrywał się uważnie na wschód. Jeśli Biali nadal podążali śladem wozu, mogli rozbić obóz z ogniskiem. Nie zauważył jednak odblasku płomieni.

Dopiero kiedy, gotów wracać po omacku do własnej dziury, zwrócił się na zachód, dostrzegł iskrę, która nie była gwiazdą i mogła pochodzić jedynie od ognia. Był pewien, że Biali nie mijali ich po południu. A więc to nie ci zwiadowcy zapalili to przewodnie światło. Ponieważ wydawało mu się, że było to światło przewodnie — tak wysoko było umieszczone. Kiedy je obserwował, zaczęło mrugać, powoli, z przerwami, według schematu: zgasić — zapalić. Tak właśnie robiła Wspólnota, wysyłając poprzez kraj ostrzeżenie o zagrożeniu dla stad. Tyle że te mrugnięcia nie przypominały szyfru, jakiego on został nauczony. Sander odwrócił się, zwracając się ponownie ku wschodowi.

Tak, jego domysły były słuszne! Umieszczona wysoko, w odpowiedzi mrugała druga iskierka. Biali? Jakoś w to wątpił. Mężczyźni, którzy dzisiejszego ranka rozgromili amfibiany, wyglądali na jadących nowym, nieznanym szlakiem. Lecz kto inny mógł przesyłać sygnały pomiędzy tymi udręczonymi wzgórzami?

Handlarze? To wydawało się bardziej prawdopodobne. W głowie Sandera zaczęło się kotłować wszystko, co wiedział na temat obwarowanych ścisłą tajemnicą miejsc ich wykopalisk. Mogli przecież rozstawić strażę na wzgórzach, strażę, które zaobserwowały zarówno nadejście Białych, jak i grupy Sandera. Czy Biali byli tak samo wrogami Handlarzy, jak Wspólnoty?

W tym momencie żarliwie w to wierzył. Ten fakt umocniłby znacznie pozycję jego i Fanyi. Wspólny wróg mógł w obliczu zagrożenia zjednoczyć nawet nieprzyjaciół.

Światelko na wschodzie błysnęło po raz ostatni i zgaśło. Kiedy odwrócił głowę, stwierdził, że to na zachodzie również zniknęło. Wczołgał się ostrożnie z powrotem do obozowiska i siadł obok kojota. W ciemności słyszał miarowy i spokojny oddech Fanyi. Domyślił się, że już śpi.

Sander jednak nie poszedł w jej ślady. Wydawało mu się, że wokół coś krąży, wyłażąc z zakrzepłych po sztormie wodorostów. To było kiedyś miejsce śmierci nie tylko ludzi, lecz także ich ambicji, marzeń, dokonań. Jeśli istnieją jakieś ziemskie duchy, to gdzież można by lepiej usłyszeć ich łamiący się szept, ich błaganie o życie i strach przed śmiercią, której nadejściu towarzyszyło takie przerażenie, że ich umysły nie mogły ogarnąć jej bezmiaru i zrozumieć powodu, dla którego wykreślała ich z

tego świata.

Coś z lęku, jaki ogarnął go rano, gdy po raz pierwszy spojrzeli z Fanyi na to miejsce, drgnęło w nim na nowo. Zrobiło mu się zimno, nie tylko od chłodu nocy. Niemal słyszał jęki i krzyki tych zaginionych i dawno zmarłych.

Zbeształ sam siebie za brak zdrowego rozsądku. Pora wziąć się w garść. Jego wargi zaczęły się poruszać, recytując zaklęcia kowala. Człowiek wykonuje narzędzia i broń według wzoru, jaki nakreśli jego rozum. Ci, którzy ich używają, umierają, gdy nadchodzi ich czas i są składani w grobowcach. Taka jest naturalna kolej życia.

Umarli, którzy stracili tu życie w Czasie Ciemności, dawno już odeszli. A przedmioty przez nich wykonywane były Sanderowi zupełnie obce i nie rozumiał zasad ich działania. Być może był ich dalekim potomkiem, lecz nie należał do ich klanu; oni nie mieli nad nim władzy.

Zmagał się z wyobraźnią, starając się wymazać z pamięci tamto wspomnienie fragmentu budynku, częściowo nienaruszonego i nadal otynkowanego, widzianego na klifie. Ludzie Poprzedniej Epoki mieli do dyspozycji ogromną wiedzę, lecz nie pomogła im ona uciec przed Czasem Ciemności. Jaki był zatem pożytek z ich nadzwyczajnych nauk, gdy obróciły się przeciw nim i ziemia, i morze?

Analizował dogłębnie przyczynę, dla której się tu znalazł. Do jakże odległej przeszłości należały teraz obelżywe słowa jego wuja. Już nie rozniecały w nim płomienia gniewu. W obliczu tych udręczonych gór jego własne życie wydawało się bardzo maleńkie, niemal nic nie znaczące. A jednak było to jego życie. I jeśli obiecana przez Fanyi mądrość Poprzednich Ludzi rzeczywiście spoczywa niedaleko i będzie mógł ją przejąć, to przestanie być taki mały. Leżąc wyginał palce, myśląc o wzorach, które od dawna nosił w głowie, i o przedmiotach, jakie mógłby wykonać, gdyby znał technikę obróbki nieznanymi metalami...

Nie miało nawet większego znaczenia, czy powróci, aby zawstydić tych starszych Wspólnoty, którzy nazwali go niedoświadczonym młokosem i nie pozwolili zająć miejsca ojca. Nie, najbardziej liczył się fakt, że będzie wiedział, wiedział i wykorzystywał umiejętności, o których zdobyciu zawsze marzył, a których nigdy nie osiągnął.

Przytulił głowę do Rhina, zdecydowanie odgradzając się od okropieństw tych wzgórz i skupiając się na teraźniejszości.

Rozdział dwunasty

Z nastaniem poranka zataczając koło zeszli w dół do jeziora, gdzie Sander napełnił bukłak, podczas gdy Fanyi z węzaczami stała na straży. Tutejsza woda miała dziwny, metaliczny smak. Fanyi jednak oświadczyła, że jest nieszkodliwa, dodając, że zawarte w niej minerały mogą być dobrodziejstwem dla organizmu i że ona podaje je w celach leczniczych. Nigdzie nie było śladu amfibianów, a jednak na jednej ze skalistych wysepek oddalonych spory kawałek od brzegu Sander zauważył kopiec z kamieni, z którego wprost na jezioro wychodził ciemniejący otwór wejścia. Jego zdaniem mogło to być siedlisko stworów.

Ponownie zeszli z wygodniejszej drogi dla wozów, aby przedzierać się wzdłuż krawędzi wzgórz. Odkryta przestrzeń zaczęła się znowu zwężać. Wcześniej czy później będą zmuszeni do powrotu na ten pokryty koleinami szlak. Sander nie przestawał nasłuchiwać. Ich owinięte zajęczymi skórkami stopy, podobnie jak poduszki łap zwierząt, nie robiły hałasu. Lecz nawet obsunięcie się kamyka zdawało się tu odbijać zbyt głośnym echem!

Po raz kolejny droga zaczęła piąć się ku górze. Niektóre koleiny wypełniały kamienie, a po obu stronach drogi znów pojawiły się gruzy. Musieli teraz na nią wrócić, ponieważ wspinanie się po ruchomych skałach było niepotrzebnym ryzykiem. Istniało zbyt duże zagrożenie obsunięcia się.

Przyspieszył tempo, pragnąc jak najprędzej wydostać się z tej przełęczy, gdzie byli widoczni jak na dłoni. Światelko widziane w nocy na wzgórzach musiało oznaczać placówkę wartownika. Nie wątpił, że już ich dostrzeżono, wyspiegowano. Mimo to wyzwanie, którego ustawicznie oczekiwał, nie nadchodziło.

Za drugim zwężeniem poziomy teren wzgórza zaczął ponownie opadać. Ze szczytu, przez który prowadziła droga, mieli doskonały widok na okolicę. Było kilka wzniesień, lecz nie tak wysokich jak te, które zostawili za sobą, a fale pozostawiły tu o wiele mniej zdruzgotanych ruin.

Zamiast tego rosła tam trawa, rozrzucone z rzadka drzewa przystrojone w złoto i purpurę oraz kilka kęp sosen, wyróżniających się ciemną zielenią. I... Sander zatrzymał się, wstrząśnięty...

Roztaczający się przed nim widok był jakby skrzyżowaniem wioski Padford — z jej drewnianymi i kamiennymi ścianami — z krytymi plandeką wozami

mieszkalnymi, używanymi przez Wspólnotę. Mówiąc krótko, był tam wykopany głęboki rów, do którego skierowano wodę z rzeki zasilającej jezioro. Za tym rowem wznosiły się wysoko ziemne wały, uwieńczone ścianą z ociosanych w szpic bali, stanowiących jakby obronną palisadę, tyle że pnie były większe i mocniej osadzone niż w jakimkolwiek widzianym przez niego tego typu murze.

Wewnątrz, zbite w gromadki, stały wozy mieszkalne kryte plandekami, znacznie większe od tych, które ciągnęła przez równiny Wspólnota do budowania tymczasowych osad. Wozy okręzały plac, na którym królowała wzniesiona z kamienia, surowa wieża, górująca może dwukrotnie nad otaczającymi ją wozami. Z palenisk przed namiotami unosiły się strużki dymu. Wszędzie krzatali się ludzie, a stado zwierząt poganiane przez jednego jeźdźcę wybiegało truchtem z zagrody przez most, który mógł być opuszczany lub podnoszony nad rowem.

Psy gończe! A zatem musi to być warownia Handlarzy. Handlarze, w odróżnieniu od członków Wspólnot, hodowali różne zwierzęta. Hundy, jak je nazywano, były krewniakami Rhina, różniły się jednak tym, że ich uszy nie sterczały, lecz opadały po obu stronach łba. I zamiast jednolitego ubarwienia ich sierść była plamista, cętkowana, miały białe i czerwono-brązowe łatki lub łapy, tak że nie było dwóch identycznych. Handlarze rzadko jeździli wierzchem podczas swych wędrówek, lecz używali tych zwierząt do ciągnięcia taboru. Mimo to Sander nigdy nie widział ich w takiej ilości.

W środku stada, otoczona kłusującymi bundami, kroczyła gromadka jeleniopodobnych stworzeń, większych od tych, na które zwykł polować Sander. Opuściwszy wioskę, hundy rozproszyły się, choć nadal pilnowały jeleni. Z nosami przy ziemi goniły w różnych kierunkach, podobnie jak czyni to wypuszczony na polowanie kojot. Pastuch jechał dalej, kłusując samotnie za jeleniami w kierunku przełęczy.

Siedzące po obu stronach Fanyi wężacze zaczęły wydawać swoje syczące odgłosy bitewne. Ona jednak natychmiast położyła na nich dłonie. I to jej wola — a nie lekki dotyk — powstrzymała je. Rhin przyglądał się z zainteresowaniem, lecz nie warczał. Znał Handlarzy od dawna i był za pan brat z bundami dźwigającymi ich bagaże.

Hund z jeźdźcem na grzbiecie zaczął nagle ujadać i ruszył galopem. A za Sanderem odezwał się ostry i wyraźny głos: — Stójcie! A może chcecie mieć rozszarpane gardła, głupcy? Pytanie zostało zadane takim tonem, iż Sander nie wątpił,

że pytający gotów był spełnić pogroźkę. Opuścił bezradnie ręce. Broń tkwiła za pasem i przewieszona przez ramię. W duchu bardzo się wstydził, że dał się tak łatwo podejść ukrytemu strażnikowi.

Jeździec przybył szybko, gdyż hund biegł z maksymalną prędkością. Na jego widok wężacze zaczęły warczeć z nieukrywaną wściekłością. Nadal jednak Fanyi miała je pod kontrolą. Rhin zaskowyczał, hund odpowiedział gardłowym ujadaniem.

Sander bardzo chciał się odwrócić, żeby zobaczyć, kto pilnuje go od tyłu, lecz zdawał sobie sprawę, że wykonywanie jakichkolwiek ruchów byłoby w tej sytuacji głupotą, mogącą sprowokować natychmiastowe wrogie represje. Jeździec ściągnął cugle i zatrzymał się przed nimi. Miał na sobie skórzane bryczesy i futrzaną kapotę człowieka z nizin. Jego twarz była na wpół ukryta pod czarną, spiczasto przystrzyżoną brodą, a sięgające ucha włosy były w większości zakryte czapą z żółtawobiałego futra. W rękach trzymał gotowy do strzału miotacz z umieszczoną w nim strzałą, a w wyrazie jego twarzy nie było nic z uprzejmego powitania.

— Kim jesteście? — spytał ostrym tonem, lustrując wzrokiem najpierw Fanyi, potem Sandera, choć, jak zauważył Sander, nie przestawał zerkać spod oka na wężacze.

— Jestem Sander, kowal. A to jest Fanyi, Szamanka z Padford — odpowiedział Sander, pozorując pewność siebie z nadzieją, iż uda mu się tę pewność zachować.

— Kowal i Szamanka — powtórzył jeździec. — A dlaczego się tu wtoczycie? Może jesteście zwiadowcami jakiejś Wspólnoty? — w obu pytaniach brzmiała nieukrywana wrogość.

— Ty jesteś Jon z Czerwonych Płaszczy — odezwała się Fanyi. — Widziałam cię w Padford. Było to pięć sezonów temu.

— Byłem tam. Lecz Handlarz w trakcie swych podróży jeździ w wiele miejsc. A co tu robi Szamanka z Padford? Zgodnie z Wielką Wolą, której podlegasz, nie wolno ci przecież opuszczać swego ludu. Czyżby zatem ci z Padford także wędrowali?

— Przeciwnie. Większość z nich spoczywa martwa, Handlarzu Jonie. Ilu zabrały Morskie Rekiny, nie potrafię zliczyć.

Nie opuszczając miotacza, spojrzał uważniej na dziewczynę.

— Morskie Rekiny, tak? Powiadasz, że najechali na Padford?

— Wymordowali, spalili, uprowadzili — powtórzyła z naciskiem.

— A on? — miotacz przesunął się trochę, wskazując na Sandera. — Ten kowal nie należy do twego ludu. Jak i dlaczego znalazł się na tej ziemi? Żadna Wspólnota nie lubi opuszczać swoich równin bez ważnego powodu.

— Miałem ważny powód — odparł Sander. — Żadna Wspólnota nie ma też dwóch kowali. Dlatego przychodzę szukać wiedzy... większej wiedzy o metalach. Spojrzenie mężczyzny nabrało większej srogości.

— Jesteś odważny, kowalu, przyznając, iż przychodzisz wykraść nasze tajemnice!

— Nie obchodzi mnie — odpowiedział Sander — gdzie te metale się znajdują. Liczy się dla mnie jedynie sekret ich obróbki.

— Tak mógłby powiedzieć każdy przyłapany w miejscu, gdzie nie ma prawa przebywać — stwierdził Handlarz.

— Czyż zatem rościecie sobie prawa do tego wszystkiego? — spytała Fanyi, wskazując na ziemię wokół.

— Zgodnie z prawem odkrywcy wszystko, co znajduje się na tych terenach, jest nasze. A ty — warknął na Sandera, jakby uważając, że wszelka dalsza dyskusja osłabi jego argumenty — rozpakuj manatki — wskazał na pakunki przytroczone do grzbietu Rhina — i pokaż, co ukradłeś...

Choć Sander nie miał pojęcia, jaka siła stoi za jego plecami, postanowił zaprzestać udawania potulnego. Wiedział wystarczająco dużo o sposobach postępowania Handlarzy, by zdawać sobie sprawę, że jeśli się nie postawi i nie zacznie targować, będzie zgubiony. Splótł ramiona na piersiach.

— Czy zatem jesteś tu wodzem? — spytał butnie. — Nie jesteś głową mój ej Wspólnoty ani nawet człowiekiem Pierwszej Rady, chyba że się nim mianujesz. Ja nie wykonuję rozkazów. Ja jestem kowalem, kimś, kto zna magię metali. Takim jak ja nikt nie rozkazuje bez powodu. Ani — ciągnął dalej — nikt nie zwraca się tak do Szamanki.

Mężczyzna wydał dźwięk mogący oznaczać pogardliwe parsknięcie.

— Jeśli ona była Szamanką w Padford, a Padford przestało istnieć po najeździe Rekinów, to twierdzenie o posiadaniu Mocy jest fałszywe. Co do ciebie, kowalu — wyraźnie naigrawał się z jego tytułu — musisz udowodnić swoją wartość czymś więcej niż tylko słowami.

Węzacze warczały, Rhin im wtórował, a hund zjeżył sierść i wyszczerzył kły.

— Pilnujcie swoich zwierząt — polecił Handlarz — gdyż w przeciwnym razie

będziecie je oglądać martwe. Ruszajcie, ale powoli. Zobaczymy, co zrobią z wami Planiści.

Fanyi przeszła Sandera wzrokiem. W jej spojrzeniu wyczytała groźbę. Wężacze nie przestawały warczeć, lecz opadły z powrotem na cztery łapy, a ona stała pomiędzy nimi z rękoma spoczywającymi na ich grzbietach. W takiej pozycji ruszyli w dół, w kierunku miasta.

Sander podążył za nimi. Nic już nie mógł zrobić. Usłyszał za sobą chrzęst i uświadomił sobie, że postąpił słusznie, zachowując przezorność, jako że teraz ruszyło za nim trzech jeźdźców na bundach, odcinając mu drogę z tyłu.

Kilka puszczonej luzem hundów zbliżyło się w podskokach, gdy całe towarzystwo zmierzało porytą koleinami drogą do mostu nad rowem. Powariowały i ujadły. Rhin i wężacze szczerząc kły przygotowywały się do odparcia ewentualnego ataku. Ten jednak nie nastąpił, gdyż jeźdźcy odpędzili bundy serią okrzyków, niewiele różniących się od szczekania.

Z wioski na powitanie wyszli mężczyźni. Jeden z nich zawołał do ich pogromcy:

— Ha, Jon, czegoż to nałapałeś? To nie maruderzy z Hordy.

— Są najeźdźcami, niezależnie od tego, jak wyglądają — odrzekł jeździec. — Ale jeśli pilno ci do handlowania ciosami z Hordą, to ci także nadchodzą. Widziano sygnały.

Fanyi zatrzymała się przed wejściem na most.

— Handlarzu, moje wężacze tam nie wejdą. Sprowadźcie swoich Planistów tutaj.

— Martwe zwierzęta nietrudno przetransportować...

Dziewczyna uniosła ręce i złożyła je z głośnym klaśnięciem. Jej oczy uchwyciły i przytrzymały wzrok groźącego. Wyglądał, jakby daremnie starał się jeszcze coś powiedzieć czy wydać rozkaz, ale jakaś siła zamknęła mu usta na kłódkę.

— Rzekłam, a Moc należy do mnie, Jonie z Czerwonych Płaszczy — czyż nie znam twojego prawdziwego imienia? Zatem mogę ci rozkazywać. Sprowadź kogoś ze starszyny, abyśmy mogli porozmawiać.

Jeździec wyraźnie miotał się pomiędzy własną wolą a wolą dziewczyny. Jego twarz wyrażała wściekły gniew, mimo to zsunął się z grzbietu bunda i poczłapał ciężko przez most wśród szpaleru stojących gapiów.

Na twarz Fanyi malował się wyraz koncentracji, znany Sanderowi z

momentów, gdy siadywała z wisiosem w dłoni. Choć odnosił się nad wyraz sceptycznie do jej rzekomej „mocy”, to w tej chwili był niezaprzeczalnie świadkiem, jak zupełnie niezależny od niej mężczyzna, który nawet nie musiał akceptować jej decyzji (jak to było niewątpliwie w przypadku jej współplemieńców), spełniał wbrew własnej woli jej rozkazy.

Oblicza otaczających ich mężczyzn były nieprzeniknione. Choć osada istniała z pewnością już jakiś czas i na pierwszy rzut oka zupełnie nieźle prosperowała, w tym milczącym tłumie nie było widać kobiet ani dzieci. Sanderowi nie podobały się wnioski nasuwające się z tego milczenia i zaciętych rysów. Jowialna, szczerza przyjazność, jaką okazywali Handlarze odwiedzający Wspólnotę, zniknęła. W tym demonstracyjnie lodowatym powitaniu znalazły potwierdzenie wszystkie zasłyszane dotąd ostrzeżenia dotyczące ich zazdrosnej kurateli nad własnym terytorium.

W świecie, gdzie obcy — o ile nie prezentowali otwartej wrogości, jak Biali czy Rekiny — przyjmowani byli gościnnie i wypytywani o historie związane z ich podróżami i odległymi ładami, ta nieukrywana wrogość była dla Sander'a czymś nowym. Przecież on był kowalem, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. A w każdej cywilizacji człowiek o takich umiejętnościach bywa naprawdę mile widziany. Omiótł wzrokiem twarze zgromadzonych, starając się znaleźć czoło z tatuażem podobnym do jego. Czyżby tu wcale nie było kowala? Od kolegi po fachu, dzielącego z nim sekrety rzemiosła, mógłby domagać się wsparcia.

Na żadnym czole nie dostrzegł jednak znaku niebieskiego młota. Mimo to powtarzał w myślach zaklęcie, którym mógłby poprzeć i udowodnić swe prawa do poszukiwania tajemnic metalu.

Tłum ponownie się rozstał i Sander znów zobaczył Jona, w towarzystwie znacznie od niego starszego mężczyzny. Nowo przybyły szedł, powłócząc nogami. W obu rękach trzymał laski, na których opierał się całym ciężarem przy każdym pochyleniu ciała ku przodowi. Głowę miał wygiętą pod nienaturalnym kątem, co musiało być bolesne. Pomimo całej ułomności szedł bardzo szybko i chociaż długość jego kroków była ograniczona, dorównywał niemal potężnym susom Jona. Jako jedyny wśród Handlarzy przybysz miał na czole znak. Przez moment Sander myślał, że on jest tym kowalem, którego szuka. Potem uświadomił sobie, że człowiek o tak niepozornym ciele nie mógłby wykonywać ciężkiej pracy w metalu. Poza tym jego tatuaż nie przedstawiał młota, lecz coś, co wydało mu się dziwnie znajome. Z początku nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widział ten profil ptasiej

głowy o srogim spojrzeniu. Potem przypomniał sobie odłamany kawałek rzeźby znaleziony nad rzeką, stanowiący ongiś, według słów Fanyi, symbol wielkiego i dumnego państwa.

Naznaczony wizerunkiem ptaka mężczyzna zatrzymał się przed Sanderem i jego grupą. Przez długą chwilę przyglądał się każdemu z osobna, zarówno ludziom, jak i zwierzętom, po czym przemówił głębokim i pełnym głosem, niemal zbyt potężnym jak na jego chuderlawe ciało.

— Ty — wybrał Fanyi jako pierwszą — jesteś z Mocy. Ty — odchylił nieco głowę, by spojrzeć na Sandera — jesteś kowalem z ludu równin. A mimo to podróżujecie wspólnie, razem z tymi, którzy są waszymi towarzyszami. Jakież to cel jednoczy tak dziwną i zróżnicowaną grupę?

— Ja jestem z Padford — odezwała się Fanyi. — Lecz Padford już nie ma. Pojawiły się Morskie Rekiny i... — rozłożyła bezradnie ręce.

— Powiadają — rzekł starzec — że Moc prawdziwej Szamanki może otoczyć murem i obronić ludzi, którzy wierzą.

— Był to czas Wielkiego Księżyca — twarz Fanyi była blada, lecz mówiła pewnie. — Poszłam za głosem potrzeby. W tym właśnie czasie oni uderzyli.

Wargi i szczeka starca poruszyły się nieznacznie, jakby przeżuwał słowa, chcąc dojść prawdy przez ich smak. Nie skomentował wypowiedzi dziewczyny, tylko po raz drugi pochylił się ku Sanderowi:

— A ciebie, kowalu, jak sam siebie nazywasz, co wypędziło z równin, z dala od Wspólnoty i rodziny?

— Mój ojciec zmarł — Sander powiedział prawdę, nie widząc powodu, by ją ukrywać. — Byłem młody. Mój wuj twierdził, że zbyt młody, by być pełnoprawnym kowalem, choć ojciec mianował mnie na tę funkcję. W żadnej Wspólnocie nie ma miejsca dla dwóch kowali, dlatego wybrałem wygnanie.

— Młodzieńcza porywczość, czyż nie tak, kowalu? Nie potrafiłeś nagiąć swej dumy, wolałeś raczej życie bez najbliższych?

Sander wyczuł w tym pytaniu nutę ironii, postanowił jednak nie dać się sprowokować.

— Kierowało mną także pragnienie wiedzy.

— Wiedzy! — Ostre słowo smagnęło niczym bicz. — Wiedzy o czym, kowalu? O bezpańskim skarbie, który mógłbyś zagrabić, aby kupić sobie powrót do swego rodu? Czy o to chodzi? Poszukiwać metalu samemu, tak by Handlarze nie

mogli zarobić na życie!

Przez tłum przebiegł pomruk podobny do warczenia Rhina. Zanim Sander zdążył odpowiedzieć, starzec kontynuował.

— A jaki skarb zagrabiłeś, kowalu? Opróżnij torby!

Sander chciał się sprzeciwić, lecz wiedział, że tym mógłby jedynie sprowokować szarpaninę, która tylko pogorszyłaby sytuację. Z posępną miną podszedł do Rhina, rozsznurował torbę zawierającą narzędzia oraz małe kawałki metalu, które wyszperał i odłamał na statku. Kiedy wszystko wyciągnął, Jon rzucił się na jeden z kawałków sfatygowanego drutu.

— Spójrzcie, on ma ... — zaczął Handlarz z odcieniem triumfu, potem przysunął drut bliżej oczu. Rzuciwszy ten kawałek, zaczął łapczywie zagarniać resztę małego magazynu Sandera.

— Popatrz tylko. Planisto!

Handlarz podsunął garść znalezionych na statku rzeczy przed oczy starca.

— Skąd to masz'? — spytał ten ostatni.

— Na pustyni powstałej po cofnięciu się morza był statek. To pochodzi z jego wnętrza — wyjaśnił Sander. Planista musiał być w połowie kowalem lub mieć kowalskie oko, gdyż inaczej nie zauważyłby różnicy między tym a metalem ze zrujnowanego miasta.

— A ten statek był z metalu? — dopytywał się dalej.

— Cały z metalu. W jego wnętrzu znajdowali się martwi ludzie, zachowani we własnej postaci, nie jako szkielety.

Ku jego zaskoczeniu Planista pokiwał głową:

— A zatem podobny do tego, który Gaffred odkrył w zeszłym roku w górach, przeznaczonego do podróżowania pod powierzchnią wody.

W sposób niepojęty dla Sandera wzmianka o statku zmieniła diametralnie podejście Planisty. Z podejrzliwego stał się niemal gościnnie, oferując mu nocleg. Fanyi powtórzyła, że jej zwierzaki nie wejdą do miasta, co na krótko znów wzbudziło falę wątpliwości wśród Handlarzy. Ostatecznie ustalono, że Sander znajdzie schronienie pod dachem ich kowala (który z powodu skaleczenia nie był chwilowo zdolny do pracy), podczas gdy Fanyi uzyskała zgodę na przenocowanie na zewnątrz, w jednym z aktualnie nie używanych wozów mieszkalnych.

Sanderowi nie podobało się odseparowanie od dziewczyny. Utwierdziła tych ludzi w przekonaniu, że oni, dwoje samotników bez rodziny, wspólnie dążą do

jakiegoś celu, ani słowem nie wspominając o dziwnej składnicy, której szukała. Wcześniej podporządkował się jej wskazówkom, bo przysługiwało jej prawo do miejsca, do którego to znalezisko z Poprzedniej Epoki służyło za przewodnika. Sądził jednak, że Handlarze są przekonani, iż łączą ich głębsze więzy, i dlatego zrobili z niego zakładnika, aby zagwarantować sobie, że Fanyi nie ucieknie.

Sander wiedział, że to żadna gwarancja. Nic nie powstrzyma dziewczyny, jeśli zechce nocą odejść. A gdyby rzeczywiście zniknęła, los jego byłby nie do pozazdroszczenia. Dochodziła jeszcze świadomość, że lada moment pojawią się tu Biali. Kiedy jednak napomknął o tym Handlarzom, odpowiedzieli, że są świetnie zabezpieczeni.

Kaboss, kowal, powitał Sandera bez entuzjazmu, niechętnym chrząknięciem. Przejrzał zestaw narzędzi przybysza z równin nie tyle ze wzdorliwym prychnięciem, co z miną człowieka, który już dawno odrzucił podobne egzemplarze jako zupełnie bezwartościowe. Jednak kawałki odrutowania statku zaintrygowały go. I zrobił Sanderowi najbardziej wyczerpujący egzamin dotyczący wszystkiego, co zaobserwował na tamtym osiadłym na pustyni wraku.

Jedna z potężnych rąk Kabossa była zawinięta w bandażę i gdy raz czy drugi poruszył odruchowo palcami, krzyknął z bólu. Pozwolił Sanderowi najeść się do syta (tak wielkiej michy pikantnego gulaszu chłopak nie widział, od kiedy opuścił Wspólnotę), a potem zabrał go do kuźni, gdzie wskazał na stos przedmiotów do naprawy, jaki zebrał się na skutek jego skaleczenia i niezdolności do pracy. Jak każdy Handlarz, targował się o warunki, lecz w końcu Sander wynegocjował takie, jakie go zadowalały, i z ochotą zabrał się do pracy.

Rhin został zakwaterowany w stajni i nakarmiony ogromną porcją suszonego mięsa. Wylizawszy obolałe od wędrówki przez góry łapy, kojot zapadł w głęboki sen.

Sander skupił się całkowicie na pracy, choć czas przeznaczony na nią był krótki, ponieważ gdy dotarli do osady Handlarzy, słońce stało już wysoko na niebie. Myślał też o tym, co przyniesie przyszłość. Nie wierzył, by Fanyi osiadła spokojnie jako członkini tego klanu, nawet gdyby jej przyznano pełne prawa rodowe. On też tu nie zostanie, jeśli ona odejdzie.

Kaboss jako pełnoprawny kowal znów przejmie całość obowiązków, gdy jego ręka się zagoi. Sander wolał opuścić własny ród, niż być dalej uważanym za praktykanta. Tym bardziej nie miał zamiaru odgrywać tej roli wśród obcych. Ponadto — niezależnie od tego, co ustawicznie sobie powtarzał o umiarze i zdrowym rozsądku

— podświadomie wierzył, że Szamanka rzeczywiście coś wie, gdy mówiła o składnicy wiedzy. Wisior w dużym stopniu nawrócił go na jej punkt widzenia. Nigdy przedtem nie widział ani nie słyszał czegoś podobnego.

Gospodarstwo Kabossa było małe. Jego towarzyszką życia była milcząca kobieta, wyglądająca na starszą od swego wybranka, z włosami przyprószonymi siwizną. Jej strój wskazywał jednak na ważność ich domu; przyozdobiony był grubym naszyjnikiem z mocno wypolerowanej miedzi oraz czterema srebrnymi obrączkami, a prosta zielona suknia przewiązana była pasem ze srebrnych kótek. Odzywała się z rzadka i jedynie do dziewczki służebnej, przemykającej po domu z grymasem strachu na twarzy. Widocznie jej pani należała do tych, których nigdy nie można zadowolić.

Nigdzie nie było widać praktykanta. Kaboss napomknął, że miał przedtem jednego — młodszego syna swego brata — ale ten wyjechał kilka dni temu na wyprawę w poszukiwaniu kruszcu na północy.

Ulegając jego nagabywaniom, Sander zdradził mu nieco szczegółów z ich podróży; opowiedział o spotkaniu z amfibianami i ataku potwora na dom na byłej wyspie. Kabossa niezwykle zainteresował ten fragment opowieści.

— Zatem one nadal się trafiają — stwierdził. — Niegdyś stanowiły prawdziwą plagę. Nie mogliśmy spokojnie polować, bo natychmiast się pojawiały. Potem wspólnie z klanami Meanings i Hart zorganizowaliśmy wielką obławę. Zabiliśmy ich wtedy dwanaście. Od tamtej pory już nas nie nękały, myśleliśmy więc, że to były wszystkie. Teraz nadchodzą ci, których nazywasz Białymi, niosąc kolejne zagrożenie. A lud rzeczny... oni się nie liczą. Na łądzie można sobie z nimi łatwo poradzić.

Siedząca obok kobieta pochyliła się gwałtownie do przodu na swym wyściełanym krześle. Wpatrywała się intensywnie w Sandera, jakby nie słysząc tego, co mówił Kaboss; a jeśli nawet słyszała, nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Wskazała na gościa.

— Powiedz mi, przybyszu, dlaczego nosisz to żelazo na głowie?

Zapomniał już o skręconym drucie, który nałożył w nadziei, że odsunie od niego groźbę powtórnego zetknięcia się z doświadczeniem, które Fanyi nazywała „penetrującą myślą”. Jego ręka powędrowała do góry i z pewnym zaskoczeniem dotknęła opaski.

Kobieta ciągnęła dalej, nie czekając na odpowiedź:

— Szukasz ochrony „zimnego żelaza”, czy nie taka jest prawda? Przytrafiło ci się coś, czego nie potrafisz zrozumieć, coś, czego człowiek nie szuka, czyż nie tak?

Kaboss przerosił zdumiony wzrok z pytającej na Sandera i z powrotem.

Przezornie odsunął się nieco od młodzieńca:

— Nawiedzony!

Kobieta zaśmiała się nieprzyjemnie.

— Dziwię się, że sam tego nie spostrzegłeś, Kabossie.

Tak, on jest nawiedzony. A takich nie będę gościła pod tym dachem. Gdyż może być tak, że wpuści tu tych, których nie widzimy ani nie czujemy. Zabierz go stąd i zostaw z tamtą dziewczyną; ona przynajmniej uczciwie przyznaje, że rozmawia z tymi, których nie ma. Zrób to dla bezpieczeństwa nie tylko tego domu, ale całego naszego klanu.

— Planista Albert przysłał go tutaj — zaczął Kaboss.

— Ten dom jest mój, a nie Planisty Alberta. Poza tym sędzę, że jeśli ktoś się dowie, że udzieliłeś schronienia takiemu, to wkrótce okaże się, że mamy więcej wrogów niż przyjaciół.

Kaboss podniósł się z ociąganiem i skinął na Sandera. — Dom należy do niej — powiedział flegmatycznie — tak więc ona decyduje. Chodź, cudzoziemski kowalu.

Tym sposobem Sander znów został wygnany. Udzielone szeptem strażnikom przy bramie wyjaśnienia wystarczyły, by przepędzić jego i Rhina w ciemną noc.

Ciągle oszołomiony tempem wydarzeń, ruszył w kierunku wozu przydzielonego Fanyi. Nie był ani trochę zaskoczony, nie zastając w nim nikogo. Zniknęły również jej bagaże. Zarzuciwszy własny tobołek na Rhina, wymusił na zwierzęciu podjęcie tropu. Dosiadł go, a kojot z nosem przy ziemi ruszył przed siebie. Znów byli w drodze.

Rozdział trzynasty

Sandera niepokoił fakt, że Kaboss wypędził go z wioski tak po prostu, nie powiadamiając nawet o tym Planisty. Jadąc przed siebie rozmyślał nad tak nagłą zmianą stosunku do jego osoby. Kobieta przedstawiła swoje odczucia na tyle jasno, że pozwalało to przypuszczać, iż Handlarze prawdopodobnie zetknęli się kiedyś z taką inwazją mózgu, jaka spotkała Sandera. Wiedzą, co oznacza „zimne żelazo”, które długo było uważane za legendę. Sander nigdy nie słyszał, aby jego ziomkowie powoływali się na tę legendę. Być może drucziana opaska sprowokowałaby pytania również wówczas, gdyby nosił ją we Wspólnocie, lecz tutaj kobieta Handlarza natychmiast nazwała ją po imieniu — ochroną przed niewidzialnym.

Lecz Planista tak zdecydowanie obstawał przy tym, żeby zamieszkał u Kabossa...

Czy stary Handlarz nie był trochę zbyt stanowczy w tym punkcie? Myśli Sandera poześlowały w innym kierunku. Przypuśćmy, że Handlarze podejrzewali, iż Sander i Fanyi nie znaleźli się tam przypadkowo. Będąc ludźmi myślącymi przede wszystkim o znalezieniu ukrytego skarbu, chętnie przystali na sugestię, że wędrowcy mają na widoku takie miejsce. Zamiast jednak próbować wyciągnąć z nich informacje siłą, postanowili zwolnić oboje pod byle pretekstem, by potem ich śledzić.

Sander ani trochę nie wątpił, że hundy Handlarzy potrafią węszyć równie skutecznie jak Rhin. Mężczyźni mogli właśnie dosiadać wierzchowców, aby cichaczem ruszyć jego tropem. Pozostawała jednak kwestia Białych. Czy groźba ich najazdu jest na tyle przerażająca, że Planiści nie ośmielą się odkomenderować żadnego ze zbrojnych mężczyzn do pościgu za Sanderem i dziewczyną? Kowal mógł jedynie sumować przypuszczenia. Lecz pomyślał, że ich suma jest wystarczająca.

Jeśli chodzi o niego, nie widział potrzeby zachowywania tajemnicy. Jeśli istnieje jakaś przydatna wiedza, dlaczego nie ma służyć wszystkim? Nie będzie odmawiał Handlarzom ich udziału. Lecz co będzie, jeśli po nich nadejdą Biali? Siedząc na grzbiecie swego wierzchowca, Sander stanowczo potrząsnął głową, choć nikt na niego nie patrzył. Nie, nie chciał, by jakikolwiek wróg czerpał korzyści z ewentualnych odkryć Fanyi.

Widać było, że Rhin idzie za czytelnym, świeżym tropem. Sander po raz pierwszy zastanowił się nad postępowaniem Fanyi. Nie zaczekała na niego. Czyżby

tak nisko ceniła sobie jego ewentualną pomoc w poszukiwaniach, że machnęła na niego ręką? Na tę myśl poczuł ukłucie gniewu. Potraktowała go jak kogoś gorszego, upośledzonego, kto zrobił swoje i nie jest już potrzebny. Może wisior dał jej tajemny znak, że cel jest tak blisko, iż jego towarzystwo nie jest dłużej konieczne... Czuł się urażony myślą, że prawdopodobnie został perfidnie wykorzystany, po czym wyrzucony bez skrpułów.

Miotany sprzecznymi odczuciami nie popędzał Rhina, choć trop był jeszcze ciepły. Węzaczki były zbyt potężnymi przeciwnikami. A jeśli on faktycznie stanowił dla Fanyi jedynie chwilowe udogodnienie, można było przypuszczać, że nie zawaha się użyć przeciw niemu zwierząt. Nie łączyły ich więzy krwi — jej i jego.

Raz po raz oglądał się za siebie, na ciemną plamę wioski Handlarzy. Nie było w niej żadnego ruchu. Nie oznaczało to jednak wcale, że nie jest obserwowany. Mogli wypuścić czujki przodem, zanim on wyruszył i zanim rozpoczęli pościg na bundach.

Ta część doliny była odkryta. Wioska była położona z jednej strony blisko wzgórz, podczas gdy na północy wiła się rzeka. Rhin kłusował w kierunku wody, co chwila obwąchując grunt. Noc była mroźna i jasna. Sander wtulił się w futrzany kaftan, naciągając na głowę kaptur spoczywający zazwyczaj między ramionami i ściągając mocno jego wiązania.

Był zmęczony, a ramiona i barki ćmiły tęnym bólem, odwykłe od pracy wykonywanej po południu w kuźni Kabossa, gdzie dokładał wszelkich starań, by wyrzucić dobre wrażenie swoimi umiejętnościami. Przedtem jeszcze było napięcie i wyczerpanie mozolną przeprawą przez wzgórza, z czyhającymi przez całą drogę niebezpieczeństwami.

Sander wiedział, że nie będzie w stanie zbyt długo walczyć z sennością. Nawet kiedy jechał, głowa mu się kiwała, po czym nagle otrząsał się i budził na nowo. Jak radziła sobie Fanyi, jadąc tak wytrwale i bez odpoczynku? No, ale ona nie przepracowała w kuźni części minionego dnia.

Rhin dotarł do brzegu rzeki i zatrzymał się z nosem przy ziemi, drepzcząc po parę kroków w prawo i w lewo. W końcu zaszczekał, a Sander uświadomił sobie, że ci, za którymi jechał, musieli tu brać wodę. Zdziwiła go lekkomyślność Fanyi, która doskonale wiedziała, że te wody są zamieszkałe przez amfibiany.

Czy ślad stąd prowadzi na zachód, czy na pomoc? Sander próbował strząsnąć ogromne znużenie ogarniające ciało i umysł, by móc podjąć decyzję. Od kiedy z morskiej pustyni dotarli do lądu, wisior nieustannie wskazywał zachód. Nie sądził, by

kierunek się teraz gwałtownie zmienił.

Dlatego właśnie Fanyi i węzacze zbliżyli się do wody — by tym prostym manewrem zmylić tropiące ich hundy. Gdyby zbadał teren w górze strumienia, niewątpliwie natrafiłby na miejsce, z którego znów ruszyli dalej. Gorzej, gdyby punkt wyjścia z wody znajdował się na drugim brzegu strumienia, bo wtedy miałyby tylko pięćdziesiąt procent szans na jego znalezienie.

Ścisnąwszy kolana, popędził Rhina na zachód, równoległe do rzeki. Noc była księżycowa. Księżyc jednak ubywało i jego światło nie było zbyt jasne.

Przejeżdżając przez zarośla krzewów Sander nagle gwałtownie drgnął, całkowicie przebudzony. Ta opaska, którą owinął głowę... Była ciepła! Nie, nie ciepła, była gorąca! I nagrzewała się coraz bardziej! Uniósł ręce, by ją zerwać, i zawahał się. Tego właśnie chciało nieznane. Zimne żelazo. Nie, gorące żelazo, żelazo, które parzyło i paliło żywym ogniem. Ból miał go zmusić do wyzbycia się tego środka obrony.

Było to żelazo nagrzewane w silnych podmuchach podsycanych powietrzem płomieni. Niemożliwe, żeby tak się działo w chłodzie nocy. To niemożliwe! Sander zaczął recytować robocze zaklęcia kowala. Opaska na głowie paliła jak rozgrzane do białości żelazo do piętnowania. Nie potrafił myśleć o niczym innym. Uświadomił sobie z trudem, że prawdopodobnie o to właśnie chodziło temu drugiemu. A więc gorąco było tylko złudzeniem... snem... który został zesłany, by obdrzeć go z pierwszego zabezpieczenia.

Jeśli ta męczarnia jest jedynie snem, to ten żar naprawdę nie istnieje. W sposób zdecydowany przytrzymał ręce w dole, walcząc z obezwładniającym bólem piętnowania. To... nie... było... prawdziwe!

Recytował teraz śpiewnie monotonnym głosem pieśń kowala. Nie wierzył w Moce, którymi szczyciła się Fanyi. Ale musiał uwierzyć, że to istnieje, bo inaczej by tego nie czuł. Mimo to uparcie wmawiał zwijającemu się, obolałemu ciału, że to nie jest prawdziwe! Nie było przecież ognia, nie było kuźni, stąd w przedmiocie, który miał na sobie, nie mogło być gorączki. Zimne żelazo... zimne żelazo...

Te dwa słowa mieszały się z innymi, które wypowiadał. Zimne żelazo!

Nie był całkiem pewien, kiedy gorąco zaczęło słabnąć. Był już wtedy półprzytomny, czepiając się kurczowo jednej, jedynej myśli, że żelazo jest rzeczywiście zimne.

Pod kaftanem jego szorstka wełniana koszula lepiała się do ciała od potu,

którym oblał się z bólu. Trząśł się jak galareta i spadłby z grzbietu Rhina, gdyby nie wczepił się rozpaczliwie oburącz w zwisające luźno fałdy skóry na karku zwierzęcia. Żelazo było zimne!

Rhin zatrzymał się — a może stał już przez długie chwile, kiedy Sander toczył walkę o przetrwanie? Kowal nie wiedział. Zdał sobie jedynie sprawę, że zjeżdża z grzbietu kojota. Na rękach i kolanach powlókł się pod zwisające nisko gałęzie sosny, zapadając się dłońmi niemal po nadgarstki w warstwę starego igliwia. Tam zwałił się bezwładnie, przeskakując błyskawicznie ze stanu tej niewiarygodnej batalii do stanu nieświadomości. Zasnął głębokim, krzepiącym snem.

Nic mu się nie śniło, a kiedy się obudził, promień słońca oświetlał fragment rzeki, przebłykający między dwoma krzakami. Pierwsze wspomnienie dotyczyło dziwnego ataku. Szybko zsunął opaskę, szukając palcami na skórze śladów poparzeń. Nic takiego nie znalazł. Spokojnie nałożył ją z powrotem. Być może gdyby uwierzył, że to się działo naprawdę, miałby teraz blizny. Nadal trudno mu się było pogodzić z tym, co go spotkało.

Któż to jednak może wiedzieć, jakie cuda potrafili wymyślić Poprzedni Ludzie? Sander nigdy sobie nie wyobrażał, że może istnieć coś takiego, jak wisior Fanyi. Był jeszcze ojciec Fanyi, obcokrajowiec, którego nigdy nie widziała, człowiek, który nie był Handlarzem, lecz z własnej woli podróżował w poszukiwaniu nowej wiedzy świata. Sander nie słyszał o nikim innym, kto by tak wędrował. Wspólnota przemierzała obszary równin, bo takie były wymogi stad, na których opierał się jej dobrobyt. Handlarze odbywali swe dalekie wyprawy dla zysku. Ale człowieka, który przebywał długą drogę tylko po to, żeby zobaczyć, co leży po drugiej stronie wzgórza lub za doliną, Sander nie potrafił zrozumieć.

Rhin! Sander rozejrzał się dookoła. Kojot nie spał obok niego, jak to zawsze było na szlaku. Na iglastym kobiercu nie było odcisków łap. A Rhin musiał wciąż mieć na grzbiecie dobytek Sandera. Kowal zszedł ostrożnie na brzeg rzeki, na odcinek pokryty szorstkim żwirem. Klęknął, odrzucił kaptur i spryskał twarz lodowatą wodą. Wstrząs wywołany tym zabiegiem przebudził go zupełnie.

Nie mając wyboru, wyjął gwizdek. Jeżeli kojot znajduje się w pobliżu, na pewno zareaguje. Lecz choć nasłuchiwał, nie było odpowiedzi, nawet z daleka. Pozostała tylko jedna rzecz: leżący na sosnowych igłach węzeł z żelaznego drutu, który zrobił dla kojota. Przyczepiona była do niego kępka żółtawego futra, jakby Rhin, cierpiąc katusze podobne do tych, jakich on sam doświadczył, zerwał go z

siebie.

Czyżby Rhin uciekał przed bundami Handlarzy? Jednemu był w stanie stawić czoła, kiel w kiel. Jeśli jednak ci z wioski wypuścili całą sforę, mogło się zdarzyć, że kojot ucieka przed watahą wrogów, nie mając odwagi zmierzyć się z nimi w pojedynkę.

Dlaczego w takim razie Handlarze nie pojмали Sandera? Jego kryjówka pod sosną nie była aż tak bezpieczna, by nie znalazły jej bundy.

A może Rhin udał się samotnie na polowanie? Chociaż w głębi duszy Sander w to wątpił. Naciągnął ponownie kaptur i mocno związał sznurki. Miał miotacz strzał, długi nóż za pasem — i niewiele poza tym, oprócz ubrania na sobie, które, jak podpowiadał mu nos, należało już zmienić na świeże. Jego rzeczy, narzędzia, żywność — wszystko zniknęło wraz z kojotem.

Sander nie zamierzał wracać do wioski Handlarzy. Być może będzie mu brakowało nosa kojota w charakterze przewodnika, lecz miał silne przeczucie, że powinien pójść na zachód. Ponadto podążanie w tym kierunku oddalało go od tego nawiedzonego lądu, gdzie zarówno amfibiany (zerknął przezornie ku rzece, usiłując dojrzeć podejrzaną zamieszanie w wodzie), jak i Biali mogli zastawić pułapkę.

Pił łączywie, starając się zaspokoić głód przez napełnienie pustego żołądka wodą, a następnie wdrapał się na niski brzeg. Nigdzie nie było żadnych śladów, więc idąc starał się nie tracić z oczu rzeki, żeby nie zabłądzić. Od czasu do czasu gwizdał na Rhina, nie poddając się zwątpieniu, z nadzieją że kojot albo wróci, albo odpowie.

Kiedy słońce przygrzało, Sander rozsznurował kaptur. Jako urodzony na równinach nie przepadał za terenami zalesionymi, dlatego też był niezbyt szczęśliwy przemykając się między rozrzuconymi z rzadka drzewami. Przypomniawszy sobie ze wstydem własną nieostrożność, kiedy to będąc niedaleko Padford sądził, że las da mu schronienie — i co z tego wynikło.

Teraz z miotaczem w dłoni i osadzoną w nim strzałą rażno maszerował naprzód, natężając słuch, by wyłowić każdy dźwięk. Lekki wietrzyk strącał liście z drzew i raz czy dwa Sander usłyszał wołanie ptaka. Było wielce prawdopodobne, że był jedynym człowiekiem przemierzającym tę wyludnioną krainę. Myślał tak, dopóki nie zauważył smugi błota w miejscu, gdzie ktoś wyrwał i odrzucił na bok kępę darniny.

Tam, w glinie, odcisnięta była połowa dłoni, małej dłoni. Raz zaalarmowane oczy odkrywały kolejno inne wskazówki świadczące o tym, że w tym miejscu Fanyi

musiała wyjść z wody, ześlizgnąć się na glinie i wysunąć rękę, żeby się podeprzeć. To, że nie zrobiła nic, by zatrzeć ślady, było dla Sandera dowodem, że z jakiegoś powodu dziewczyna nie obawiała się pościgu tak daleko od wioski lub może tak jej było pilno, że pośpiech był ważniejszy od zacierania śladów.

Uświadomiwszy sobie, że nie mogła zająć zbyt daleko, zaczął szukać innych oznak jej przejścia. Znalazł ich kilka: złamany czubek gałązki, odginający się od pnia, czy parę liści odgarniętych z zeszłorocznej ściółki. Trop odbiegał pod kątem od brzegu strumienia, prowadząc bardziej na południe, gdzie drzewa gęściej porastały pnące się ku górze zbocze.

Sander minął młodnik i wyszedł na dawną drogę. Nie było tu śladu gruzów. Być może w tej niewielkiej kotlinie dokonało się mniej spustoszenia w Czasie Ciemności. Na wierzchnia drogi była wprawdzie popękana i nawiało na nią ziemi, w której zakorzeniły się uschłe teraz trawy i chwasty, pomimo to droga była wygodna. W przysypującej ją glebie Sander odszyfrował nie tylko ślad przejścia Fanyi i wężaczy, lecz także nałożony nań w dwóch miejscach odcisk łapy, która mogła należeć wyłącznie do Rhina! Fakt, że kojot opuścił go, by podążyć za obcymi, wstrząsnął nim.

Wiedział, że Fanyi miała pełną kontrolę nad wężaczami, a może raczej że jest w stanie porozumiewać się z nimi lepiej niż on z Rhinem. Nigdy by jednak nie przypuszczał, że ta Szamanka może mieć taki wpływ na kojota, by celowo odciągnąć zwierzę od niego. Chyba że — poprawił się — widziała w tym działaniu sposób na udaremnienie pościgu.

Odkrycie, że Rhin prawdopodobnie został specjalnie od niego odciągnięty, umocniło jedynie jego decyzję, by dogonić Fanyi. Kroczył naprzód, niezbyt szybko, lecz zawzięcie, i nic nie było w stanie zawrócić go z drogi.

Ci, których ścigał, trzymali się dawnej drogi, nie kryjąc się (jak mógł sądzić ze śladów), jakby nie mieli powodów obawiać się pogoni. Droga pięła się teraz bardziej stromo, prawie tak jak na wzgórzach, które pozostawili za sobą.

Sander był głodny, lecz to nie miało już znaczenia. Aczkolwiek raz, kiedy przechodził obok miejsca, gdzie zaaferowane wiewiórki zachłannie gromadziły orzechy, wziął tyle tego przysmaku w twardych łupinach, ile mieściło się w jego kapturze. Zatrzymał się na chwilę, by część z nich rozłupać, a potem chrupał je po drodze. Smakowały nieźle, lecz z pewnością nie zaspokajały głodu tak, jak jedzony w domu Kabossa gulasz, posiłek, który teraz wydał mu się dawno minionym snem.

Dotarłszy do szczytu zbocza zobaczył przed sobą długie zejście w dół. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, ale nie czuł zapachu dymu. Jedyne rosnąca bujnie roślinność przysłaniała nieco widok. Jednakże nie mogło być żadnej pomyłki co do tego, co znajdowało się na wprost i do czego prowadziła stara droga. Były to kolejne ruiny, lecz tym razem nie przedstawiały jedynie kopców gruzu, w których nie można wyróżnić żadnych cech świadczących o tym, że niegdyś dawały dach nad głową człowiekowi. Nie były to też tamte sponiewierane szczątki, porozwłóczone przez sztorm, widziane wczoraj. Nie, te zachowały się w takiej formie, że gdzieś tam można było wyróżnić poszczególne konstrukcje. Badającemu je wzrokiem Sanderowi wydawało się, że nad jedną ze zwalonych ścian, stanowiących pogruchotany front domu, zaczęła opadać dziwna mgiełka, stopniowo gęstniejąca i coraz bardziej zasłaniająca widok.

Był przekonany, że to tego miejsca Fanyi szukała. Wydłużył krok, zbiegając na dół wyboistą drogą, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do ruin. Bolące nogi, pusty żołądek, a także chylące się ku zachodowi słońce mówiły mu, że dzień dobiega końca.

Zbliżywszy się do ruin zauważył, że droga była miejscami zablokowana stosami zwalonych kamieni, których nikt dotąd nie próbował usunąć. Spozregł też kilka dużych, nie naruszonych kawałków metalu, i ogarnęło go zdziwienie. Przecież to było o rzut kamieniem od wioski Handlarzy. Dlaczego nie przyjechali tu kopać?

Sam fakt, że taki skarb leży na wierzchu, wzbudził jego nieufność. Zawahał się, szukając na ziemi śladów tych, za którymi zdązał. Kiedy nic nie znalazł, cofnął się po własnych śladach do miejsca, gdzie odciski pazurów jednego z wężaczy (sądząc po rozmiarach, należące do Kai) odciągnęły go na prawo. Tam zaczynała się druga droga, węższa od poprzedniej, która skręciła ostro na pomoc, oddalając się od głównego kompleksu ruin.

Drzewa i krzewy zmniejszały jej powierzchnię, zwężając ją do być może czwartej części jej oryginalnej szerokości, tak więc była niewiele szersza od ścieżki. Lecz na pleśniejących liściach i ziemi odcisnięte były wyraźnie i głęboko ślady. Oczywiście było, że pozostawiono je, by za nimi podążać. Fanyi, wężacze i Rhin. Sander nie potrafił powiedzieć, czy kojot już dołączył do dziewczyny, czy też nadal po prostu szedł jej tropem.

Droga dwukrotnie skręcała, po czym zakończyła się wybrukowanym placem, podobnym do tego, na jakim w zaginionym mieście zbudowano dom Handlu. Były tu trzy budynki, czy raczej ich pozostałości, których okna spoglądały na niego

oczodołami dziur i za których fasadami nie kryło się nic prócz pustki. Ograniczały one z trzech stron skwer; do czwartego jego boku dochodziła droga.

Sander zrobił krok naprzód, by postawić stopę na tym bruku, gdy nagle zachwiał się i osunął na kolana. Ból w głowie, promieniujący do wewnątrz z żelaznej opaski, był tak rozdzierający, że nie czuł nic poza jego paroksyzmem i w ogóle nie mógł myśleć. Czysty instynkt kazał mu szarpnąć się do tyłu. Potem leżał, dysząc ciężko, w szoku spowodowanym bólem, choć ten już minął — tak nagle, jak się pojawił.

Po pewnym czasie zupełnie zbity z tropu przykucnął na piętach u wylotu ścieżki i zaczął studiować widok z przodu. Potem postanowił dokonać obchodu terenu. Przedzierając się przez kłujące krzaki i pośród drzew zatoczył koło i odkrył, że istniała niewidzialna bariera, reagująca jadowicie na jego „zimne żelazo” natychmiast, gdy tylko ośmielał się przekroczyć określony punkt.

Żadna legenda z nieprzebranego zbioru Zapamiętywaczy, żadna opowieść Handlarzy nie wspominała o takim doświadczeniu. Z tego, co widział, w obrębie tego chronionego obiektu nic się nie poruszało. A jednak Fanyi, węzacze i Rhin bez wątpienia przeszli tą drogą.

Przyjrząwszy się dokładniej zauważył kilka śladów na placu. Nie odważył się tam wejść, z obawy przed kolejnym atakiem zwałającego dosłownie z nóg bólu w głowie. Miał więc potwierdzenie, że tutaj byli. Tylko dlaczego nie mógł iść za nimi...?

Sander był przekonany, że wystarczy jedynie usunąć wykonane własnoręcznie zabezpieczenie i przyspieszyć kroku. Lecz coś w nim sprzeciwiało się takiemu posunięciu. Bezwarunkowe i absolutne poddanie się czemuś nieznanemu nie leżało w jego naturze.

Chociaż próbował tej samej sztuczki, jaką zastosował na szlaku, usiłując skłonić umysł do odsunięcia gwałtownego napadu bólu, tutaj to nie skutkowało. To oddziaływanie było nieporównywalnie silniejsze, a w dodatku jego własna siła oporu została poważnie nadwreżona podczas pierwszego ataku.

Iść... Wiedział, że musi iść dalej. Ale nie mógł, mając na głowie przepaskę. Wybór był niesłychanie prosty. A niezmordowane pragnienie odkrycia, co się za tym kryje, nie pozwalało mu się teraz wycofać. Powoli, z nieprzyjemnym uczuciem kapitulacji, Sander rozluźnił i ściągnął druciany diadem, chowając go za pazuchę futrzanej kapoty, obok węzła zrobionego dla Rhina.

Wstał i zbliżył się do placu, poruszając się z rozważą zwiadowcy na obcym terytorium, z bronią gotową do użycia. Tkwiło w nim jednak przeświadczenie, że tego, co może tu zastać, nie da się ustrzelić żadną strzałą, choćby najlepiej wycelowaną.

Doszedł do miejsca, w którym wcześniej został powalony bólem, i zatrzymał się. Przez moment nic się nie działo, zupełnie nic. A potem...

Sander zeszywniał, zaciskając zęby. Tamta myśl... myśl, która nie była jego! Teraz nie było ucieczki, gdyż spętała go mocno, jak niegdyś sieć leśnych ludzi. Wbrew swej woli, wbrew najbardziej żarliwemu pragnieniu, maszerował naprzód, wprost do trzech budynków.

Czyżby było to wyjaśnienie dezercji Rhina oraz pozostawionego celowo, wyraźnego tropu? Czy Fanyi i cała trójka zwierząt też były tak ciągnięte na siłę, pod przymusem?

Idąc Sander chwiał się na nogach, a jego wola w nieprawdopodobny sposób walczyła w nim z ciałem, niestety bezskutecznie. Czy tak właśnie smakowała „moc”, o której tak często mówiła Fanyi? Nie mógł jednak uwierzyć, by spowodowała to dziewczyna, którą znał.

Obca siła nie pchała go ku grożącym zawaleniem ścianom budynku. Kierowała go raczej bezpośrednio na stronę chodnika, w której widniał dziwny właz. Konstrukcja ta różniła się zdecydowanie od pozostałych, ponieważ krawędzie włazu, choć zbudowane z kamiennych bloków, były chropowate i niedbale wykończone, w odróżnieniu od innych zachowanych w nie najgorszym stanie ruin.

Myśl o zejściu pod ziemię stała się dodatkowym bodźcem dodającym mu sił w walce z kierującą nim obcą wolą, lecz nie udało się przełamać jej przemożnego wpływu. Nie był nawet w stanie unieść ręki, by sięgnąć po zdjęty tak nieroztropnie żelazny diadem.

Sander doszedł do prowizorycznego, niechlujnie wykończonego zejścia. Dostrzegł koniec drabiny, a jego ciało, zniewolone tamtą drugą wolą, pochyliło się nad nią i zaczął schodzić. Rhinowi musiało tu być niesłychanie ciasno, lecz niewątpliwie przeciskał się tędy, gdyż Sander czuł w tej zamkniętej przestrzeni drażniący zapach ciała zwierzęcia.

Na dole nie było ciemno, nie było więc potrzeby używać pochodni. Zorientował się, dlaczego, kiedy stanął na ostatnich szczeblach drabiny. Otóż zobaczył korytarz o matowych, białych ścianach naznaczonych rysami, z których

jednak żadna nie była otwartym pęknięciem. Wzdłuż ścian, w pewnych odstępach, umieszczone były jakby pręciki emitujące łuny światła. Nie wszystkie się paliły. Niektóre były powyginane i ciemne. Jednak te, które płonęły, dawały wystarczająco dużo światła, by widzieć dokładnie.

Poza tymi świecącymi pałeczkami nie było nic, nawet jednego otworu drzwiowego, choć korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Jedynie w głębi, w niezbyt dużej odległości od niego, zawisła znów ta sama mgiełka, która wcześniej przesłaniała i zniekształcała widok miasta; nie widział więc, co znajduje się dalej.

Nie było mu dane zastanowić się nad tym, gdyż nogi ponownie powiodły go naprzód, przeprowadzając między pierwszymi dwoma świecącymi pręcikami i pchając coraz dalej. Kiedy w kilka chwil później odwrócił głowę, by spojrzeć za siebie, odkrył, że zniekształcająca wszystko mgiełka była również za nim, i to tak gęsta, że nie widział już drabiny.

Korytarz był wystarczająco szeroki dla pół tuzina maszerujących ramię w ramię mężczyzn i wystarczająco wysoki, by Rhin nie musiał pełzać na brzuchu. Powierzchnia ścian była wypolerowana, świecąca w przyćmionym świetle, a wykonane z małych, czerwonych, dopasowanych dokładnie do siebie i równo ułożonych płytek podłoga nie było śliskie.

Sander wdychał świeże powietrze, nie przesiąknięte zapachem zgnilizny, jak w tunelu pod miastem. Co pewien czas czuł na policzku słaby powiew powietrza.

Wtem droga się skończyła. Znajdował się w przestrzennym, dobrze oświetlonym, rozgałęziającym się holu. Stąd korytarze biegły zarówno w prawo, jak i w lewo, a wloty do nich ukryte były we mgle.

Tu również nie pozwolono Sanderowi zdecydować. Wybór został dokonany za niego. Niczym nakręcana kukła skrzył w lewo i równym krokiem pomaszerował naprzód.

Rozdział czternasty

Chociaż w ścianach korytarza znajdowały się otwory umożliwiające odbicie w prawo lub w lewo, Sander pchało cały czas prosto. W końcu dotarł do szczytu kolejnych prowadzących w dół schodów. Było widać, że część sufitu tutaj odpadła. Reszta zabezpieczona została metalowymi stemplami wbitymi przy ścianach, nad którymi krzyżowały się podtrzymujące popękany strop belki.

Jeszcze raz Sander zszedł w dół. Czy to możliwe, że jacyś Poprzedni Ludzie przeczekali Czas Ciemności w podziemnych schronach? Opowieści, jakie słyszał o rozrywaniu ziemi wstrząsami, raczej to wykluczały, a przynajmniej kazały sądzić, że plan taki nie mógł być bezpieczny. Tutaj, w tym zawałonym pomieszczeniu, większość ściennych świateł nie działała, co sprawiało, że jedynie w niektórych punktach roztaczała się tajemnicza poświata, wywołując wrażenie niesamowitości. Poza tym wszystko było bez zmian.

Schodząc liczył stopnie — było ich dwadzieścia. Mógł jedynie zgadywać, na jakiej znajduje się głębokości. Wyglądające szorstko na tle pozostałości gładkiej ściany stemple były dobrze ustawione i pospinate klamrami. Widać było, że włożono dużo pracy w zabezpieczenie tego podziemnego przejścia. Komuś musiało zależeć, aby nadawało się ono do dalszego wykorzystania.

Ale komu? Handlarzom? Wszelkie widziane przez Sander dowody poszukiwania metalu znajdowały się na powierzchni, a fakt, że większość podpierających strop belek i klamer była wykonana z solidnego metalu, wprawiał go w zdumienie. Takie marnotrawstwo nadającego się do sprzedaży produktu wysokiej klasy (jako że widać było gołym okiem, że wszystkie wsporniki są nad wyraz mocne i nie tknięte korozją) nie pasowało do Handlarzy.

Mgła, unosząca się w położonych wyżej korytarzach, tutaj nie docierała. Natomiast tam, gdzie nadal świeciły światła, wyraźnie objawiała się jednostajność tego przejścia. Wola nie będąca jego wolą ustawicznie pchała go naprzód.

Minął niewielki wóz (jeżeli można nazwać wozem obiekt nie posiadający urządzenia umożliwiającego zaprzęzenie do niego jakiegokolwiek zwierzęcia), stojący pod ścianą. Miał dwa siedzenia z przodu, a przed nimi znajdowało się umocowane na specjalnym wsporniku, nie dotykające ziemi, piąte koło. Cały przedmiot zrobiony był z metalu.

Poruszony tym rozrzutnym zastosowaniem tak rzadko spotykanego na powierzchni materiału, w dodatku w nie naruszonym zębem czasu stanie, Sander niemal zapomniał na moment, że jest więźniem w takim stopniu, jakby przywiązano mu ramiona do boków i ciągnięto na linie.

Pierwotne przerażenie makabryczną sytuacją nieco zelżało. Nie opierał się już rozpaczliwie narzuconej mu woli, wiedząc, że to bezskuteczne. Postanowił raczej ulec jej, oszczędzając siły na później. Umysł zaprzętały mu pytania, które być może nigdy nie doczekają się odpowiedzi, lecz między nimi mogła znajdować się jakaś wskazówka, która okaże się pożyteczna w przyszłości.

W żadnej opowieści Zapamiętywacza nie natknął się na wzmiankę o niewiarygodnej sytuacji, kiedy to wola kogoś drugiego może przejąć panowanie nad ciałem człowieka, zmuszając go do działania wbrew sobie. Nie da się jednak ukryć, że wiedza Zapamiętywacza wyniesiona z Poprzedniej Epoki jest jedynie fragmentaryczna.

W tamtym legendarnym czasie lud Sandera nie stanowił nawet rdzennej ludności tej części świata. Zatem nikt z nich nawet wówczas nie mógł wiedzieć, co dokonywało się gdzieś indziej. Mógł zaakceptować bez zastrzeżeń fakt, że ktoś potrafił na nowo uruchomić bardzo stare maszyny, na przykład takie, jak pojazd, który właśnie minął, ponieważ cierpliwością i użyciem stosownych narzędzi można naprawić wytwór rąk ludzkich. To właśnie nadzieja na dokonanie tego przywiodła go na północ.

Lecz manipulowanie cudzymi myślami — to inna sprawa. Taka inwazja na umysł była mu równie obca jak potwór na dawnej wyspie. Doszedł do wniosku, że ma jedną jedyną szansę: pozwolić kierującej nim sile uwierzyć, że jest zupełnie uległy. Przynajmniej dopóki się nie dowie, co kryje się za jego pojmaniem.

Wsporniki i klamry zniknęły. Zagrożony odcinek korytarza miał już za sobą. Tu wszystkie lampy świeciły równo, a w ich świetle nie było widać żadnych pęknięć na ścianach, za to w końcu holu dojrzał otwarte drzwi, zza których biła promienna jasność.

Potem coś usłyszał — donośne szczekanie Rhina! Był to taki sam głos, jaki kojot wydawał witając Sandera po dłuższej nieobecności. Przynajmniej w tym jednym się nie mylił: kojot na niego czekał. Przekroczył próg i zamrugał, ponieważ światło w środku było o wiele silniejsze od rozmieszczonego rzędami na ścianach korytarza.

Pomieszczenie było średnich rozmiarów, lecz nieco dziwne, ponieważ boczne

ściany kończyły się tuż ponad jego głową i od tego poziomu wyrastały z nich kolumny, wznoszące się aż do umieszczonego wysoko sufitu. Było tu nie tylko pusto, ale nie było też żadnego otworu w ścianie, z wyjątkiem drzwi, przez które właśnie wszedł. Mimo to był przekonany, że jest to zaledwie część o wiele większej przestrzeni.

W tym momencie przymus, który doprowadził go tutaj, zniknął w mgnieniu oka. Jednak Sander był pewien, że jeśli spróbuje się cofnąć — wróci, by go zatrzymać.

Szczekanie Rhina dochodziło właśnie stąd, a zatem musi być stąd wyjście. Sander zwrócił się ku najbliższej ścianie. Chociaż jego oczy nie wykrywały nawet najcieńszej linii zarysu jakiegoś otworu, zaczął przesuwać palcami po wypolerowanej powierzchni. Przykucnąwszy, zaczął szukać od poziomu podłogi w górę, podnosząc się i wyciągając ramiona ku zwieńczeniu ściany, obmacując ją dokładnie raz przy razie.

Konstrukcja nie była wykonana z żadnego znanego mu kamienia, ponieważ powierzchnia jej była o wiele gładsza niż jakakolwiek poddana obróbce skała. I była zimna w dotyku. Jednak w kilku miejscach natrafił na leciutko promieniujące ciepło. Niektóre z tych punktów były nie większe od badających je koniuszków palców, inne rozpościerały się tak, że osiągały wielkość rozplaszczonych dłoni.

Obszedłszy dookoła i zbadawszy dokładnie całe nieduże pomieszczenie odkrył, że promieniujące miejsca występują tylko na ścianie na wprost drzwi. Ponieważ nie znalazł nic więcej, wrócił do nich, analizując wnikliwie ich rozmieszczenie.

Dłonie... One były ułożone w kształt dłoni! Jeśli przyłożyło się dłoń, dopasowując ją do większej cieplej powierzchni, wtedy koniuszki rozstawionych możliwie najszerzej palców nakładały się na małe punkty. Jedna ręka była wyraźnie prawa, a jedna lewa, lecz by je odpowiednio dopasować, należało stanąć z ciałem przyciśniętym do muru i maksymalnie wyciągniętymi ramionami. Sander przyjął taką pozycję i przycisnął ciało do ciepła tych niewidzialnych punktów oparcia.

Buchnęła gorączka. Miał na szczęście tyle oleju w głowie, by nie odrywać rąk. Po sekundzie stwierdził, że to promieniowanie nie było tak gorące, jak się początkowo zdawało. Był jednak równie przerażony, gdy gdzieś z góry przemówił do niego pozbawiony powłoki cielesnej głos. Miał wrażenie, że ta niewidzialna obecność znajduje się tuż nad nim.

To, co usłyszał, było w większej części bełkotem. Lecz ku swemu nieopisanemu zdumieniu Sander wyłapał słowa kowalskich zakłęb, stanowiące najskrytszą tajemnicę jego fachu. Nastąpiła chwila ciszy, po czym raz jeszcze popłynął ten sam strumień dźwięków.

Sander zwilżył językiem wargi. Kowal...? Przedstawiciel jego własnej profesji? Cóż, mógł jedynie spróbować. Z rękoma ciągle przytkniętymi do tych gorących miejsc natężył głos, wysyłając w przestrzeń odbijającą się głuchym echem, monotonna pieśń pracy, zawierającą zasłyszane przed chwilą w monologu głosu słowa.

I ściana... ściana się obróciła! Wraz z nią zakotłosał się i przesunął fragment podłogi, na którym stał, przenosząc go całkowicie na drugą stronę. Było to tak różne od wszystkich dotychczasowych doświadczeń, że przez moment stał jak zamurowany. Po chwili oderwał się od ściany, która zachowała się w tak niewiarygodny sposób, aby się nieco rozejrzeć i zobaczyć, dokąd go przytransportowała.

Drżąc lekko, kowal zmusił się do wykonania obrotu. Stał w innym pokoju, prawdopodobnie trochę większym od poprzedniego. Tyle że ten nie był pusty. Znajdował się tu stół z blatem przezroczystym jak szkło (Sander nigdy nie widział tak dużej tafli szkła, więc nie był pewien, czy to rzeczywiście szkło) i z nogami z metalowych rurek. Były też dwa stołki z tego samego materiału, z przezroczystymi siedzeniami i metalowymi nogami.

Na środku stołu umieszczono skrzynkę długości jego ramienia i szerokości przedramienia. Jej wierzchnia część najeżona była małymi guziczkami, każdy w innym kolorze lub odcieniu. Znów nie było tu drzwi. A kiedy przebiegł rękoma po ścianie, która dostarczyła go tu tak bezceremonialnie, nie zdołał już zlokalizować tamtych ciepłych punktów dla oparcia dłoni.

Zakłopotany, zbliżył się ostrożnie do stołu. Na małej powierzchni każdego guzika był jakiś znaczek, pokrewny, w przekonaniu Sandera, temu „pismu”, którego znajomością szczyliła się Fanyi. Nie potrafił jednak odgadnąć przeznaczenia skrzynki. Pochylił się nad nią i z uwagą zaczął się przyglądać guzikom. Być może to kontrolowało kolejne drzwi — tu wszystko było możliwe. Nie wątpił już, że Fanyi dotarła do kresu swych poszukiwań. W tym miejscu bezsprzecznie zgromadzone były cuda niepodobne do niczego w świecie na zewnątrz.

Jeden rząd przycisków był czerwony, w odcieniach od bardzo ciemnego szkarłatu do niemal różowego. Drugi szereg prezentował różne odcienie zieleni, trzeci

koloru żółtego, a ostatni brązowego i kończył się jednym prawie białym. Sander dotknął lekko wszystkich rzędów. Nie wyczuwał ciepła. Nie żywił jednak najmniejszych wątpliwości, że to miało jakieś ważne przeznaczenie. Zastanawiał się ponuro, jak wiele kombinacji różnych kolorów można by utworzyć.

Odkąd obca wola zmuszająca go do działania znikła, czuł się koszmarnie zmęczony i tak głodny, że bolał go żołądek. Jeśli nie zdoła zmusić tej skrzynki do ujawnienia swego sekretu, może pozostać tu uwięziony na wieki. Ile czasu trzeba, by człowiek umarł z głodu?

Uparcie odmawiał przegrania właśnie teraz. Jeśli przejście przez tę ścianę leżało w gestii tej maszyny, to zamierzał za jej pomocą tego dokonać!

Rozpoczął od pierwszego rzędu — potem drugi, następnie jednoczesne naciskanie guzików w tych dwóch rzędach, we wszystkich możliwych kombinacjach, jakie przychodziły mu do głowy. Z kolei wypróbował rzędy trzeci i czwarty. Nie dopuszczał do siebie potwornej myśli, że jego wysiłki mogą spełznąć na niczym.

Usadowił się na jednym ze stołków i pochylił do przodu, naciskając z całej siły palcem wskazującym pierwszy przycisk w czerwonym rzędzie. Był w połowie rzędu, gdy nastąpiła reakcja. Nie było to jednak to, czego oczekiwał. Żadna ściana nie przesunęła się w bok, nie uniosła w górę ani nie zapadła w podłogę. Za to naciśnięty guzik pstryknął i zablokował się, nie wyskakując na powrót.

Sander patrzył z nadzieją na osaczające go ściany, odwróciwszy uwagę od samej skrzynki. Dopiero odgłos brzęknięcia przyciągnął na nowo jego wzrok. W jednym końcu skrzynki znajdował się otwór, z którego wyslizgnął się brązowy kwadracik, a potem jeszcze jeden, oba długości mniej więcej jego małego palca. Teraz przycisk zamigotał i wystrzelił do góry, zrównując się ponownie z pozostałymi, a Sander wpatrywał się pytająco w dwa leżące na stole przedmioty.

To wydzielany przez nie zapach zaskoczył go najbardziej. Zapach mięsa smażonego i obracanego nad ogniem pod okiem wyśmienitego kucharza. Ale skąd... co... jak?

Delikatnie chwycił leżący bliżej kwadracik. Był ciepły — przypominał doskonale zrumienioną kromkę chleba. Nie mógł się dłużej oprzeć aromатовi i wbił łapczywie zęby w ten herbatnikopodobny specjał.

Gdy już chrupał mu między zębami, starał się go nazwać, lecz tak naprawdę nie potrafił. Jakiś rodzaj chleba? Nie, ponieważ jego smak odpowiadał zapachowi dobrze wypieczonego mięsa. A jednak, wbrew smakowi i aromатовi, nie było to

pieczone.

I choć mogło być nafaszerowane jakimś narkotykiem lub trującymi ziołami, Sander nie mógł po tym pierwszym kęsie odmówić sobie zjedzenia reszty, co zresztą usprawiedliwione było stanem skrajnego wyголоżenia. Dokończył „herbatnik” dwoma kęsami i chciwie wgrzył się w drugi.

Co dziwne, choć były niewielkie, już dwa zaspokoili głód, powodując uczucie sytości, jednocześnie jednak wzmagając pragnienie. Popatrzył na pozostałe, nie wypróbowane jeszcze guziki, zastanawiając się, czy skrzynka zaspokoi także i tę potrzebę.

Podszedł do sprawy metodycznie. Kolejny czerwony guzik dostarczył mu ciemnobrązową pałeczkę o prawie takiej samej konsystencji jak kwadracik, pachnącą jak pieczona ryba. Linia zielona produkowała trzy rodzaje wafli, różniące się odcieniami. Odłożył je na bok razem z rybną pałeczką. W żółtej linii działał tylko jeden przycisk. Nacisnął go i ze skrzynki wyjechała mała filiżanka z cienkiego, błyszczącego tworzywa, wypełniona po brzegi na pół płynną, białokremową substancją. Dotknięcie językiem poinformowało go, że jest słodka. Ostatni rząd. Wduszenie przedostatniego guzika spowodowało, iż w jego nadstawioną dłoń wsunął się nieco większy kubeczek, z zamykającym go szczelnie wieczkiem z tego samego tworzywa. Kiedy je zdjął, trzymał w ręku pojemnik nie z wodą, lecz z aromatycznym płynem o nieznanym, aczkolwiek nęcącym zapachu. Przełknął go pospiesznie, choć niemal parzył w usta. Podobnie jak tamta kremowa rzecz, był osłodzony do smaku, ale gasił pragnienie.

Ostrożnie włożył rybną pałeczkę i wafle za pazuchę. Kremową substancję, z braku łyżeczki, wylizał do czysta z pojemnika.

Czy te same przyciski zadziałają raz jeszcze, by zaopatrzyć go w dodatkowy prowiant? Ponownie wypróbował tę samą kombinację naciskanych guzików, lecz bezskutecznie. Czyżby zatem to działało tylko raz? A może kiedyś, dawno temu, naciśnięcie każdego guzika powodowało produkowanie żywności, a teraz, po wielu długich okresach, ta obfitość się wyczerpała i pozostała jedynie ta resztką, którą przed chwilą skrzynka go uraczyła?

Przedmiot ten był oczywiście pewnego rodzaju maszyną, nie mógł jednak odgadnąć, na jakiej zasadzie działał. Bez wątplenia był za mały, by składować w jego wnętrzu zapasy do sporządzania i serwowania potraw. Sander położył się na podłodze, podglądając dno skrzynki przez przezroczysty spód stołu. Bezskutecznie,

gdyż było z litego materiału.

Nie był już głodny ani spragniony, lecz nadal był więźniem. Stołek, na którym siedział... czy gdyby przesunął go do ściany i stanął na nim, dosięgnąłby końca ścianki?

Gdy spróbował go popchnąć okazało się, że da się odciągnąć od stołu jedynie na taką odległość, by można na nim usiąść, nie dalej.

Sander wzruszył ramionami. Podejrzał, że byłoby to zbyt proste. Poznanie tajemnic tego pokoju będzie wymagało wiele cierpliwości i sprytu. Rhin. Gdyby zdołał wydobyć odpowiedź od kojota, wiedziałby przynajmniej, w którym kierunku się udać, która z trzech ścian stanowi barierę do przebycia.

Jego gwizd zabrzmiał podwójnie głośno. Wyteżając słuch słyszał jedynie własny, przyspieszony oddech. A potem — z dala — dobiegło skomlenie. Niestety, odbijało się takim echem po pomieszczeniu, że nie mógł ustalić kierunku.

Jeszcze raz rozpoczął cierpliwe i mozolne sprawdzanie powierzchni ściany. Teraz wiedział, czego szukać. Tyle tylko, że to obmacywanie ścian okazało się bezowocne. Nie odkrył żadnych ciepłych miejsc, mimo iż przebadał wszystko dwukrotnie.

W końcu zniechęcony wrócił do stołu, opadł na taboret i złożył łokcie na blacie stanowiącym podstawę skrzynki, po czym ująwszy głowę w dłonie usiłował systematycznie przeanalizować problem. Gotów był przysiąc, że na ścianach nie było żadnych tajemniczych punktów do oparcia rąk. Wielokrotnie podskakiwał, starając się zaczepić rękoma o szczyt murku, lecz warstwa farby była tam tak wypolerowana, że ręce ześlizgiwały się przy każdej próbie jej uchwycenia. A zatem — jak się wydostać?

Sander był absolutnie przeświadczony, że z pokoju jest wyjście, niewątpliwie zamaskowane tak przemyślnie jak tamte oparcia na dłonie. Jakie jest przeznaczenie tego miejsca? Miał wrażenie, że ktokolwiek je zaprojektował (o ile nie był to umysł albo całkowicie odmienny, albo wypaczony), musiał mieć zamiar uczynić przejście tędy maksymalnie trudnym. Sander doszedł do wniosku, że sytuacja ta zawiera elementy pewnego rodzaju sprawdzianu.

Sprawdzianu... Przemyślał to porównanie i stwierdził, że mu się podoba, że taka odpowiedź pasuje do poszczególnych znanych mu faktów. Celu tego sprawdzianu, o ile nie miał on zdławić wyobraźni czy inteligencji pojmanego, jeszcze nie znał. Lecz poprzedni cel był niematerialny, chodziło o to, jak sobie poradzi ze stawianymi przed nim problemami.

Jak dotąd — metodą prób i błędów, a także kierując się tym, co uważał za zdrowy rozsądek — rozwiązał dwa problemy. Odnalazł pierwsze drzwi oraz zaopatrzył się w jedzenie i picie. Oba te rozwiązania wymagały jedynie uporu i cierpliwości. Teraz stanął przed zadaniem wymagającym eksperymentowania.

Ściany były z cementu. Próba przebijania się przez nie wydawała mu się bezcelowa. Co zatem pozostawało? Podłoga!

Po raz kolejny naszła go myśl, że lepiej będzie posłużyć się zmysłem dotyku niż wzroku. Zsunął się ze stołka i opadł na kolana. Wybrał najbliższy narożnik, przeszukał go skrupulatnie, po czym ruszył dalej, obmacując centymetr po centymetrze powierzchnię, która, choć nie tak gładka jak ściany, była równa jak stół. Najpierw zatoczył koło wzdłuż wszystkich czterech ścian, z nadzieją na znalezienie pod jedną z nich klucza do wolności, który w jego przekonaniu musiał się tu znajdować.

Gdy to zakończyło się fiaskiem, wystartował dalej, ku środkowi pokoju. Kiedy wreszcie uświadomił sobie, że spenetrował już całą powierzchnię, usiadł, opierając się plecami o tę nieprzebytą ścianę, by ponownie przeanalizować to, co nazywał danymi w swojej sprawie.

Wszedł tu przez tamtą ścianę, tę znajdującą się obecnie bezpośrednio na wprost niego. Jednak ukryty tam zamek najwidoczniej otwierał drzwi tylko w jedną stronę i nie był zaprogramowany na jakikolwiek powrót. Zbadał trzy pozostałe ściany i podłogę. Nic.

Leniwie odchylił głowę w tył opierając ją o ścianę i zmusił się, by jeszcze raz przyjrzeć się wszystkim szczegółom pomieszczenia. Były tu cztery ściany, podłoga, a wysoko nad głową sufit, którego ściany nie dosięgały, lecz łączyły się z nim poprzez filary. Był stół, skrzynka produkująca jedzenie, oraz dwa stołki nie dające się przesunąć i wykorzystać do żadnej wspinaczki.

Stół... stołki... skrzynka... Zbadał też wszystko inne. Czyżby sekret tkwił mimo wszystko pośrodku izby? Podniecony nadzieją, podniósł się z podłogi. Ani jeden stołek nie dał się odsunąć dalej niż podczas pierwszej próby. A przyciski... Najwyraźniej miały służyć do dostarczania żywności, a nie do manipulowania jakimiś urządzeniami w ścianie. Teraz stół.

Wyteżając wszystkie siły nie zdołał go przesunąć nawet o ułamek centymetra. Metalowe nogi, pozornie spoczywające na powierzchni podłogi, były prawdopodobnie w nią wmontowane, sądząc z mizernych efektów popychania i

pociągania.

Stół, stołki, skrzynka...

Znów wdrapał się na stołek, by pomyśleć. Przed sobą miał układające się według pewnego szablonu kolory — czerwony, zielony, żółty, brązowy... Czerwony od zarania dziejów kojarzył się jego rodzajowi z intensywnością i z niebezpieczeństwem. Była czerwień ognia, który niszczył, jeśli się go nie opanowało, i czerwień rumieńca, jaki gniew sprowadza na oblicze człowieka. Zielony koił oczy. Był to kolor wzrastania, kolor życia. Żółty... Żółte było złoto, skarby, światło słoneczne. To także rodzaj siły, lecz mniej niszczącej niż czerwony. Brązowy... Brązowa była ziemia — coś, co wymagało pracy, a nie pracowało samo z siebie.

Dlaczego tracił czas, roztrząsając znaczenie kolorów? Musi znaleźć wyjście! Musi!

Mimo to nie mógł oderwać uważnego spojrzenia od rzędów przycisków — czerwony, zielony, żółty, brązowy... Dostarczyły jedzenia, były jednak bezużyteczne, jeśli chodziło o wydostanie się stąd.

Brązowy — żółty — to złoto ukryte w ziemi; zielony — to, co na niej rośnie; czerwony — ogień, który może strawić na niej całe życie. W jego głowie zaczął falować i układać się jakiś wzór, choć próbował odsunąć od siebie tę głupotę i myśleć konstruktywnie o sensownych działaniach. Lecz czy te myśli rzeczywiście były głupie? Przypuszczał, że Fanyi powiedziałyby, że nie, gdyż wiara we własną Moc Szamanki pozwalała jej akceptować bez zastrzeżeń dziwaczne fantazje umysłu. Sander nigdy tak naprawdę nie wierzył w nic, czego nie mógł zobaczyć, dotknąć czy usłyszeć.

A przecież podczas tej podróży zetknął się już ze sprawami, których nie można było tak zmierzyć. Jako kowal pracował rękoma, lecz to, czego nimi dokonał, było najpierw obrazem w jego głowie, tak więc urzeczywistniał projekt, którego żaden inny człowiek nie mógł widzieć. Przez to on również, w pewien sposób, obcował z nieuchwytnym.

Czy po wszystkich doświadczeniach minionych godzin powinien teraz odmówić wykorzystywania wyobraźni, kiedy ona może być jedynym kluczem do pokonania ścian? Tamten głos z przestworzy, który wcześniej do niego przemówił, używał słów kowalskiego zaklęcia. Zlewały się one co prawda z innymi, których Sander nie rozumiał, lecz tych kilku był pewien. Musi to potraktować jako swego rodzaju omen i zaufać domysłom, choćby wydawały się kompletnie zwariowane.

— Brązowy — wypowiedział na głos i przycisnął kciukiem najciemniejszy guzik w tym rzędzie. — Złoty — wyszukał najjaśniejszy, przypominający mu najbardziej stopiony, gorejący metal, wlewany pośpiesznie do formy. — Zielony. — Nie ten ciemny tam na górze, lecz ten w połowie rzędu, najbardziej pokrewny bujnej zieleni wczesnej wiosny. — Czerwony. — A ten był w odcieniu, jaki mógł posiadać tańczący płomień.

Rozległ się odgłos tarcia. Jedna ze ścian przełamała się na dwie części, z których jedna została podciągnięta w górę, pozostawiając wąski otwór. Sander nie był nawet zaskoczony. Już naciskając przyciski w wybranej przez siebie kolejności miał przeczucie, że rozwiązał kolejny mały fragment zagadki.

Dodało mu to nieco pewności siebie i z tą pewnością przeszedł przez otwór, by raz jeszcze stawić czoła nieznanemu.

Rozdział piętnasty

Nie była to, jak się spodziewał, kolejna izba, lecz raczej wąski korytarz ujęty w ramy przez nagie ściany. Sander kroczył nim z tą nową wiarą, jakiej dostarczyło mu złamanie kodu otwierającego drzwi. Nie był też zaskoczony, kiedy zbliżywszy się do końca korytarza zobaczył obracający się w bok, bez jakiegokolwiek udziału z jego strony, fragment gładkiej powierzchni ściany.

Gdzieś spoza niej sączył się dźwięk. Były to szумы, brzęczenia, trzaski i inne hałasy. Znowu zwolnił, starając się przewidzieć, czemu tym razem będzie musiał stawić czoła. Przyszło mu do głowy, że ktokolwiek korzysta z tego dziwnego labiryntu, nie jest osobą, z którą można stanąć do konfrontacji ani nawet zagrozić jej bronią. Miotacz strzał i długi nóż nie mogły się równać z bronią, z jaką się tu spotkał. Ze swoim prymitywnym orężem nie miał żadnych szans.

Podjąwszy decyzję, zawiesił miotacz z powrotem na ramię i z pustymi rękoma przeszedł przez drugi portal. Coraz intensywniejszy blask światła zmusił go do zmrużenia oczu. Może dlatego nie był w stanie zrozumieć, co widzi. Była to tworząca coś na kształt pajęczyny płatanina metalowych taśm i szkła, migocząca małymi światełkami i wyrastająca z przysadzistych podstaw.

Wśród tego wszystkiego był jeden znajomy widok. W jego kierunku susami zmierzał Rhin, skowycząc radośnie i donośnie na powitanie i dając tym do zrozumienia, iż przybycie Sanderą sprawiło mu ogromną ulgę.

Szorstki język zwierzęcia poskrobał policzek Sanderą. Uchwycił się kurczowo fałd skóry na barkach Rhina. W tym niesamowitym otoczeniu kojot stanowił więź ze światem, który Sander dobrze znał.

W tym momencie znowu odezwał się głos z powietrza. Tym razem nie rozumiał ani słowa z jego bełkotu. Maszyny, o ile to coś na kształt pniaków wypuszczających pajęczyny było maszynami, stały wzdłuż ścian. Cały środek pozostawał wolny. Na tym właśnie miejscu stanął Sander, z jedną ręką nadal złożoną na grzbiecie Rhina. Wszystko tu było dla niego obce i dziwne; nie znajdował ani jednej znajomej rzeczy, nie mógł jednak powstrzymać zachwytu nad perfekcyjnością i fachowością wykonania instalacji.

Czemu miały służyć? Teraz, oglądając to w całości, zauważył, że nie wszystkie wstęgi świeciły. Co więcej, na niektórych ciężkich postumentach

stanowiących ich podstawy, leżały poszarpane i pozrywane pozostałości tych świecących pajęczyn, z innych zaś wydobywał się świdrujący dźwięk, który sprawił, że Sander się cofnął, a kojot zaskowyczał protestacyjnie, gdy je mijali.

Nigdzie nie było śladu żywego stworzenia. Sander krzyknął, wołając Fanyi po imieniu. Jediną odpowiedzią był klekot i brzęczenie maszyn.

— Kim jesteś? — Po raz pierwszy odważył się z kolei zapytać Głosu. Również to pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Z Rhinem u boku, rzucając ukradkowe spojrzenia w prawo i lewo, spodziewając się prawie, że jego prześladowca wyrośnie gdzieś spośród instalacji, Sander przeszedł przez pokój. Znajdowało się tam drugie, sklepione przejście, za którym zastał zupełnie odmienną scenerię.

Tutaj środek dużej komnaty zajęty był przez owalne zagłębienie, otoczone ustawionymi również na kształt owalu dwoma rzędami wyściełanych krzeseł. Sam owal był wpuszczony w podłogę i wypełniony czymś, co Sander na pierwszy rzut oka uznał za niezwykle nieruchomą tafłę wody. Później uświadomił sobie, że było to również szkło czy jakieś równie przezroczyste tworzywo.

Pozostawiwszy Rhina, kowal wepchnął się pomiędzy dwa krzesła (były przymocowane do podłoża i nie dawały się przesunąć) i stanął, patrząc w dół na szklistą powierzchnię w jednolitym ciemnoniebieskim kolorze. Był przeświadczony, że to, podobnie jak skrzynka produkująca jedzenie, miało jakieś ważne przeznaczenie. Cały wystrój pomieszczenia sugerował, że niegdyś zbierali się w nim ludzie, siadywali na krzesłach i patrzyli w dół na szklaną tafłę.

Nie było to lustro, gdyż — choć stanął na samej krawędzi — nie odbijało jego sylwetki. Nie było tu też żadnych przycisków podobnych do tych w skrzynce od jedzenia. Z wolna przechodził od krzesła do krzesła, aż dotarł do stojącego po lewej stronie, w miejscu gdzie owal zakręcał. Tu, po raz pierwszy, zauważył różnicę. To krzesło miało wyjątkowo szerokie poręcze usiane przyciskami, z których każdy oznaczony był kilkoma z symboli, nazywanych przez Fanyi literami.

Sander bez pośpiechu przysiadł na tym siedzeniu. Było nadzwyczaj wygodne, tak jakby krzesło natychmiast przystosowało się do jego figury. Przystudiował przyciski. Był przekonany, że mają coś wspólnego ze szklaną powierzchnią poniżej czubków jego znoszonych butów. Lecz co?

Na każdej z szerokich poręczach były ich dwa rzędy, umieszczone tak, aby osoba opierająca łokcie na tych oparciach mogła siedzieć wygodnie, z naturalnie

wyprostowanymi rękoma. Istniał tylko jeden sposób, by poznać ich przeznaczenie: przez działanie. Opuścił palec wskazujący prawej ręki na najbliższy przycisk.

Ku jego rozczarowaniu, nic się nie wydarzyło. Lecz to tylko jeden guzik — przez te długie lata wiele z nich mogło przestać funkcjonować. Miał nadzieję, że przynajmniej niektóre z nich działały nadal, co pozwoli mu wyrobić sobie pogląd na to, dlaczego ludzie się tu gromadzili i obserwowali to matowe, nie odbijające niczego lustro.

Działając metodycznie, nacisnął kolejny guzik w rzędzie — z nie lepszym skutkiem. Lecz przy trzecim nastąpiło coś, co go zdumiało. W lustrze pojawiły się świetlne punkciki, ożyły linie jarzące się jak szybko posuwający się ogień, szkicując kontury dużych plam o nieregularnych wymiarach i kształtach. Sander skwapliwie pochylił się w przód, usiłując odszyfrować sens tego widowiska.

Były tam cztery — nie, pięć — dużych, zarysowanych kształtów. Dwa były połączone wąską, wygiętą linią, dwa inne, większe, miały solidniejsze połączenie. Tu i ówdzie były też mniejsze, niektóre w pobliżu większych, inne porzrucane w dalszej odległości. Z kolei błyszczące punkciki światła były rozsypane bez żadnego określonego porządku wewnątrz zarysowanych konturów.

Sander wpatrywał się w nie zachłannie, mimo to z żalem stwierdził, że nic mu to nie mówi. Nacisnął kolejny guzik i model zamigotał. Pojawiły się nowe linie tworzące jeszcze jeden, zupełnie odmienny wzór. Jasne punkty światła całkiem zniknęły, a wiele z konturów zarysowujących obszary było zamazanych i nikłych.

— Nasz świat...

Sander obrócił się gwałtownie, sięgając ręką do pochwy długiego noża. Nie potrzebował warczenia Rhina, choć przez moment zastanowił się, dlaczego kojot go nie ostrzegł, bo przecież ten głos nie nadszedł bezcieleśnie gdzieś z przestrzeni. Te dwa słowa zostały wypowiedziane przez mężczyznę, który kuśtykał z naprzeciwka, obserwując Sandera równie uważnie, jak Sander jego.

Obcy nie prezentował się zbyt atrakcyjnie. Niegdyś wysoki, obecnie miał przygarbione ramiona i wygięte w kabłąk plecy. Przylegający ciasno do ciała szary strój podkreślał chudość jego rąk i nóg oraz wypukły brzuch. Głowę pokrywała sztywna biaława szczecina, jak gdyby najpierw wygolono mu czaszkę, a potem pozwolono jej wypuścić znów włosy o długości mniej więcej cala. Obwisła górna warga pokryta była z rzadka takim samym sztywnym jak drut zarostem, lecz poza tym pokiereszowana bliznami twarz była gładko wygolona. Jedyne widoczne fragmenty

skóry, a więc skóra twarzy i rąk z guzowatymi palcami, były tak jasnego koloru, że gdyby nie szarawe zabarwienie, przypominałyby skórę Białych.

W jednej ręce, pomimo iż dłonie drżały mu tak, że chwilami musiał podtrzymywać uchwyt drugą, trzymał rurkę, którą Sander wziął za broń, celując nią ze skupieniem w kowala. A ponieważ było to jedyne uzbrojenie pasujące do tego miejsca, Sander od razu odczuł przed nim szczerzy respekt.

— Nasz świat — powtórzyła po raz drugi zjawą w szarościach, a potem zakaszłała z udręką.

Sander usłyszał dobiegające od strony Rhina skomlenie i spojrzał w jego kierunku. Zwierzę, które widywał nieraz nadzorujące całe stado byków i utrzymujące te potężne bestie w ryzach, dopóki nie spętali ich jeźdźcy Wspólnoty, pełzało teraz po podłodze, jakby je ktoś zbił. Na ten widok Sander wybuchnął gniewem.

— Co zrobiłeś Rhinowi?

Obcy wykrzywił twarz w uśmiechu:

— Zwierzę dostało nauczkę. Jestem Maxim i żadna bestia nie będzie na mnie szczerzyć zębów. Miej się na baczności, chłopcze. Miej się na baczności. Mam — wykonał gest ogarniający być może więcej niż pomieszczenie, w którym się znajdowali — na swe rozkazy takie moce, o jakich wy, biedni barbarzyńcy na zewnątrz, nie macie nawet pojęcia. Jestem Maxim, z rodu Wybranych. To byli ci, którzy przewidzieli, którzy przygotowali... My, my sami ocaliliśmy wszystko, co było znane człowiekowi! My sami!

Jego głos przybrał wysokie tony, z nutą, która wywołała kolejny wybuch skowytu Rhina i zaniepokoiła Sandera. Kawał pomyślał, że ten pokrecony mężczyzna przekroczył już granicę pomiędzy normalnością a szaleństwem.

— Tak, tak! — kontynuował tamten. — My zabezpieczyliśmy, przechowaliśmy, przetrwaliśmy, my jesteśmy jedyną inteligencją, jedyną cywilizacją, jaka pozostała. Przyjrzyj mi się dobrze, barbarzyńco. Ja jestem Maxim! Tutaj — popukał kościstym palcem w czoło — jest więcej wiedzy, niż mógłbyś zdobyć w swoich dwóch ograniczonych czasowo życiach. Zamyślasz to ukraść? Nie ma na to sposobu. To jest zamknięte tutaj — znów palec puknął w czoło. — Twój rodzaj jest tak ograniczony, że nie rozumiesz nawet, czego ci brak. Wy nie jesteście ludźmi, tak jak Poprzedni Ludzie...!

Jego paplanie stawało się coraz bardziej piskliwe. Sanderowi wystarczyło spojrzenie na Rhina, by uświadomić sobie, że ten szaleniec dysponuje potężną bronią

i nie wątpił, że jest gotów zwrócić ją przeciwko wszystkim i wszystkiemu, co napotka na swej drodze. Co stało się z Fanyi i węzaczami? Sander był pewien, że to jest magazyn, którego szukała. Lecz czy natknęła się na tego Maxima i zapłaciła za to? I tak jak wcześniej obudził w nim gniew widok Rhina, zastraszonego szyderstwem tego człowieka z krwi i kości, tak teraz ten gniew spotęgował widziany oczyma duszy obraz Fanyi ponoszącej być może śmierć z jego rąk.

— Czego chcesz? — spytał teraz Maxim. — O co przyszedłeś zapytać Maxima? O sposoby zabijania? Mogę ci pokazać takie, że twój mózg roztopi się ze zgrozy. Znamy je, o tak, znamy je wszystkie! Istnieją choroby, które można posiać pomiędzy niczego nieświadomymi, tak że padają jak zatrute insekty. Możemy utrzymać przy życiu ludzkie ciało, by nam służyło, lecz zniszczyć jego wolę, a nawet myślący umysł. Przez naciśnięcie jednego guzika możemy zdmuchnąć miasto z powierzchni ziemi. Jesteśmy mistrzami. To miejsce zaprojektowaliśmy sasfa, gdyż wiedzieliśmy, że coś musi ocaleć, że nasza cywilizacja musi żyć. I została zachowana, a my przeżyliśmy...

Jego głos zawisł w powietrzu, ożywienie znikło z niezdrowej twarzy. Przez chwilę wyglądał na zagubionego i oklapłego, jakby sam był ofiarą jednej z niszczących umysł broni, które z takim upodobaniem wyliczył.

— Żyjemy — powtórzył. — Żyjemy dłużej, niż jakikolwiek człowiek przedtem. A po nas żyją nasze dzieci... Jak myślisz, barbarzyńco, ile mam lat?

Sander bał się zgadywać, gdyż niewłaściwa odpowiedź mogła pobudzić złą wolę tej obłąkanej istoty.

— Każdy człowiek — dobierał starannie słowa — ma własną normę długości życia. Nie potrafię powiedzieć, jaka jest twoja.

— Oczywiście, że nie! — Głowa starca zatrzęsała się chybliwie. — Jestem jednym z dzieci. Żyję blisko dwieście takich lat, w jakich ludzie zwykli niegdyś liczyć wiek.

Sander uznał, że mogło tak być istotnie. Ilu jeszcze takich spadkobierców tego, co (jeśli poprawnie dosłyszał wymienione okropności) zdawało się najgorszym dziedzictwem Poprzednich Ludzi, nadal istniało na świecie?

— Prawie dwieście lat — powtórzył Maxim. — Widzisz, byłem mądry. Wiedziałem, że lepiej zostać tu niż ryzykować życiem, wychodząc do świata umarłych i mieszając się z barbarzyńcami. Mówiłem im, że źle robią. Tak, powiedziałem Langowi, co się stanie — roześmiał się. — I miałem rację. Czy wiesz,

barbarzyńco, jak umarł Lang? Z powodu bólu w brzuchu! Od dolegliwości, którą można było uleczyć drobną operacją. Ona mi to powiedziała. Ona, która twierdzi, że jest córką Langa. Oczywiście skłamała. Nikt z nas nie połączyłby się węzłem małżeńskim z dzikuską. Skłamała, ale nie mogłem jej ukarać za kłamstwa, ponieważ miała transmitter Langa.

— Byliśmy od samego początku tak zaprogramowani — ciągnął — żeby nie było między nami kłótni. Było nas wtedy tak niewiele i mogło się zdarzyć, że zostalibyśmy zamurowani tutaj, w tym kompleksie, na pokolenia. Tak więc nie mogło być kłótni ani nieporozumień. Wszyscy mieliśmy transmittersy dla własnej ochrony. Widzisz, barbarzyńco, jak wszystko było zaplanowane? Nie było problemu, do rozwiązania którego nie mielibyśmy odpowiednich środków. Byliśmy wyposażeni na każdą ewentualność... I dzieci. Podobnie jak Lang, miały transmittersy od urodzenia. Wszystko było tak starannie przemyślane. Wielki Mózg w zaplombowanej komnacie... on wiedział wszystko. On wie wszystko.

Przez jakiś czas nie łączył się z nami. Oczywiście nie ma takiej potrzeby. Ja, Maxim, wiem wszystko, co konieczne.

— Ta dziewczyna, która powiedziała ci o śmierci Langa... — Sander nie miał wątpliwości, że dotyczyło to Fanyi — gdzie ona jest teraz?

Maxim roześmiał się chrapliwie.

— Ona mnie okłamała, wiesz? Nikomu nie wolno okłamywać Maxima. Jeśli zechcę, mogę czytać w ludzkich myślach. Widzę twoje myśli, barbarzyńco! Kiedy przyszła, wiedziałem, że będą jeszcze inni. Użyłem... — przerwał znowu i popatrzył na Sanderę ostrzegawczo.— Sprowadziłem cię tutaj, barbarzyńco. To było zabawne, bardzo zabawne. Musiałeś przejść przez stare sale sprawdzianów i bardzo ciekawie było obserwować, jak torujesz sobie przez nie drogę, rozwikłując ich tajemnice. Ona nie musiała tego robić, miała transmitter Langa. Lecz ty wykazałeś pewien spryt, nie ludzki, ale zabawny, wiesz? Musiałem mieć cię tutaj. Reszta twojego rodzaju... oni łakną moich skarbów... lecz jestem w stanie ich powstrzymać. Ponieważ ty pokonałeś ustawione przeze mnie przeszkody, wiedziałem, że muszę cię pilnować całą drogę, żeby być bezpiecznym.

— Jestem tu — zauważył Sander. — Ale dziewczyna... Co z nią zrobiłeś?

— Co zrobiłem z nią? — śmiech przerodził się w chichot.

— Cóż, nie zrobiłem nic. Absolutnie nic. Nie było takiej potrzeby. Wielki Mózg posiada własne zabezpieczenia. Ja jej wysłuchałem, wskazałem właściwy

kierunek i puściłem wolno. Nie uznałem za konieczne robić cokolwiek więcej. Była mi nawet wdzięczna. Ja... — ten sam wyraz zakłopotania przemknął przez pomarszczoną, obwisłą twarz. — Miała w sobie coś... Lecz nie, żaden barbarzyńca nie może posiadać cechy, której Maxim nie zdołałby ujarzmić. Potrafię panować nawet nad zwierzętami. Zobacz, jak się mnie boi to twoje parszywe stworzenie. Teraz problem w tym, jak ciebie wykorzystać. Nie masz transmitera, więc oczywiście można tobą zawładnąć.

— Ależ mam! — Sander nie wiedział, czy tamten mówi prawdę, czy nie. Był jednak przekonany, że musi ze swej strony wykonać jakiś ruch, by przeciwstawić się tej karykaturze człowieka.

— To niemożliwe! — rzucił mężczyzna rozdrażnionym tonem rozkapryszonego, upartego dziecka. — Lang był ostatnim, który odszedł. Opuścił mnie, zostawił, wbrew temu, co mu w kółko powtarzałem. Postąpił jak prawdziwy głupiec. Był najmłodszym z dzieci i na nim kończyło się jego pokolenie. Poza tym Lang miał jedyny transponder. One nie starczą na długo, nie więcej niż około pięćdziesięciu lat. Potem trzeba je ponownie naładować. Tak więc twój, o ile go faktycznie masz, z pewnością już nie działa. To mógłby być ten, który należał do Robara. A on wyjechał jeszcze wcześniej niż Lang. Nie próbuj ze mną sztuczek, barbarzyńco! Pamiętaj, jestem Maxim i cała wiedza Poprzedniej Epoki należy do mnie!

— Pokażę ci — Sander ostrożnie sięgnął za pazuchę swego okrycia. Widział, że tajemnicza pałeczka w ręku starca wycelowana jest wprost w niego, lecz musiał wykorzystać tę szansę. Wyjął z zanadru opaskę z plecionego drutu.

Maxim zarechotał:

— To nie jest transponder, barbarzyńco. Jesteś rzeczywiście nie bardziej inteligentny niż to zwierzę. Transponder! Ty nawet nie wiesz, co to słowo oznacza. Ona nie wiedziała! Myślała, że to czary, magia, jaką zabawiają się przesądne dzikusy! A teraz ty pokazujesz mi kłębek drutu i nazywasz to transponderem!

Ośmielony Sander postanowił brnąć dalej i sprowokować Maxima do jakiegoś działania, nałożył więc opaskę na głowę. Być może przysłuży mu się ona teraz, jeżeli ten pozostały przy życiu potomek Poprzednich Ludzi uzna również jego za dziecinnego i przesądnego.

— To jest zimne żelazo — powiedział z powagą. — A ja jestem jednym z tych, którzy pracują z żelazem, a więc jest mi ono posłuszne.

Zaczął pół nucić, pół recytować pieśń kowala.

Odpowiedział mu przebłysk lekkiego zainteresowania.

— To... to jest formuła — zauważył Maxim. — Ale wiesz co, wszystko poprzekręcałeś. To powinno być tak. — Gdy recytował słowa, jego głos przybrał coś z nosowego akcentu Zapamiętywaczy. — Tak jest poprawnie. A więc mimo wszystko zgromadziłeś strzępy dawnej wiedzy, co, barbarzyńco? Lecz cóż to jest zimne żelazo? Nigdy o czymś takim nie słyszałem! Ale... straciłem już dość czasu. Chodź, ty!

Nacisnął jakiś punkt z boku swojej pałeczki. W tym samym momencie Sander pochylił się do przodu, ciągnięty przez ten sam przymus, który doprowadził go tutaj. Odruchowo zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

Żelazo... zimne żelazo. Zbagatelizowana i wyśmiana przez Maxima kowalska wiara w Dawną Wiedzę była jedyną bronią, jaka mu pozostała.

Skoncentrowany na trzymaniu się krzesła, zaciskał zęby z bólu. Żelazo paliło mu czoło żywym ogniem. Nie, nie i NIE!

Twarz Maxima ściągnęła się i zaczerwieniła. Usta się rozchyliły, ukazując blady język i starte, żółtawe zęby.

— Przyjdiesz tu! — zaskrzeczał.

Sander przywarł do poręczy. Katusze powodowane toczącą się w nim walką szybko nasilały się do poziomu, w którym może nie wytrzymać i będzie musiał skapitulować. A jeśli to zrobi, będzie zgubiony. Nie wiedział, skąd u niego ta pewność, wiedział tylko, że tak będzie.

Powietrze między nim a Maximem drgało rozpalone. Sander trzymał się krzesła tak mocno, że stracił czucie w palcach. Jego głowa płonęła. Musi...

Brazowawy, wygięty łukowato kształt przeciął powietrze, opadając łapami na przygarbione plecy Maxima. Chuderlawy mężczyzna upadł z hukiem na posadzkę i leżał nieruchomo. Pazury Rhina wbijały się w jego ciało, a pysk kojota : zbliżał się do gardła starca.

Gdy Maxim, padając, wypuścił pałeczkę, cierpienia Sandera urwały się, jak ręką odjął. Zdołał wycharczeć rozkaz do Rhina, by nie zabijał. Nie mógł pozwolić, by kojot zagryzł kogoś z zimną krwią. Poza tym że ten człowiek był szalony — był stary. A teraz najważniejsze było odnaleźć Fanyi i ostrzec ją. Kowalowi nie udało się odgadnąć, w jaką pułapkę starzec wpędził dziewczynę. Lecz podejrzewał, że na jej końcu, w takiej czy innej formie, czekała śmierć.

Odciął kawałek swojej liny i związał Maxima. Potem uniósł kościste ciało i

usadowił na jednym z krzeseł, przywiązując je do niego dodatkowymi więzami.

Skończywszy, zwrócił się do Rhina:

— Szukaj Fanyi!

Kojot w dalszym ciągu wpatrywał się w nieprzytomnego Maxima, a z jego gardła wydobywał się wściekły bulgot, jakby jedynym jego życzeniem było wykończyć starego. Sander podszedł do niego, klepnął zwierzę w kark i pociągnął za ucho.

— Fanyi! — powołał rozkaz.

Nawet tutaj musiał się gdzieś unosić zapach dziewczyny, a Rhin był najlepszym tropicielem, jakiego znał. Warknąwszy groźnie po raz ostatni, kojot przeniósł wzrok z Maxima na Sandera. Zaskomlał i trącił Sandera w ramię. Kowal bez trudu rozszyfrował zachowanie zwierzęcia. Rhin po prostu nie widział powodu, by pozostawiać Maxima przy życiu; jego rozumowanie było sensowne. Mimo to Sander nie mógł się zmusić do zabicia bezbronny starca ani do pozwolenia na to Rhinowi.

Można zabijać w obronie własnego życia lub by ochronić rodzinę. Stawiłby czoła amfibianom, tak jak to zrobił, czy Białym, i nie odczuwałby wyrzutów sumienia obserwując, jak jego strzały trafiają do celu. Poczwały, którym musieli stawić opór na leśnej polanie, czy potwór na dawnej wyspie to były okropieństwa wzbudzające w Sanderze prawdziwy strach. Lecz nie leżało w jego naturze skończenie z tą sflaczałą istotą ze zwisającą głową, przywiązaną teraz do krzesła i utrzymującą się na nim jedynie dzięki więzom zadziergniętym osobiście przez Sandera.

Chłopak schylił się i podniósł upuszczoną przez Maxima pałeczkę. Wzdłuż jej boku było pięć kropek. Nie miał jednak pojęcia, jakie moce kontrolowała, ani czasu, by z nią eksperymentować. Teraz liczyła się każda minuta. Musi znaleźć Fanyi, zanim ta ostatecznie wpakuje się w nieodwracalne nieszczęście.

— Fanyi! — po raz trzeci powtórzył jej imię, odciągając Rhina od więźnia.

Kojot warknął i odszedł. Okrążył owalnie ustawione siedzenia i ruszył przed siebie. Sander przyspieszył kroku, by dorównać swemu przewodnikowi. Rhin szedł tak pewnie, iż kowal uwierzył, że wie dokładnie, którądy należy iść. A może zwierzę było świadkiem wysłania dziewczyny w drogę przez złośliwego, wiekowego strażnika tego miejsca?

Sanderowi trudno było uwierzyć, że Maxim był jedynym mieszkańcem tej kryjówki. Choć wymienił tylko dwa imiona, i obaj ci ludzie już nie żyli, nie oznaczało

to, że cała kolonia, która miała przetrwać Czas Ciemności, zupełnie wyginęła. A po tym, jak podczas ich pierwszego spotkania był świadkiem konfrontacji Rhina z Maximem, nie miał pewności, czy w razie potrzeby Rhin go ostrzeże. Ostatecznie jedynie dlatego, że starzec był tak zaabsorbowany pojmaniem Sandera, kojotowi udało się wyrwać spod jego wpływu i zaatakować.

Przechodzili przez pokoje i korytarze połączone drzwiami. Niektóre pełne były dziwnych instalacji, inne wyraźnie przeznaczone do zamieszkania i wyposażono w sofę, dywany i różnorodne dziwacznie ukształtowane, masywne meble.

Sander zatrzymał się raz, gdy doszedł do kolejnej izby z maszyną produkującą żywność. Była większa od znajdującej się w pomieszczeniu w przedniej części labiryntu i miała więcej rzędów guzików. Zaznajomiony już z zasadami jej funkcjonowania, pewnie naciskał przyciski, wyciągając z urządzenia więcej kromek, wafli i kubeczków z wodą niż potrzebował do nakarmienia siebie i Rhina, gdyż zamierzał zaopatrzyć się w dodatkowe racje żywności, które wrzucił do torby z prowiantem i przelał do bukłaka. Jak maszyna mogła produkować jedzenie wyraźnie z niczego — pozostawało tajemnicą, lecz efekty były apetyczne i smakowały nie tylko chłopakowi, ale i zwierzęciu. Sander zaś był w tym momencie bardziej usatysfakcjonowany rezultatami, a mniej zainteresowany sposobami, w jakie je osiągnął.

Rhin truchtał przodem, dopóki nie minęli ostatnich sal i nie wyszli do kolejnego długiego holu, z takimi samymi gładkimi ścianami i rurkami świecącymi przyćmionym światłem, tyle że tu wszystkie działały. Powietrze było świeże, a od czasu do czasu czuło się lekkie podmuchy. Sander nie przestawał podziwiać ogromu wiedzy, jaka kryła się za tym budynkiem i całym jego wyposażeniem.

Były momenty, że chciał raz jeszcze wrócić do tamtego pokoju ze szklaną sadzawką i zobaczyć dziwne kontury, które można było przywołać naciśnięciem guzika. Jeśli Maxim mówił prawdę, że druga seria obrazków ukazuje ich świat takim, jak jest obecnie, to pierwsza seria musiała przedstawiać świat z Poprzedniej Epoki.

Sander miał ciągle przed oczyma kolosalne różnice w przebiegu tych linii. Lecz jeżeli zmiany były aż tak wielkie, to jak ten jeden kompleks podziemnych pomieszczeń zdołał przetrwać, praktycznie nietknięty? Mógł zrozumieć, że mieszkańcy, po tym jak przetrwali najgorsze światowe kataklizmy, wypracowali sobie własne metody obrony przed grabieżcami i włóczącymi się bandami, podchodzącymi do zewnętrznej bramy. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie wystarczająco

skutecznych zabezpieczeń przed gwałtownością i siłą trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów i występujących z brzegów mórz.

Hol zdawał się ciągnąć bez końca. Raz po raz Rhin przytykał nos do podłogi, po czym niezmiennie wydawał krótki skowyt. Byli na swojej drodze, na właściwej drodze... dokąd?

Rozdział szesnasty

Przy końcu korytarz zaczął się ponownie obniżać. Świecących rurek było tu mniej, a pomiędzy nimi kładły się duże plamy cienia. Początkowo spadek był łagodny, potem zrobiło się bardziej stromo. Zdawać by się mogło, że cokolwiek Poprzedni Ludzie pragnęli tu ukryć, zagrzebali to głęboko, by mieć pewność, że nie zaszkodzi mu żadne wstrząsy na ziemi.

Powietrze też nie było tak dobre. Pojawił się drażniący zapach, przyprawiający Sandera o ataki kaszlu. Przypomniał sobie groźbę Maxima, że to, czego Fanyi miała tu szukać, posiadało własne zabezpieczenia i myśl ta sprawiła, że posuwał się teraz ze zdwojoną ostrożnością. Jak Maxim to nazwał? Wielki Mózg? Czy maszyna potrafi myśleć? Sander żałował, że nie słuchał uważniej Zapamiętywaczy. Czy któraś z ich opowieści wspominała o tym?

W momencie, gdy Sander pomyślał, że ta droga w dół nigdy się nie skończy i będą schodzili coraz głębiej i głębiej do serca ziemi, pochyłość wyrównała się. Blask ściennych świateł był tu przyćmiony warstwą długo gromadzonego kurzu. Nogami również brodził w miękkim dywanie z kurzu. Był on jednak poznaczony odciskami. Nawet w tym przytłumionym świetle rozróżnił ślady zakończonych pazurami łap wężaczy i odciski butów, które mogła pozostawić jedynie Fanyi.

Było tu chłodniej. Naciągnął kaptur i zawiązał sznurki. W nieruchomym powietrzu widział własny oddech w postaci małych białych obłoczków. Rhin nie wybiegał już do przodu. Cofnął się tak, że jego pysk znajdował się w jednej linii z ramieniem Sandera. Raz po raz skamlał cicho, wyrażając tym swój niepokój.

W półmroku z przodu coś się poruszyło. Sander wepchnął za pasek broń odebraną Maximowi i sięgnął po miotacz strzał. Rhin warknął, po czym zawył przejmująco i ostrzegawczo. Odpowiedzią był dzwoniąco-brzęczący odgłos, niepodobny do niczego, co Sander słyszał, może jedynie do dzwonięcia lekkiego młotka o metal.

Rzecz tocząca się z naprzeciwka nie była — co stwierdził, obserwując, jak pojawia się i znika w jasnych plamach ściennego światła — żadnym żywym stworzeniem. Nie mogła nim być. W dużej mierze przypominała raczej okrągły kocioł, jakiego Wspólnota używała podczas jesienno-biesiadowania. Poruszał się na umieszczonych pod spodem kółkach, w jednostajnym, powolnym tempie. Tym, co

zaniepokoiło Sandera, była jego zawartość. Z kotła wyrastała mianowicie płatanina różnej długości ramion połączonych stawami i zakończonych ogromnymi pazurami ze straszliwymi zębami. Ramiona te znajdowały się w ustawicznym ruchu, zamiatając podłogę lub drapiąc ściany, a pazury otwierały się i zamykały ze szczękiem. Był to przeciwnik, którego nie mogła powalić żadna strzała, choćby nawet najzręczniejszycy wycelowana.

Rhin kilkakrotnie warknął głośno i przepchnął się przed Sandera z zamiarem chapnięcia zębami toczącego się metalowego obiektu. Zatrzymał się jednak poza zasięgiem ramion, które teraz wyciągały się w jego kierunku, a zgrzyt otwierających się i zamykających w coraz szybszym tempie pazurów stał się jeszcze głośniejszy.

Kojot tańczył na samej granicy zasięgu ramion, kłapiąc zębami, za każdym razem jednak odskakiwał na bezpieczną odległość. Sander sięgnął po pałeczkę Maxima. Jeśli ta broń miała jakąś moc, mogła stanowić jedyną szansę w walce z napierającą maszyną.

Nadal ściskając bliższy mu miotacz strzał w lewej ręce, przebiegł wzrokiem po trzymanej w prawej pałeczce, po czym przycisnął mocno kciuk do jej boku. Przedtem zagwizdał na Rhina, przywołując go z powrotem do siebie, gdyż nie był pewien, co się może zdarzyć podczas tego ataku. Promień światła wystrzelił obok kojota, trafiając w sam środek kotła. Przez moment zdawało się, że bez efektu. Potykając się, Sander zaczął się wycofywać, a za nim Rhin, gdyż walące jak cepy ramiona z podstępными pazurami zbliżały się ku nim z klekotem, z prędkością trąby powietrznej.

Ułamek sekundy później, gdy promień dotknął tego wybrzuszony metalu, pojawiła się na nim kropka, która z każdą chwilą stawała się bardziej czerwona. Promień zdawał się wpalać w ciało obiektu, lecz poruszająca się maszyna nie sprawiała wrażenia uszkodzonej; może tylko jeszcze szybciej ruszyła w ich kierunku. Jeden z tych zgrzytających kompletów pazurów zacisnął się na zakurzonej świecącej rurce i zmiażdżył ją z taką łatwością, z jaką nóż kroi ciasto.

Sander znów gwizdał na kojota, sygnalizując odwrót. Najchętniej obróciłby się na pięcie i uciekł, ale jeśli miał powstrzymać tę broń z Poprzedniej Epoki, musiał iść powoli i trzymając pałeczkę nieruchomo, wgryzać się w to samo promieniujące miejsce.

Gorejący punkt zrobił się większy i ciemniejszy, widocznie siła skupionych promieni przegryzła się przez zewnętrzną powłokę stwora. Sander trzymał promień

stabilnie, wycofując się i starając się zgrać tempo swojego odwrotu z prędkością turlania się maszyny.

Potem — nastąpił wybuch. Błysk światła był tak intensywny i palący, że zupełnie go oślepił. Krzycząc, uczeplił się Rhina. Nic nie widział, lecz czuł, że kojot ciągnie go w tył do momentu, aż jego pięty uderzyły w koniec pochylni, którą tu zesli. Dopiero wówczas dotarło do niego, że brzęczenie i szczekanie maszyny umilkło. A zatem promień musiał ją przynajmniej zatrzymać.

Mimo to Sander cofał się dalej, do połowy rampy, mrugając i usiłując odzyskać wzrok. Strach przed tym, że eksplozja mogła go naprawdę oślepić, paraliżował wręcz jego kroki.

Rhin uwolnił się z jego objęć i wbrew zakazowi kowala zniknął w mrokach korytarza. Sander usłyszał grzechot i warczenie kojota. Potem Rhin wrócił w podskokach i trącił go barkiem.

O rękę kowala otarł się ciepły metal. Odłożył broń i po omacku zaczął szukać wokół siebie, dopóki jego palce nie zacisnęły się na metalowym drążku połączonym przegubami. Zbadał go dotykiem, wyczuwając na jego końcu zeszywniałe, rozczapierzone pazury.

A więc wyeliminował maszynę z gry! Lecz radość z tego faktu przyćmiewała jego ślepotę. Co będzie jeśli... jeśli już nigdy nie będzie widział?!

Zdecydowanie odsunął od siebie tę myśl. Pełzający obiekt został powstrzymany. I on nie musi się znowu cofać. Ma Rhina — kojot go ostrzeże, jeśli na drodze staną im kolejne takie stwory. Lepiej iść naprzód niż wycofywać się po omacku do tego zawilego kompleksu, w którym zostawił Maxima. Niech tylko ten szalenciec odkryje, że Sander jest w pewien sposób bezradny, a wtedy się przed nim nie obroni.

Uchwyciwszy się mocno rzemieni uprzęży Rhina, ruszył przed siebie. Jego samopoczucie poprawiło się, gdy w pewnym momencie zarejestrował z jednej strony przyćmiony przebłysk jasności. Musiał dostrzec jedną ze ściennych lamp.

Rhin kroczył powoli, potem zatrzymał się, skamłąc. Trzymając się ciągle jego uprzęży Sander zamiótł oderwanym ramieniem przyniesionym przez kojota podłogę przed sobą. Metal zazgrzytał o metal. Musieli dotrzeć do zniszczonego przedmiotu.

Sander przykleknął, macając oburącz wokół siebie. Powyginany, gorący w dotyku metal leżał w beładnej masie. Powoli i ostrożnie odepchnął kawałki i ułożył z nich stos z jednej strony. Jego oczy łzawiły i wilgoć spływała w dół po zakurzonych

policzkach. Widział już na tyle, by uprzątnąć przejście.

Później, znów z Rhinem w charakterze przewodnika, ruszył dalej, opukując drogę przed sobą żelaznym pazurem, żeby się upewnić, że nic nie leży na przeszkodzie. Oczy go piekły, lecz starał się nie pocierać ich brudnymi rękoma. Czy zniszczona właśnie maszyna była jedyną włóczącą się po tych podziemnych drogach? W końcu, jeżeli broń nie wyczerpała się w tamtym ataku, miał się czym bronić. Pamiętał jednak, jak Fanyi ostrzegła go, mówiąc o swojej latarce, że te narzędzia i broń Poprzednich Ludzi mają ograniczoną długość funkcjonowania, a on mógł przecież wyczerpać energię pałeczki Maxima w tamtej jednej akcji.

Sander kichał i kaszłał. Gryzący dym, który musiał pochodzić ze zniszczonego, uzbrojonego w pazury wartownika, wywoływał ból gardła i atakował nos. Rhin również dławił się i charczał. Ale za to kowal wyławiał już z ogólnej mgły nowe błyski ściennych świateł. Ich widok pokrzepił go. Maxim mówił, że to, czego szuka Fanyi, jest dobrze strzeżone. Czy ta maszyna mogła być takim strażnikiem?

Kowal przebiegł palcami po metalowym ramieniu i dotknął delikatnie zębów w pazurze. Był to złowieszczy przedmiot, należący prawdopodobnie do kategorii broni, którymi chełpił się Maxim, wynalezionych i kontrolowanych przez tych, którzy zbudowali to miejsce. Jakimi byli ludźmi? I Biali, i Morskie Rekiny, zabijali. Lecz nie na odległość i nie bez narażania własnego życia. Była jeszcze ta samica, której złożyli ich w ofierze leśni ludzie, był potwór na wyspie. Lecz to również były stworzenia z krwi i kości. I przez to w jakiś sposób zrozumiałe i wytłumaczalne. Ale ten metalowy pełzacz, tamte inne bronie, wymieniane przez Maxima z taką obłądną satysfakcją...

Coś więcej niż kurz i wyziewy przyprawiło Sandera o mdłości. Był to jego protest przeciw tym, którzy stworzyli tę jaskinię zła. Czy oni wszyscy, od samego początku, byli szaleni? Czy Maxim był jedynie skażony dziedzictwem, z którym już przyszedł na świat?

Korytarz gwałtownie skręcał. Tu powietrze było nieco lepsze, choć światła, gdy na nie patrzył, były nadal zamglone. Machał ramieniem w przód i w tył, wzniesając tumany kurzu, i wyteżał słuch, czujny na każdy podejrzący odgłos. Dlatego też uświadomił sobie coś w rodzaju drgań czy wibracji, które mogły być przenoszone przez samo zastające powietrze. Gdzie to już odczuwał? Wrażenie było niejasno znajome. W lesie! Kiedy zostali pojmani przez nadrzewnych ludzi!

Lecz tutaj nie było drzew, nad głową nie było nic, poza murowanym sufitem korytarza.

— Rhin? — wypowiedział głośno imię kojota, ponieważ ta znajoma sylaba łączyła go w pewien sposób z drugą żyjącą istotą.

Kojot milczał, ale jego nos raz po raz dotykał policzka Sander. W tym dotyku było poczucie świadomości nadciągającego zagrożenia, przepływające od Rhina do niego silniej niż kiedykolwiek przedtem. Mimo to kojot milczał, a trzymający się go kurczowo Sander nie wyczuł nawet jednego bezgłośnego warknięcia. Kowal poszperał w zanadrzu kapoty, wyjął rzemyk z drucianym węzłem i zawiesił go na karku Rhina.

Ruszyli przy akompaniamencie czegoś pokrewnego biciu gigantycznego serca, które niezupełnie pokrywało się z rytmem pompowania krwi Sander, lecz było do niego zbliżone. Kowal mrugał bolącymi od wybuchu i kurzu oczyma. W końcu stanął, odwiązał bukłak, zmoczył kawałek zapasowego podkoszulka i przytrzymał wilgotny, chłodny kompres na zamkniętych powiekach. Po trzech takich przyłożeniach zaczął widzieć wyraźniej, rozróżniając szczegóły zakurzonego holu.

Wraz ze zniknięciem mgły dostrzegł przed sobą drzwi. Były dokładnie zamknięte i nigdzie nie było śladu klamki, gałki czy innej możliwości otwarcia. Jedynym, co widniało w gładkiej powierzchni na wprost, była dziurka mniej więcej na wysokości oka. Sander wsadził w nią palec i napierając w różnych kierunkach próbował spowodować przesunięcie drzwi lub ich podniesienie. Pozostały jednak uparcie nieruchome.

Czy pałaca moc pałeczki Maxima również tutaj utoruje im drogę?

Sander pomacał palcami Broń Poprzednich Ludzi. Z jej działaniem łączyło się ryzyko. Użycie promienia mogło się na nim w jakiś sposób zemścić. Mimo to nie mógł tak po prostu poddać się i odejść.

Fanyi musiała tędy przejść. Jakiej użyła metody? Czy to prezent od ojca przeprowadził ją bezpiecznie obok strażnika, którego on spalił promieniem? Przebiegł palcami po otworze w drzwiach. Choć było to tylko przypuszczenie, Sander doszedł do wniosku, że jest on dokładnie takiej wielkości, iż wisior Fanyi mógł do niego idealnie pasować.

Nie będąc wyposażonym w nic, co pomogłoby mu sforsować przeszkodę, Sander przybliżył pałeczkę do jednej z dwóch ściennych lamp, umieszczonych po obu stronach zamkniętych na mur drzwi, i skrupulatnie ją obejrzał. To było miejsce, które nacisnął, by unieszkodliwić wartownika. Lecz na części pałeczki stanowiącej uchwyt dla dłoni były jeszcze cztery takie punkty.

Istniał tylko jeden sposób na ich rozszyfrowanie — wypróbować je. Odganiając Rhina ręką do tyłu, żeby nie ucierpiał w wyniku jakiejś nieprzewidzianej katastrofy spowodowanej nieudolnością kowala, Sander nakierował wylot rurki dokładnie na krawędź dziury w drzwiach.

Nacisnął pierwszy przycisk.

Absolutnie żadnego efektu! Żadnego, poza tym, że Rhin zawył i położył łeb na podłodze, zatykając uszy łapami. Sander pospiesznie zwolnił przycisk. Czy to tego użył Maxim, zmuszając zwierzę do uległości?

Rhin potrząsnął energicznie łbem, jęknął po raz ostatni z głębi piersi i popatrzył na Sandera obnażając kły.

Kowalowi odechciało się prawie sprawdzania kolejnych przycisków. Nie chciał ściągać na siebie gniewu Rhina. I nie wiedział, jak wytłumaczyć kojotowi, że sprowadził na niego takie cierpienie nie celowo, lecz z czystej ignorancji.

Zbadać od razu pełną moc pałeczki — tak. Ale najpierw zabezpieczyć się przed ponownym chwilowym oślepieniem. Sander owinał głowę zmoczoną koszulą, wypychając jej końce pod brzegi kaptura. Wysłał Rhina w głąb korytarza, po czym ponownie nakierował pałeczkę na otwór w drzwiach. Naciskając z całej siły, zastosował pełną posiadaną przez urządzenie moc.

Nawet przez zaimprovizowaną zasłonę na oczach dostrzegł błysk białego ognia. Potem usłyszał chrzęst rozrywanego metalu. Jeszcze później w twarz jego buchnął powiew wilgotnego, nagrzanego powietrza, przesiąkniętego duszącym dymem.

Usłyszał też coś jeszcze. Tego wściekłego syczenia nie pomyliłby z niczym innym. Wężacze! Po chwili do dźwięków dołączył obraz, i zwierzęta ukazały się w całej okazałości.

Sander zdarł koszulę z twarzy. Drzwi pękły na dwoje, oferując mu przejście na tyle szerokie, że mógłby się przez nie przecisnąć wraz z Rhinem, a mimo to nadal nie były zupełnie otwarte. Zza drzwi wylewały się strumienie jaskrawego światła, w którym widział wyraźnie Kai i Kayi przycajone po obu stronach wejścia i gotowe skoczyć mu do gardła. Za nimi widniała kotłowanina różnych jasno oświetlonych przedmiotów.

Nie chciał krzywdzić wężaczy. Podniósł głos i zawołał pokonując suchość w gardle:

— Fanyi!

Wibracje przybrały na sile, uderzając z większą mocą, a syczenie wężaczy stało się głośniejsze. Jedynie dziewczyna nie odpowiedziała.

Czyżby była ranna lub więziona w pułapce przez jedno z tych urządzeń zabezpieczających, o których wspominał Maxim, co wzbudziło w jej towarzyszach taką żądzę walki? A może celowo postawiła je tutaj na straży, by strzegły jej przed jakąkolwiek ingerencją w to, co zamierzała zrobić? Każda odpowiedź może być dobra, ale żadna nie usunie z drogi Kai i Kayi.

One muszą znać jego zapach i pamiętać, że był akceptowany przez Fanyi i że z nią podróżował. Czy tamta drobna zażyłość okaże się teraz przydatna? Za sobą słyszał stąpanie łap Rhina. Nie może dopuścić do niepotrzebnego starcia między zwierzętami.

Sander cofnął się o kilka kroków, obserwując wężacze kątem oka. Nie wykonały żadnego ruchu, by przejść przez otwarte siłą drzwi. Poszperał w torbie z prowiantem i wyjął parę ciastek o smaku mięsa, które Rhin zżerał z widoczną rozkoszą. Rzucił po trzy każdemu wężaczowi.

Kayi pierwsza obwąchała poczęstunek. Polizała ciastko, po czym połknęła je w całości. Drugie zmiażdżyła szczękami, zanim jej towarzysz zechciał spróbować swojej porcji. Jedząc wężacze w dalszym ciągu obserwowały Sanderą i nie przestawały syczeć. Wylizwały jednak łakomie wszystko do ostatniej okruszyny, jakby od dawna nic nie jadły.

Sander miał tyle rozsądku, by wiedzieć, że nie może ich dotykać, tak jak to robiła dziewczyna. Przykucnął więc, wyciągając dwa kolejne ciastka i rzucając każdemu po jednym. Gdy je chwyciły, przemówił dobitnie zrównoważonym głosem:

— Fanyi?

Może rzeczywiście był takim głupcem, za jakiego uważał go Maxim, usiłując skomunikować się z wężaczami za pomocą głosu. Czyż powtarzanie imienia mogło oznaczać cokolwiek dla zwierząt obserwujących go nadal tak bacznie, że ich wzrok napawał lękiem? Cierpliwie jednak powtórzył to imię po raz drugi:

— Fanyi?

Kai wspiął się na tylnych łapach, łbem górując teraz o wiele nad kucającym kowalem. Z tej pozycji wystarczyłby mu jeden skok, by dostać Sanderą pod swe mordercze szczęki i pazury. Kayi patrzyła, ale nie przyjęła takiej samej wyprostowanej pozycji.

— Fanyi... Kai... Kayi... — Tym razem Sander spróbował połączenia trzech

imion. Nie był nawet w stanie odgadnąć, jak może przebiegać odmienny proces myślowy wężaczy. Kayi przestała syczeć. Schyliła łeb, by polizać prawą łapę. Lecz większy samiec nie zmienił swej wyzywającej, zdaniem Sandera, pozycji.

— Fanyi... Kai... — Teraz kowal użył tylko dwóch imion, kierując głos do dużego samca i odwracając nieco głowę, co wymagało nie lada spostrzegawczości i rozdwojenia uwagi, gdyż całkowite spuszczenie Kayi z oczu było ryzykowne.

Kai opadł na cztery łapy. Choć Sander nie mógł nic wyczytać z pyska wężacza, podświadomie wyczuł, że zwierzę jest dezorientowane. A pod tą niepewnością kryło się coś jeszcze. Strach? Człowiek nie mógł być tego pewien.

Podejmując ostatnie ryzyko, Sander podniósł się powoli i zrobił ruch do przodu.

— Fanyi! — powtórzył po raz czwarty z mocą, jakiej jeszcze chwilę wcześniej bał się użyć.

Kayi wycofała się. Jej wzrok prześlizgnął się po sylwetce towarzysza i wrócił do mężczyzny. Wydała odgłos, w którym nie było pogróżki. Kai zasyczał, ukazując kły. Lecz Sander ośmielony zachowaniem samicy, zrobił kolejny krok.

Wężacz samiec nie przestawał syczeć, ale zaczął się z wolna wycofywać. Kayi zrobiła w tył zwrot i odchodziła. W końcu duży samiec skapitulował, choć nadal łypał na Sandera podejrzliwie.

Rhin szedł przy ramieniu kowala. Skulił się trochę, by przedostać się przez te rozdarte wzdłuż drzwi. Wężacze nie stanowiły już zagrożenia. Oba odwróciły się tyłem do Sandera i, pozornie potulne, szły naprzód, przedzierając się przez nieprawdopodobne masy szkła i żelastwa, które zdawały się wypełniać to pomieszczenie.

Tutaj światło było jaskrawe, jarzące się tak, że nadwreżony wzrok Sandera z trudem się przystosowywał. A pokój żył. Żył nie życiem, jakie znał, lecz inną formą energii, wywoływana przez kolory, żywe i ostre, przepływające przez rozjarzone rurki, w których skąpane były niektóre instalacje. Panujące tu wilgotne ciepło sprawiło, że rozwiązał kaptur i rozpiął kapotę.

Nie miał ochoty zatrzymywać się i podziwiać tego. Gra kolorów, całkowicie obca atmosfera tego miejsca, odpychały go. Jak tylko znajdzie Fanyi, muszą się stąd wydostać! Jego ciało mrowiło i cierpło, jakby przepływał przez nie jakiś niewidzialny prąd.

Z metalowej opaski na jego głowie strzeliły iskry. Na nowo zaczęła palić mu

skronie. Mimo to nie zdejmie jej. Zimne żelazo uratowało go już dwukrotnie, a on nauczył się czerpać korzyści z dotychczasowych doświadczeń. Nie zaryzykuje więc pozbycia się opaski, tym bardziej że znów otacza go coś niezrozumiałego, czego nie miał nawet odwagi dociekać.

Wężacze doprowadziły go prosto do maleńkiego pokoiku na drugim końcu holu. Był on niewiele większy od okazałej komody. Przez przezroczyste ściany widać było wnętrze. Z rękoma zaciśniętymi na spoczywającym nadal na jej piersi wisiorze siedziała tam Fanyi.

Chociaż miała szeroko otwarte, pozornie wlepione w niego oczy, Sander zdawał sobie sprawę, że ona go nie widzi. Co takiego widziała? Pomimo gorączki panującej w pomieszczeniu, wstrząsnął nim dreszcz. Przez jej twarz przesuwały się, jedno po drugim, przelotne doznania. Strach, zgroza, obrzydzenie...

Gąszcz jej włosów sterczał wzniesiony ku górze, jakby każdy kosmyk, od korzenia do czubka, naładowany był energią. Nad górną wargą i na czole zebrały się drobne kropelki potu, które spływając po policzkach sprawiały wrażenie nieustannego płaczu. W całym jej ciele była przerażająca sztywność, zdradzająca nienormalne napięcie.

Kayi poskrobała łapą w szybę stanowiącą frontową ścianę tego gabinetu, lecz na zniekształconej twarzy Fanyi nie pojawił się nawet cień rozpoznania. Była jak ktoś uwięziony w sennym koszmarze, bez możliwości ucieczki.

Nagle jej ciało zaczęło spazmatycznie drgać. Sander zobaczył, że otworzyła usta, jakby krzycząc. Lecz nie usłyszał żadnego dźwięku. Podbiegł do przodu i chwycił skobel umieszczony w połowie drzwi, z nadzieją, że pełni on funkcję klamki. Szarpnął go z całych sił. Skobel nawet nie drgnął.

Wyglądało na to, że dziewczynę zaryglowano w środku, bez żadnych szans na ucieczkę. Widział jej oczy rozbiegane na wszystkie strony, jej kołyszącą się w przód i w tył głowę. Wyrwał strzałę z kołczanu, wcisnął ją pomiędzy drzwi a skobel, próbując go podważyć.

Teraz już całe ciało Fanyi podrygiwało jednostajnie, jakby straciła kontrolę nad mięśniami. Pusta twarz zatraciła wyraz wszelkiej inteligencji, dolna szczęka opadła bezwładnie, a z otwartych ust cienką strużką spływała ślina.

Sander mocował się z drzwiami. Strzała trzasnęła mu w rękach, lecz nim to nastąpiło, zdołał odrobinę naruszyć skobel. Chwycił pospiesznie drugą strzałę i wbił ją z całą mocą w wydlubaną już szczelinę, tuż za skoblem. Grot strzały zaczepił się i

nie chciał puścić; wepchnął go głębiej.

Z potężną siłą podźwignął skobel. Rozległ się trzask pęknięcia. Cała przednia ściana szklanej klatki ustąpiła tak gwałtownie, że zachwiało się i stracił równowagę. Fanyi osunęła się wraz ze ścianą. Sander w ostatnim momencie zdążył podtrzymać jej całkowicie bezwładne ciało i złożył je delikatnie na podłodze.

Przez jedną chwilę przepełnioną lękiem, jakiego dotąd nie zaznał, myślał, że dziewczyna nie żyje. Potem wyczuł puls na szczupłym brązowym nadgarstku i zobaczył, że jej pierś unosi się i opada w szybkim, płytkim oddechu. Oczy miała wywrócone, widział więc tylko błyskające między na wpół przymkniętymi powiekami białka.

Nie próbując się podnieść, popęzł na czworakach, ciągnąc ją za sobą, byle dalej od więzienia, w którym ją znalazł. Zawłócił ją najdalej jak mógł, do narożnika pomieszczenia, z dala od tamtego gabinetu i reszty diabelskich urządzeń. Tam ułożył jej głowę na swej złożonej kapocie. Ręce dziewczyny nadal kurczowo zaciskały się na wisiorze, tak że musiał systematycznie, palec po palcu, odginać je na siłę. Był przeświadczony, że wisior ma coś wspólnego z zagrożeniem, które nad nią zawisło.

Nadal oddychała tymi szybkimi, płytkimi oddechami, jakby dopiero co ukończyła bieg, a jej skóra, pomimo upału panującego w pomieszczeniu, była zimna i wilgotna. Podeszły wężacze. Kayi rozciągnęła się z drugiej strony dziewczyny, jakby pragnąc ogrzać ją dodatkowo ciepłem obleczonego w futro ciała.

Fanyi mamrotała coś i zaczęła rzucać głową na zaimprovizowanej poduszce. Potem zaczęła mówić. Wolno i wyraźnie — lecz on nie rozumiał płynących z jej ust słów. Tylko raz po raz wydawało mu się, iż łapie echo głosu, który przedtem przemawiał do niego z przestworzy.

Wyciągnął z tobołka drugą kapotę i przykrył nią dziewczynę, po czym ujął mocno jej głowę i wlał pomiędzy rozchylone wargi kilka kropel wody. Zakrztusiła się, zakaszła i raptownie otworzyła oczy.

Rozdział siedemnasty

— Martwy...! — Jej przenikliwy głos przeszył powietrze. — Martwy!

Choć patrzyła na niego, Sander zdawał sobie sprawę, że Fanyi widzi coś innego. Nie jego twarz, może nawet nie ten pokój.

— Ja... nie... będę... — Po każdym słowie brała głęboki oddech. W jej głosie brzmiała determinacja. — Ja... nie... będę...

Starła się usiąść, lecz Sander chwycił ją za ramiona i delikatnie pchnął na powrót w dół. Bał się. W zwróconych na niego oczach dziewczyny była kompletna pustka. Czy przejścia w tej więziennej klatce pozbawiły ją rozumu i teraz jest równie szalona jak Maxim?

— Nie musisz robić niczego — starał się panować nad głosem — czego nie chcesz...

Jej usta drgały z wysiłku, jakby wydanie dźwięku przekraczało jej możliwości.

— Ja... nie... będę... — Po czym dodała: — Kim ty jesteś? Jedną z maszyn... maszyną...?

Napięcie znów wzrastało, jej ciało sztywniało pod jego dotykiem.

— Nie będę! Nie możecie mnie zmusić... nie możecie!

— Fanyi... — Tak jak poprzednio, przemawiając do węzaczy, Sander powtórzył jej imię z powagą i mocą, wierząc, że przywróci jej tym świadomość. — Ja jestem Sander, ty jesteś Fanyi... Fanyi!

— Fanyi? — powtórzyła pytająco. A szczerść tego pytania jeszcze bardziej zmroziła Sandera. Jeśli nie pamięta własnego imienia...! Co z niej zrobiło to piekielne miejsce? Ogarnęła go tak przemożna wściekłość, że chciał potłuc, zmiażdżyć na proch wszystko dookoła.

— Ty jesteś Fanyi — Przemawiał do niej jak do małego dziecka, starając się zatuszować gniew w głosie. — Ja jestem Sander.

Leżała nieruchomo, wpatrując się w niego. Potem z ulgą zaobserwował, że w jej oczach na powrót pojawił się przeblysł koncentracji. Może przyglądała mu się niby zza zasłony, by odkryć go na nowo. Przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

— Ja... jestem... Fanyi... — powiedziała wolno i westchnęła głęboko. Obserwował, jak się rozluźnia, jak jej głowa kręci się na zaimprovizowanej poduszce, jak zamykają się jej oczy. Zasnęła.

Ale przecież muszą się stąd wydostać! Może gdyby udało mu się wsadzić ją na Rhina... Uczucie mrowienia, które odczuwał od chwili wejścia tutaj, stawało się coraz dokuczliwsze. Było jeszcze coś, coś jak gdyby... skubanie — tak, to było jedyne słowo, jakie przychodziło mu do głowy na opisanie tego uczucia — skubanie jego umysłu! Uniósł obie dłonie do drucianego diademu. Był ciepły... gorący... powinien go zdjąć... o wiele lepiej... lepiej...

Kowal oderwał gwałtownie palce. Zdjąć to! Tego właśnie pragnęła ta... ta niewidzialna moc, ta bezcielesna obecność... Tak, tego właśnie chciała! Obejrzał się nerwowo przez ramię. W tym momencie był tak przekonany, że jest tu ktoś jeszcze, iż spodziewał się zobaczyć Maxima lub kogoś podobnego, nadchodzącego gankiem między urządzeniami. Zimne żelazo...

Sander szybko skinął na Rhina, a gdy kojot stanął przy nim, dźwignął Fanyi i umieścił na grzbiecie zwierzęcia. Gdy schylał się do dziewczyny, Kayi warknęła, lecz potem widocznie zrozumiała, że chłopak nie zamierza jej skrzywdzić. Przywiązał jej bezwładne ciało, tak że leżała na Rhinie z rękoma zwisającymi po obu stronach jego karku.

Upewniwszy się, że nie spadnie, kowal ruszył w drogę powrotną przez tę koszmarną komnatę, nawiedzoną przez usiłującą go za wszelką cenę usidlić obcą wolę. Czy to nie wiadome mogło zawładnąć zwierzętami i obrócić przeciw niemu Rhina i węzaczę?

O tym, że zwierzęta odbierały bodźce, które je drażniły i których się bały, wnioskował z ich ustawicznego warczenia i ze sposobu, w jaki węzaczę kiwały łbami, jakby szukając wroga, którego nie mogły zidentyfikować. Rhin mruczał, lecz nie ciągnął w tył, gdy Sander poganiał go naprzód.

Minęli rozbitą klatkę, w której znalazł dziewczynę. Mając ją za sobą, Sander odetchnął z ulgą. Nie wiedział, jakie jeszcze niebezpieczeństwa w niej czyhały. Zaczynał wierzyć, że w tym przeklętym miejscu nie może tak do końca ufać własnym zmysłom czy impulsom.

Przed nimi były drzwi wyjściowe na korytarz ze stromym podejściem, prowadzącym na wyższe poziomy. Węzaczę przemknęły przez szparę między skrzydłami. Szczelina była jednak zbyt wąska dla Rhina dźwigającego Fanyi. Sander odwiązał torbę z narzędziami i, podobnie jak w tunelu za miastem, wybrał największy z młotów.

Z całej siły walnął najpierw w jedną krawędź szczeliny, potem w drugą,

rozkładając równo energię, aż w końcu skrzydła drzwi ustąpiły z nieprzyjemnym zgrzytem i Rhinowi udało się precyzyjnie przesuwać. Sander nie odłożył młota do torby, lecz niósł go w rękę. Podobnie jak żelazna opaska na czole, dotyk znajomego trzonka w dłoni dawał mu więcej pewności niż miotacz strzał czy strzelająca promieniami pałeczka Poprzednich Ludzi. To stanowiło atrybut jego fachu i jako kowal czuł się z tym bezpieczny. Takie poczucie bezpieczeństwa było mu w tej chwili bardzo potrzebne.

Węzaczki nie wrywały się zbyt mocno do przodu, jak zwykły to robić na zewnątrz, lecz kroczyły równo po obu stronach Sandera i Rhina. Od czasu do czasu posykiwały cicho, jednak nie z gniewu czy ze strachu, ale raczej komunikując się ze sobą.

Fanyi, od chwili wymówienia własnego imienia potwierdzającego jej tożsamość, nie przejawiała oznak świadomości. Sander był przekonany, że sen, w którym była pogrążona, nie był naturalny. Pragnął ją zabrać jak najdalej stąd.

Minęli stos metalowych odłamków pozostałych po mechanicznym strażniku. W innych okolicznościach Sander z przyjemnością przebadalby szczątki przedmiotu, szczególnie inne fragmenty ramion. Teraz miał uczucie, że im mniej spoufala się z czymkolwiek należącym do tego labiryntu, tym rozsądniej z jego strony.

Rhin wspinał się na pochyłość. Sander szedł obok, jedną ręką podtrzymując Fanyi, w drugiej niosąc młot. Ta wspinaczka wydawała się dwukrotnie dłuższa niż przedtem schodzenie. Lecz dobrze było wydostać się na świeże powietrze, wciągnąć w płuca coś, co nie było przesycone drażniącymi odorami, tak intensywnymi na dole.

W górnym holu Sander postanowił skierować się na powrót do pokoju, w którym znalazł większą maszynę z żywnością. Chociaż węzaczki pochłonięły łącznie wszystkie „herbatniki”, zgadywał, że nie najadły się do syta. Poza tym miał nadzieję, że wyłudzi od tego dziwnego dostawcy pokarmu coś, co tchnie nowe życie w Fanyi.

Rhin szedł pewnie naprzód i Sander nie wątpił, iż kojot wraca po śladach ich podróży. Uczucie mrowienia i skubania malało w miarę oddalania się od komnaty na dole. Jeżeli tam leżało źródło tych zakłóceń, być może istniała granica jego wpływu, chociaż dosięgło go przedtem, by ściągnąć go tutaj. Nie zamierzał zdejmować swego żelaznego zabezpieczenia, by zbadać jego siłę.

Dotarli do pokoju, którego szukał. Tutaj odwiązał Fanyi i zdjął ją z derki, raz jeszcze układając ją na podłodze z własną kapotą pod głową i drugim płaszczem otulającym jej ciało. Skóra dziewczyna była ciągle chłodna i chociaż nie otworzyła

oczu ani nie sprawiała wrażenia przytomnej, dygotała.

Na osłep zaczął naciskać guziki w maszynie, rzucając zwierzakom mięsne herbatniki, które natychmiast żarłocznie połykały. Po chwili jedno fortunne naciśnięcie dostarczyło mu pojemnik z pokrywką, niemal po brzegi wypełniony gorącym płynem o zapachu i konsystencji gęstej zupy.

Oparłszy głowę Fanyi na swym ramieniu, Sander zawołał ją po imieniu, wyrывая ją tym ze snu, tak że wymamrotała coś nerwowo i nieporadnie usiłowała wyzwolić się z jego objęć. Przyłożył jednak pojemnik do jej warg i w końcu pociągnęła mały łyk.

Łagodnymi, ciepłymi słowami skłonił ją do przełknięcia następnego, potem jeszcze jednego. Każdy kolejny przyjmowała coraz chętniej, a kiedy się skończyło, otworzyła oczy, jakby prosząc o dokładkę. Pospiesznie nacisnął guzik i z maszyny wyskoczyła nowa porcja. Pomógł jej wysączyć również tę do ostatniej kropli.

— Dobrze... — wyszeptała. — Wyśmienite. Jest... jest mi... zimno.

Cała dygotała, wstrząsana silnymi dreszczami. Sanderowi udało się ubrać ją w swój płaszcz, służący wcześniej za przykrycie. Potem zwrócił się do Rhina, zdjął z niego cały ekwipunek i otulił dziewczynę grubą, przesyconą zapachem zwierzęcego potu derką, służącą mu za podkład podczas jazdy.

Okrywszy ją najlepiej jak potrafił, zawołał wężacze, a one posłusznie ułożyły się po obu stronach Fanyi, użyczając jej ciepła swych ciał. Dopiero wówczas podszedł do maszyny i zaspokoił głód.

Był zmęczony; nie pamiętał prawie, kiedy ostatnio spał. A wyczerpujące przejścia w niższych korytarzach nadwerżyły jego siły. Czy mogą się tu na jakiś czas zatrzymać? Jeśli Rhin i wężacze Fanyi pełniłyby straż...

Wędrując przez pomieszczenia kompleksu, Sander nie natknął się na ślad innych mieszkańców. Pokoje, które według niego przeznaczone były na kwatery mieszkalne, sprawiały wrażenie od dawna opuszczonych, a jedynymi przemierzającymi się tu osobami byli oni sami. Mimo to nie chciało mu się wierzyć, że Maxim był jedynym pozostałym przy życiu lokatorem tego miejsca. A każdy inny byłby wyposażony w broń i środki nie do ogarnięcia przez jego rozum. Im prędzej zatem wydostaną się z tych podziemi, tym lepiej dla nich. Jednakże kiedy o tym myślał, głowa opadała mu na piersi i zmagął się z ciężkimi powiekami, chcąc utrzymać oczy otwarte. Niebezpieczeństwo mogło czaić się na każdym kroku. Zagrożenie mogło pojawić się niespodziewanie i nie wiadomo skąd. Tak zmarnowany

jak w tej chwili, na pewno nie da rady stawić mu czoła. Wypoczynek jest niezbędny.

Przewyciężając ostatkiem sił ogarniającą go senność, dał ręką znak Rhinowi. Kojot potruchtał do oddalonych drzwi i ułożył się w poprzek wejścia, opierając łeb na łapach. Sander znał go na tyle, by wiedzieć, że będzie drzemał, lecz ocknie się na najmniejszy ruch lub szelest.

Chłopak wyciągnął się z drugiej strony Kayi, ściskając w rękę trzonek młota. Intensywny zapach wężaczy działał na niego uspokajająco, kojarząc się ze światem, który znał i któremu ufał, a nie z tymi podziemnymi katakumbami.

— Sander...

Odwrócił głowę. W głosie, który przerwał mu sen zapomniany natychmiast po otwarciu oczu, było coś naglącego. Fanyi siedziała wyprostowana. Płaszcz zsunął jej się z ramion, a wydłużona i znużona twarz wyglądała jak po straszliwej, wycieńczającej chorobie.

— Sander! — wyciągnęła rękę, by potrząsnąć go za ramię. Kayi już między nimi nie leżała.

Usiadł półprzytomny i potrząsnął głową.

— Co... — zaczął.

— Musimy stąd wyjść! — W jej oczach tlił się dziki ogień. — Musimy ich ostrzec...

— Ich? — powtórzył Sander. Lecz jej podniecenie udzieliło się również jemu i zerwał się na równe nogi.

— Handlarzy... resztę... całą resztę, Sander. Twój lud... wszystkich! — Wyrzucała z siebie słowa w takim pośpiechu, że miał trudności z ich zrozumieniem. Zreflektował się, że musi ją powstrzymać, uspokoić. Potrząsnął ją za ramiona, przytrzymał i spojrzał prosto w szeroko rozwarte oczy.

— Fanyi... ostrzec ich, przed czym?

— Przed... mózgożerem! — wybuchnęła. — Myliłam się... ach, jak bardzo się myliłam! — Jej dłonie zacisnęły się wokół jego nadgarstków tak mocno, że zabołało. — Mózgożer... on... to coś... zawładnie światem, zrobi z nim, co zechce. My wszyscy będziemy przedmiotami, wyłącznie przedmiotami, wykonującymi jego rozkazy! On wezwał Białych... ściąga ich tutaj, żeby ich nauczyć... nauczyć ohydnych rzeczy. Jak mordować, niszczyć...

Znów dygotała.

— Skonstruowali go Poprzedni Ludzie, żeby zmagazynować w nim całą

ówczesną wiedzę, ponieważ przewidzieli koniec swojego świata. I tak się też stało, na Wielki Księżyc, tak się stało! Zamknęli w nim całą swoją mądrość! Potem, gdy już był ukończony, coś się w nim poprzestawiało. Może to Czas Ciemności tak na niego wpłynął, zmieniając to, co zostało zaprogramowane przez Poprzednich Ludzi. Bo to przecież niemożliwe, żeby celowo nastavili go na wyrządzenie takiego zła! Oni... oni nie mogli być wszyscy tacy bezduszni. Nie mogli! Gdybym tak myślała... — Potrząsnęła głową. — Sander, gdybym myślała, że w moim umyśle spoczywa taka spuścizna po nich, to bez wahania wbiłabym sobie nóż w gardło. To coś... ten mózgożer, on zapamiętał tylko najgorsze. Chciał, bym mu służyła. I przenikał mnie całą, robiąc ze mnie coś na własne podobieństwo. Gdybyś nie przyszedł... Musimy się stąd wydostać! Wiem, że on panuje nad tym miejscem i...

Przerwała, spoglądając bacznie na Sandera.

— Lecz to nie zatrzymało ciebie. Czy dlatego, że nie miałeś czegoś takiego? — wskazała na wisior, który Sander jej zostawił, nie będąc pewnym, czy zabierając go nie odbierze jej jednocześnie środka zabezpieczającego, co sugerował Maxim.

— To... on... może zapanować nad czymś umysłem, czyjąś wolą. Przyrzekł mi — jej wargi zadrżały — wszystko, czego zapragnę, czego szukam. Miałam tylko przyjść do jego sali bezpośredniej komunikacji i otworzyć umysł. A tymczasem to coś nafaszerowało mnie... nienawiścią! Wiesz, Sander, sądziłam, że nienawidzę Morskich Rekinów, ale nie znałam głębi, ślepego okrucieństwa prawdziwej nienawiści, dopóki to mnie nie nauczyło! I tego samego chce nauczyć wszystkich, bo pragnie, abyśmy wszyscy byli na jego usługi. Niektórymi ludźmi potrafi zawładnąć niesłychanie prędko. Szamani Białych... z nich już zrobił swoje sługi. Czy rozumiesz, przyzywa ich teraz... aby się uczyli.

— Tu zmagazynowano wiele rzeczy — ciągnęła po chwili — ale są jeszcze inne, które z jego pomocą z łatwością można zrobić. On ich nauczy, a oni będą dla niego pracować. A potem to wypuści śmierć. Ponieważ nie chce, aby na końcu pozostało jakiegokolwiek życie... żadne!

— Mówisz „to” i „coś” — powiedział Sander. — Co to faktycznie jest?

— Sądzę — odparła z namysłem, znów dygocząc na całym ciele i na pół zakrywając dłonią usta, jakby bała się głośno wyrazić swoje przekonanie — że część tego była niegdyś człowiekiem albo ludźmi. To jest w połowie żywe. Przez lata stawało się coraz bardziej odmienne od człowieka, coraz bardziej monstrialne. Tak długo, jak byli tu ci, którzy pozostali, by to nadzorować i udoskonalać, spełniało to po

części funkcję, dla której zostało stworzone. Lecz w miarę jak nadzorców ubywało i stawali się coraz słabsi, rosło w siłę i degenerowało się, a w końcu stało się niezależne, zrywając wszelkie więzy z tymi, którzy pozostali. Niektórzy, jak mój ojciec, odeszli, by sprawdzić, co zostało ze świata, ponieważ to nie miało na nich tak wielkiego wpływu. — Lecz ci, którzy pozostali... Czy widziałeś tego, który nazywa siebie Maximem? Sander przytaknął ruchem głowy.

— On jest rzeczą, choć o tym nie wie. Jeszcze przez jakiś czas będzie temu służył jako oczy i uszy. To nadal potrzebuje ludzi, a jeśli będzie utrzymywało kontakty z nieskorumpowanymi na zewnątrz, będzie mogło tym samym sprowadzać sobie świeże umysły. Sander, to się żywi ludzkimi umysłami! Wysysa z nich całą mądrość, całego ducha, a potem napełnia tym, czym chce — nienawiścią i chęcią niesienia śmierci!

— Tak jak próbowało zrobić z tobą. Mimo to się uratowałaś. Jakim cudem?

— Jestem Szamanką z urodzenia, Szamanką z wykształcenia. Nie taką, jak szamani Białych, którzy do zgromadzenia mocy wykorzystują ludzką krew i terror, lecz współpracującą z życiem, nie przeciwko niemu. Mózgożer nie mógł osiągnąć tej części mnie, której pożądał najbardziej — źródła mej Mocy. Choć pewnie by się do niego przebił, gdybyś nie przyszedł. A jak ty się obroniłeś? Dlaczego cię nie pojmało?

— Zimne żelazo. To moja moc, moc kowala.

Nie był pewien, czy rzeczywiście uratowała go opaska na czole, lecz przypuszczał, że tak było.

— Zimne żelazo? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Nie rozumiem...

W tym momencie znów ogarnął ją paniczny strach.

— Wyjść... Sander, musimy stąd wyjść! To nie wypuści nas dobrowolnie, a ja nie wiem, jakimi jeszcze mocami dysponuje.

Pstryknął palcami na przywołanie Rhina i zaczął na nowo pakować bagaże. Potem ponownie podsadził Fanyi na grzbiet kojota.

— Czy on może zawładnąć także mózgami zwierząt? — Zastanawiał się, czy ich kudłaci towarzysze mogą się raptem okazać słabymi punktami w zespole.

— Nie — potrząsnęła głową. — Ich umysły są zbyt odmienne, za mało rozwinięte. Prezentują dla niego za niski poziom. Kai i Kayi próbowali powstrzymać mnie przed pójściem. Ja... ja wykorzystałam swoją Moc, by trzymały się z dala ode mnie — popatrzyła ze smutkiem na węzaczę.

— Maxim użył tego na Rhina — Sander wyciągnął pałeczkę. — Naciśniesz tu

— wskazał guzik z boku przyrządu — a kojot prawie zdycha.

— Skąd to masz?

— Od Maxima — pochwalił się z satysfakcją. — Zostawiłem go związanego. Rhin go powalił, gdy stary spuścił go z oka i skupił uwagę na mnie — kowal oddał zwierzęciu należne zasługi. — I to Rhin cię wytropił.

— Uciekajmy stąd, szybko!

Sander całym sercem popierał ten projekt. Nie wiedział, ile jest prawdy w zwariowanej historii, jaką mu opowiedziała. Ta sprawa z wysysaniem ludzkiego umysłu i ponownym napełnianiem go... Jednakże kiełkujące w nim już od dawna podejrzenie, że Poprzedni Ludzie posiadali o wiele więcej, niż wiedzieli Zapamiętywacze, wystarczyło, by zgodził się, że najlepiej będzie, gdy natychmiast opuszczą to miejsce. Nie pragnął już dowiadywać się niczego więcej o tej budowli. Histeria, w jaką popadła Fanyi, jej przerażenie, były ponurym ostrzeżeniem, że za poznanie tajemnic sprzed Czasu Ciemności może przyjść zapłacić zbyt wysoką cenę. Był skłonny natychmiast wziąć nogi za pas i oddalić się maksymalnie szybko.

Kowal nie był pewien, którzy tu przyszli, polegał jednak na kojocie i jego nosie. Wyglądało na to, że w miarę oddalania się od nawiedzonych pomieszczeń Fanyi odzyskuje równowagę i panowanie nad sobą. Po drodze migwały mu w przelocie intrygujące przedmioty. W innych okolicznościach bez wątpienia zarządziłby postój, by je bliżej zbadać.

Fanyi nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo. Wpatrywała się wprost przed siebie, jakby żarliwość pragnienia wyjścia na wolność była wystarczająco silna, by przyspieszyć ich odwrót.

— Ile jeszcze ludzi tu mieszka? — spytał Sander po tym, jak w milczeniu przebyli kawałek drogi, podczas której złapał się na tym, że nasłuchuje odgłosów świadczących o czyhającym niebezpieczeństwie. Podświadomie obawiał się, że ucieczka nie będzie prosta i łatwa.

— Nie wiem. Z pewnością bardzo niewiele. On potrzebuje ich więcej na swe usługi. Myślę, że jest taka czynność, której nie potrafi sam wykonać, a która utrzymuje go przy życiu. Dlatego potrzebuje nowych, opróżnionych umysłów do zaprogramowania, by służyły jego celom. Pozostałych pozabija. To uosobienie nienawiści... — Z jej oczu popłynęły łzy, których nie próbowała obetrzeć. — Jest chory z nienawiści, nabrzmiały nią, jak gnijąca rana nabrzmiewa ropą. To niewiarygodnie obrzydliwe.

Przemierzając poszczególne pomieszczenia, Sander miał się na baczności. Utwierdzał się jednak w przekonaniu, że żadne z nich nie było od dłuższego czasu zamieszkane. Czyżby zatem Maxim był ostatnim sługą pozostałym temu czemuś? Lecz przecież Maxim nie uważał się za sługę; mówił o „Wielkim Mózgu”, który zaprzestał komunikowania się z człowiekiem.

Kowal miał teraz nowy powód do zamartwiania się: otóż ta ucieczka szła im podejrzenie zbyt gładko. Spodziewał się napotkać uciążliwe przeszkody. Fanyi twierdziła, że mózgożer posiada przeogromną moc. Jeśli zatem kontrolował on wszystkie urządzenia, musiał teraz z pewnością pracować nad ponownym ich pojmaniem.

Gdy nadal panował spokój i nic nie zapowiadało katastrofy, paradoksalnie wzmogła się jego czujność. Fanyi ciągle jechała patrząc jedynie przed siebie. Sander zerkał ukradkiem na kojota i węzaczę. Szły tempem zbliżonym do truchtu, choć Sander ich nie poganiał. Były skoncentrowane; zarówno widział, jak i wyczuwał, że własnymi metodami sprawdzały, co dzieje się dookoła. Nie przekazywały jednak ostrzeżenia o żadnej zasadzce czy ataku.

Mała karawana dotarła wreszcie do komnaty z krzesłami ustawionymi wokół owalu, nie będącego sadzawką. Sander spieszył tutaj, gotów rozprawić się z Maximem. Lecz krzesło, do którego przywiązał szaleńca, było puste; nie pozostały nawet rozcięte czy pozrywane sznury. Sander zamachnął się młotem, ważąc w rękę jego siłę.

— Zniknął. A przecież zostawiłem go tutaj.

Pierwszy raz od momentu, kiedy wyruszyli, Fanyi odwróciła nieco głowę, kierując wzrok na Sandera.

— Musimy znaleźć wyjście — powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała nowa nuta, jakby ponownie narastała w niej histeria. — Wyjście... ono może być zamaskowane.

Zrobiła gest, jakby chciała dotknąć wisiora, ale natychmiast cofnęła rękę.

— Ten przedmiot... może będzie przydatny. Lecz on także... on jest stąd. Służy do kontrolowania ludzi.

— Więc lepiej go nie ruszaj. Zostawmy kwestię wyjścia Rhinowi i węzaczom. Bardziej polegaj na ich zmysłach niż na swoich.

Zwierzęta przemaszerowały z pokoju z krzesłami do pokoju z pajęczyną instalacji. Te, które pozostały nienaruszone, świeciły jasnym blaskiem. Rhin zadarł

łeb i zaskowyczał żałośnie. Tę nutę Sander słyszał w jego głosie tylko raz — gdy dotknął niewłaściwego przycisku na pałeczce. Do jego skowytu dołączyły momentalnie wrzaski wężaczy. Zwierzęta zakrywały uszy łapami, śliniły się i miały pianę na pyskach. Sander poczuł dziwny ból w głowie. Fanyi przyciskała dłonie do uszu, a jej twarz wykrzywił grymas nieopisanego cierpienia.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Choć jego ciało stało się nagle niedołączne, a koordynacja zaburzona, Sander podszedł na chwiejnych nogach do najbliższej rozjarzonej blaskiem wstęgi. Przewyciężając mimowolne skurcze mięśni uniósł młot, ściągnął ją w dół i zmiażdżył.

Buchnęły snopy iskier. W powietrzu rozszedł się drażniący nos i gardło odór. Nie zważając na to, Sander zataczając się przeszedł do kolejnej taśmy i zmiotł ją jednym zamachem, potem to samo zrobił z następną i następną.

Poruszał się jak w transie, owładnięty obsesyjnie jedną myślą — że należy zniszczyć te niepojęte, świecące twory.

Niekiedy chybiał i nie udawało mu się jednym czy dwoma uderzeniami unicestwić obiektu, na który się zamierzał. Stawał wtedy przed nim na chwiejnych nogach i tłukł na oślep do skutku, walcząc z własną słabością i ciemnością przed oczami. Oczyszczył jeden rząd i zamierzał się na pierwszą instalację w drugim. Opaska wokół głowy zmieniała się w płonącą obręcz, przyćmiewając jego myśli. Działał wyłącznie na zasadzie instynktu. Trzeci... i jeszcze jeden...

Potem ciśnienie zewnętrzne zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Sander upadł na kolana, dysząc ciężko. Miał lekką głowę; czuł się oszołomiony. Lecz porażające oczy światło zgasło.

— Sander!

Piskliwy krzyk targnął nim gwałtownie, pobudzając jego półprzytomny umysł.

Opodał, z uniesioną pałeczką, stał Maxim. Jego twarz była ściągnięta, w wytrzeszczonych oczach nie pozostało już nic ludzkiego. On zamierzał...

Sander zdobył się na największy wysiłek w życiu, unosząc młot... Maxim był za daleko, by go uderzyć. Nie było czasu na naciąganie strzały ani nawet na wyciągnięcie zatkniętej za kowalski pas pałeczki. Zakręcił młotem nad głową i rzucił desperacko, z przekonaniem, że już za późno, że Maxim go dopadł.

Nagle obok Sandera wystrzeliło coś jak z procy. Kai przypominający kłęb filtra z furją otarł się o jego ramię, skacząc naprzód. To dotknięcie, choć tak lekkie, pozbawiło kowala równowagi. Zanim jednak upadł na podstawę jednej z maszyn,

zdażył dostrzec, jak młot uderza, nie obuchem, lecz trzonkiem, w pierś Maxima.

Mężczyzna zachwiał się. Sander poczuł na ramieniu liźnięcie palącego płomienia. Potem Kai wykonał ostatni skok, powalając Maxima i wytracając mu z ręki pałeczkę. Maxim krzyknął, lecz jego głos urwał się szokująco nagle, gdy Sander uniósł się, aby się podciągnąć na podstawę strzaskanej instalacji, na którą upadł.

Rozdział osiemnasty

Uderzyła go fala (Sander szukał słów na wyjaśnienie natury tego, co przepełniało powietrze, przygniatając go tak, że ledwie się ruszał) wściekłości...? nienawiści...? Jakby otaczające go ściany ożyły, stanowiąc żywą tkankę jakiegoś ogromnego stwora. Wężacz cofał się, z ohydnie zakrwawionym pyskiem. Cofał się warcząc, sycząc, wałąc w powietrze rozstawionymi pazurami, choć zagrożenie już dawno minęło.

Sander kołysał się w przód i w tył. Utrzymawał się w pozycji pionowej wyłącznie dzięki temu, że kurczowo uczeplił się podstawy strzaskanej instalacji. Gdyby nie to, monstrialna furia wysyłająca przez pokój impulsy, wałące w niego z siłą fizycznych ciosów, zwałiłaby go z nóg. Drut wokół głowy poddawał go nieustającej, palącej torturze, lecz postanowił wytrzymać. Szczercząc zęby jak zwierzę, wypowiadał chrapliwie i wyzywająco zaklęcie kowala.

On nie był rzeczą, był człowiekiem! I człowiekiem pozostanie. Chwiejnie i niepewnie, krok za krokiem, uczeplony kurczowo przesuwiał się wzdłuż podstawy stanowiącej jego podpórę. Całą uwagę skupił na młocie leżącym w niewielkiej odległości od ciała, którego nie miał ochoty oglądać z bliska. Co prawda Maxima powalił Kai, ale to jego uderzenie utorowało wężaczowi drogę.

Sander schylił się, zaciskając dłoń na rękojeści ciężkiego narzędzia. A kiedy już jego palce zamknęły się wokół znajomego uchwytu, odczuł lekki dreszcz zwycięstwa. Był człowiekiem!

Rozejrzał się wokół zatroskany. Rhin i wężacze stały obok siebie, szczercząc kły. Kojot kłapał zębami w powietrzu, a w kącikach warg zbierała mu się piana. Wężacze przeja wiały gotowość do walki, lecz nie było wroga, przeciw któremu mogłyby się zwrócić.

Fanyi siedziała wyprostowana na derce. Jej twarz poszarzała, wymizerowana napięciem i bólem. Z odrzuconą w tył głową, ona również wypowiadała słowa, słowa, których nie rozumiał. Gdy podszedł chwiejnym krokiem, z trudem, jakby borykając się z jakimś nieprzyjaznym prądem, napotkał jej spojrzenie.

— On nas nie wypuści — powiedziała po prostu.

— Znam wyjście...

— Nic nam po nim, przynajmniej dopóki on nie wyrazi takiej woli.

Nie podzielał jej pewności. Lecz zanim zdążył się odezwać, ona już trzymała wisior.

— On mnie do siebie dopuści... Z tym wisiosem dotrę do niego bez trudu...

Miał wrażenie, że kiedy mówiła, zmniejszał się napór powietrza, a wściekłość, która zawisała nad nimi niemal namacalną, przygniatającą chmurą, cofnęła się odrobinę.

— Nie! — Sander uniósł młot.

— Jeżeli pójdę, będę może mogła wynegocjować warunki...

W jej oczach czytał prawdę. Wiedziała, że jeśli pójdzie, będzie zgubiona, tak zgubiona, jak ta łupina człowieka, którego Kai zabił, by ocalić ich wszystkich.

— Jestem półkrwi z tych, którzy mu zawsze służyli. Wysłucha...

— Nikogo... nikogo nie wysłucha! — wybuchnął Sander. — To coś jest obłąkane! Sama to wyczytałaś w jego myślach. Nic nie ocalisz, niczego nie osiągniesz!

— Żeby mnie dostać, będzie skory do ustępstw — usiłowała go przekonać do swojego planu. — Przekonam go, by pozwolił wam odejść; tobie i tym tam... — gestem wskazała zwierzęta. — Jak już będziecie wolni, możecie zanieść ostrzeżenie. Nie wolno dopuścić do tego, aby Biali tu dotarli. Handlarze muszą być przygotowani.

— Jeżeli to coś jest wszystkowiedzące i wszechwiedzące — odparł Sander z uporem — to nie uwolni nigdy nikogo, by zaniósł takie ostrzeżenie. Dlaczego miałby to zrobić?

— Jest różnica — powiedziała Fanyi powoli. — Jeśli pójdę dobrowolnie, nie stawiając żadnych przeszkód, zyska na tym więcej, niż gdyby musiał przemocą wrywać ze mnie siłę. On chce mnie w całości, nie okaleczonej. Ty nie przedstawiasz dla niego żadnej wartości, poza tym, że gwałtem zakłóciłeś jego spokój. Puści cię w przekonaniu, że niebawem i tak cię dopadnie, kiedy wcieli do swej armii tych, których wezwał. Czy nie rozumiesz — mogę ci kupić czas!

Sander potrząsnął głową:

— Nie ma mowy o jakichkolwiek układach. Jemu nie można ufać. Słuchaj...

— Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach, jak biegacz, który złapał drugi oddech.

— Czy możesz się dowiedzieć, gdzie to się ukrywa?

Musiła przejrzeć jego zamiary.

— Nie wolno ci! On jest zabezpieczony na wszelkie sposoby. Nie uda ci się

dotrzeć do niego bezpiecznie wbrew jego woli!

— Ale ty możesz iść...?

— Tak, jeśli oddam mu swoją wolę. On odniesie zwycięstwo... a ty na tym zyskasz.

— Tak, w pewien sposób — Sander zamachnął się lekko młotem. — Czy on może nas podsłuchiwać? — przenosił wzrok z jednego rzędu zdruzgotanych świetlnych pajęczyn na drugi.

— Nie sądzę. Nie ma takiej potrzeby. Jeśli zechce, zawładnie po prostu naszymi myślami. Poza tym uważa się za niezniszczalnego. Jego nie można zranić — na jej przybladłe policzki wróciło trochę kolorów.

Sander znowu zamachnął się młotem. Mając go w dłoni, dziwnie nie bał się rzeczy, których nie mógł dotknąć. Ta „rzecz” uważała się za nienaruszalną, a jednak nie była w stanie obronić zewnętrznej części swej posiadłości bez Maxima. A Maxim zginął śmiercią, jaką prawdopodobnie nikt z jego rodziny nie umarł od pokoleń — wskutek bojowej furii zwierzęca

Kowal nie miał planów, jedynie determinację. Propozycja Fanyi, że odda się temu czemuś... Cóż, mogło to być następstwo przeżytego szoku wskutek napaści i uwięzienia w tamtej szklanej klatce. Sander był pewien jednego: z tym wrogiem nie można się wdawać w żadne układy. Nawet próby pertraktacji byłyby porażką, gdyż mózgożer uznałby każdą z nich za przejaw słabości. Mógłby obiecać wszystko i złamać obietnicę, kiedy mu się spodoba.

Był jednak przekonany, że Fanyi naprawdę może być kluczem do dopadnięcia go. Uniósł rękę i przeciągnął kciukiem po opasce na czole. Nie było „uzasadnienia” dla funkcjonowania starego przesądu, a on mimo to działał. Gdyby mógł zrobić użytek z siły dręczącego go wcześniej bólu, mieliby szansę — małą, ale zawsze.

— Masz jakiś plan — Fanyi nie pytała, ona stwierdzała. Pochyliwszy się ku przodowi, wpatrywała się w niego uważnie.

— Nie mam planu — Sander potrząsnął głową. — Za mało wiemy, aby coś planować — Możemy jedynie iść... i żywić nadzieję, że trafi nam się jakaś szansa...

— My? Ależ ty nie możesz! To cię nie puści!

Raz jeszcze Sander dotknął opaski.

— Nie możemy być tego pewni, dopóki nie spróbujemy. Mówisz, że to nie może oddziaływać na zwierzęta?

— Nie mogło w przypadku węzaczy. Usiłowały nawet mnie powstrzymać.

Choć prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co może na nas nasłać, gdy go rozwściczymy.

Przypomnił sobie wieloramiennego metalowego potwora. Tylko teraz wiedział, jak z nimi postępować. I ma do dyspozycji dwie pałeczki: tę, którą zabrał wcześniej Maximowi — i nową, której starzec użył tutaj. Sander podszedł do skręconego ciała, by ją podnieść.

Wróciwszy wepchnął pierwsze ze swych trofeów w rękę Fanyi. W kilku słowach objaśnił, jak to działa.

— Jesteś zdecydowany, żeby to zrobić? — spytała dziewczyna, gdy skończył.

— A czy jest inne wyjście? Człowiek trzyma się życia, dopóki może. Jeśli nie uda nam się wyprowadzić w pole tej Siły, już jesteśmy martwi.

— Mówię ci, że puściłby cię wolno, gdybym ja tam poszła dobrowolnie.

— Pójdiesz dobrowolnie, jeśli się upierasz — powiedział. — Ale ja pójdę z tobą. Być może on będzie wiedział, że jestem z tobą, ale możemy spróbować. Jeśli pójdiesz przodem, może uwierzy, że znów mi się wymknęłaś, a ja cię ścigam. Nie możemy się jednak za bardzo rozdzielać, bo wtedy może —zgarnąć cię, a mnie nie wpuścić.

Fanyi siedziała przez chwilę w milczeniu. Potem ześlizgnęła się z grzbietu Rhina.

— Takie postępowanie doprowadzi cię do śmierci, kowalu. Lecz bądź pewien jednego. Choć stwarzam takie pozory, nie pozwolę się wykorzystać mózgozerowi do jego niecných celów. Mam to — zważyła w rękę pałeczkę — Można ją zwrócić w dwie strony. A ciało rozerwane wybuchem na strzępy na nic mu się nie przyda. A co z naszymi towarzyszami?

— Oni także pójdą — rzekł Sander. Ściągnął ładunek z grzbietu Rhina. — To zostawimy.

Nie dodał, że może się zdarzyć i tak, że już nigdy nie będą tego potrzebowali. Na stosie pakunków umieścił także miotacz strzał, choć zatrzymał długi nóż, zresztą głównie dlatego, że nosił go tak długo, iż niemal nie zdawał sobie sprawy, że ciągle wisi mu u pasa.

Za całą broń służyły mu będący jego dziedzictwem młot kowalski, z którego teraz czerpał wewnętrzne siły, a który reprezentował wszystko, co normalne i prawe w znanym mu świecie, oraz pałeczka, stanowiąca część tego świata. Być może „broń” to nie było właściwe słowo; należało raczej powiedzieć „narzędzia”, gdyż nie patrzył na

to, co ich czeka, jak na bitwę, lecz jak na konieczność naprawienia czegoś, co zostało poważnie uszkodzone.

— Taka jest twoja wolna wola? — Fanyi wyglądała teraz jak potężny wódz, mający związać kogoś przysięgą krwi.

— Taka jest moja wola — potwierdził Sander.

Odwrociła się od niego ku zwierzętom. Wężacze podeszły do niej, a ona położyła dłonie na ich łbach. Stały tak przez chwilę, po czym przytuliły się do niej i polizaly ją po policzkach. Rhin je obserwował. Z kolei i on się ruszył, lecz podszedł do Sander, trącąc go nosem w ramię — stary sygnał, oznaczający, że pora ruszać w drogę.

— Ich wola również — dopowiedziała Fanyi.

Zgodnie z sugestią Sander, poszła przodem. Pozwolił jej i wężaczom wyprzedzić się o długość korytarza, po czym ruszył z Rhinem za nimi. Fanyi raz jeszcze zacisnęła wisior w dłoniach. Nie poszła tą samą drogą do bramy, która tu weszli. Skierowała się na prawo, w dół na skróty, pomiędzy resztkami roztrzaskanych przez Sander instalacji.

Po kilku chwilach stanęła przed czymś, co wyglądało jak lita kamienna ściana. Wyciągnęła rękę do góry i przytrzymała wisior pomiędzy rozwartą dłonią a jednym z bloków tej zapory. Fragment ściany obrócił się dookoła wokół niewidzialnej osi, robiąc przejście.

Było ono bardzo wąskie. Rhin ledwo się przecisnął. Poza tym było tu ciemno. Gdy wszyscy byli już w środku, drzwi zatrzasnęły się ze złowieszczym hukiem. Sanderowi nie pozostawało teraz nic innego jak iść do przodu, kierując się ledwo słyszalnymi odgłosami przemarszu Fanyi i wężaczy.

Korytarz pełen był zakrętów i zakamarków. Idąc na oślep, co jakiś czas uderzał w niespodziewane przeszkody, nabijając sobie sińce. Lecz droga była jedna, bez bocznych odgałęzień, przesuwiał się więc w miarę pewnie, przekonany, że dziewczyna jest z przodu.

Wreszcie buchnęło światło. Wywnioskował, że Fanyi otworzyła drugie drzwi. Przyspieszył kroku, trzymając się jednak nadal w pewnej odległości, ukryty wraz z Rhinem w ciemnościach. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, różniło się zdecydowanie od wszystkich widzianych dotychczas.

Na wprost znajdowała się ściana ze szklaną powierzchnią, podobną do tej, na której widział linie zaznaczające to, co zdaniem Maxima było konturami światów —

Świata Poprzedniego i obecnego. Było tu tylko jedno krzesło, przylegające oparciem do gładkiej powierzchni. Na tym krześle siedziała Fanyi, a przed nią, warcząc, kulili się węzaczce.

Ręce dziewczyny spoczywały na poręczach krzesła, lecz nie było tam widać żadnych przycisków. Gdy Sander podszedł i stanął na wprost niej, uniosła jedną rękę i ściągnęła z szyi łańcuch z zawieszonym na nim wisiosem. Odrzuciła go od siebie, jakby w tym geście pozbywała się demonstracyjnie wszelkiej ochrony przed dominacją władającego tym miejscem mózgożera.

Sander złapał go w powietrzu. Nie mógł go sam nałożyć, żywił jednak nadzieję, że w jakiś sposób nadal będzie stanowił ich oręż. Z kolei dziewczyna wyciągnęła zza paska pałeczkę i również ją odrzuciła. Siedziała na krześle bezbronna i samotna. A potem... ta, która tam siedziała, przestała być znaną mu Fanyi.

Jej twarz zaczęła się wykrzywiać, skręcać, zniekształcać, przybierać dziwaczne miny, stając się fizjonomią kogoś innego.

— Chodź do mnie!

W tym wezwaniu nie było ani odrobiny kuszenia czy wabienia, tylko zwykły, obcesowy rozkaz, wydany z arogancją osoby nie spodziewającej się odmowy ze strony żadnych autorytetów. Miał on taką siłę perswazji, że Sander postąpił krok w kierunku tej Fanyi nie—Fanyi.

Rhin błyskawicznie znalazł się przy nim. Szczęki kojota zacisnęły się na ramieniu mężczyzny z taką siłą, że zabolalo. Ból ten z kolei zdjął z niego zakłęcie.

Fanyi uśmiechnęła się uśmiechem, jakiego Sander nigdy nie widział na żadnej ludzkiej twarzy.

— Barbarzyńco... — roześmiała się skrzekliwie. — Ty ludzki pomioście... ty... — Jej ton się zmienił. Był zimny i odległy. — Zanieczyszczacie ziemię. Jesteście niczym. Nie jesteście godni chodzić drogami, po których stąpali kiedyś prawdziwi ludzie.

Sander słuchał tych obelżywych słów, pozwalając temu, który wziął Fanyi w posiadanie, mówić dalej, nie przerywając. Klucz do jego kryjówki musi kryć się gdzieś tutaj — potrzebował go, lecz czy zdoła zdobyć go na czas?

— Oddaj mi broń, barbarzyńco — powiedziała Fanyi z lodowatą pogardą. — Czy sądzisz, że można ją wykorzystać przeciwko mnie? Głupcze, mam coś, co po tysiąckroć może cię rozerwać na strzępy. Pozwalam ci żyć wyłącznie dlatego, że możesz mi być przydatny przez jakiś czas. Będziesz mi służył tak, jak ta kobieta...

Rhin wysunął się nieco przed Sandera, odgradzając go od Fanyi. Łeb kojota nakierowany był na ścianę za krzesłem, na której skupiał całą swoją uwagę. Jego uszy sterczały. Kowal ujął mocniej trzonek młota.

— Jesteś mój, barbarzyńco...

Ton tego głosu świdrował uszy Sandera. Czy to mgła falowała wokół krzesła, na którym usadzono Fanyi, czy też wzrok płatał mu figla? Również metal na jego czole nagrzewał się. Stwierdził, że trudno mu oddychać.

On nie był czyjś! Był sobą! Dzięki zimnemu żelazu, które tylko kowal potrafi wykuć — był sobą!

— Barbarzyńco, mogę wyssać z ciebie życie samą tylko wolą. Stąd...

Sander dyszał ciężko. Najwyższy czas, aby się ruszyć — nie miał już innego wyboru.

Zimne żelazo. Zmagał się z presją nakładaną na niego przez niewidzialnego przeciwnika, usiłującego powalić go na ziemię, sprawić, by pełzał upokorzony, tak jak nigdy nie był upokorzony żaden mężczyzna.

— Zimne żelazo! — krzyknął głośno.

Napór odrobinę zmalał, jakby to, czemu się opierał, zostało zaskoczone.

Sander ruszył — nie ku Fanyi, gdzie rządzący tu mózgożer chciał go rzucić na kolana, lecz ku ścianie. Natężając wszystkie siły i koncentrując się jeszcze bardziej niż kiedy stał przed Maximem (a wówczas sądził, że już bardziej nie można), uniósł młot i uderzył w gładką powierzchnię.

Obuch pozostawił w ścianie wgłębienie, od którego promieniście rozchodziły się pęknięcia i rysy.

Zagęszczające się wokół niego ciśnienie napierało z taką siłą na jego umysł, jakby chciało go zmiażdżyć.

Nie! Nie pozwoli się teraz zatrzymać. Zachwiał się na nogach. Podparły go zwierzęta, stojące u jego boku tak blisko, że czuł ich ciepło. Uderzył po raz drugi, a cios trafił dokładnie w to samo miejsce.

Rozległ się chrzęst i brzęk sypiącego się szkła. W ścianie widniała dziura nieco mniejsza od jego pięści. W odpowiedzi fala siły, której nigdy później nie potrafił opisać, rzuciła go na kolana.

Podczołgał się jednak bliżej, zwalczając napierające ciśnienie całą siłą woli. W przeświadczeniu, że jeśli się podda, wszystko to, co sprawiło, że jest tym, kim jest, zostanie zaprzepaszczone, dotarł do ściany.

Puściwszy młot, zaczął centymetr po centymetrze przesuwać rękę ku górze. Zaczepił palcami o brzeg dziury, chociaż postrzępiona krawędź wrzynała mu się w ciało. Gdy zyskał pewność, że trzyma się mocno, zawisł na ręce całym ciężarem ciała.

Przez krótką chwilę bólu i strachu obawiał się, że jego wysiłek pójdzie na marne. Potem szkło — czy też coś podobnego do szkła — rozprysnęło się, obsypując mu głowę i ramiona odłamkami. Ponad nim przeleciał podmuch powietrza tak zatęchłego jak to na dolnych poziomach, kiedy roztrzaskał klatkę, w której uwięziono Fanyi. Sander sięgnął po młot. Prawą rękę miał śliską od krwi.

Bał się, że nie będzie w stanie utrzymać narzędzia. Lecz lewą ręką — tak!

Uniósł ją do góry, dzierżąc nieporadnie i chwiejnie młot. Mimo to zadany cios odłamał dalszy kawałek ściany. W ten sposób tworzył drzwi prowadzące do tego czegoś i przejdzie przez nie, choćby na czworakach, niemal zmiażdżony od nacisku.

Przeciągnął się przez wysoki próg utworzony po wyrąbaniu otworu. Spadł na głowę po drugiej stronie, w innym pomieszczeniu. Nie było tu nikogo. Zaskoczony, zamrugał gwałtownie. Choć Fanyi zawsze wyrażała się o władcy tych podziemi używając słów „to”, „coś” lub „rzecz”, on przedstawiał go sobie jako coś posiadającego przynajmniej jakąś powłokę cielesną, może podobną do tamtego metalowego podróznika z pazurami. Lecz tutaj zobaczył tylko wysokie skrzynki, całe rzędy skrzynek. Na frontowych ścianach niektórych błyskały lub migotały faliście światełka.

Poczuł się nieco lepiej. W momencie, kiedy wpadł tu przez otwór powyżej, zniknęło napierające na niego ciśnienie. Czuł wyraźną ulgę. Jeśli tu znajdowała się kryjówka ciemieżyciela Fanyi, to jego środki obronne były w tym miejscu wyjątkowo znikome. Może dlatego, że t o się nigdy nie spodziewało, iż zostanie odnalezione.

— Nie zapowiedziane i nieprawne wtargnięcie...

Nie był to głos, który przedtem wydobywał się z ust Fanyi. Brzmiał bardziej jak ten, który bełkotał do niego wcześniej, podczas przechodzenia przez podziemne korytarze. Gdzie było to, czego szukał? Ukryte w jednej z tych skrzynek?

— Zabezpieczyć cel numer jeden...

Nie rozumiał znaczenia tych słów. Brzmiały jednak groźnie. Nie próbując stanąć na nogi, Sander wyjął zza paska pałeczkę stanowiącą niegdyś uzbrojenie Maxima. Nacisnął położony najwyżej przycisk i wycelował w wysoką skrzynkę, na której paliło się najwięcej świateł. Promień uderzył w całą mocą, wżerając się w metal. Jednocześnie do Sandera dotarł turkot toczących się kół. W jego kierunku

nadjeżdżała z ciemności metalowa, ruchoma rzecz.

— Pojmać w celu przesłuchania — zatrajkotał głos, gdy metalowy twór zbliżał się do Sandera.

Przycisnął się plecami do rozbitej ściany. Czy starczy mu odwagi, by skierować pałeczkę na mechanicznego policjanta? A co będzie, jeśli jest on kontrolowany gdzieś indziej...

Błysnęło światło. Zaatakowana przez niego skrzynka bluznęła wążutkami języczkami płomieni. Nie zwlekając strzelił promieniem w kolejną migoczącą świecidełkami, a zatem funkcjonującą, skrzynkę. Coś owinęło się wokół jego kostki. Wyrzucona z nadjeżdżającej maszyny lina zacisnęła się wokół jego ciała, a w jego kierunku leciała już następna. Wtedy pomiędzy nich wprysnął jakiś włochaty kształt. Rozległo się warczenie, gdy sznur owinał się wokół Kai, unieruchamiając węzaczka.

Sander nie przestawał strzelać promieniami do celu. Druga skrzynka wybuchła. Tymczasem Kai, która chciała pospieszyć z odsieczą swemu towarzyszkowi, została również złapana na łąso, lecz tym sposobem zwierzaki trzymały liny wypuszczone przez strażnika z dala od Sandera.

Kował pokuśtykał tak daleko, jak pozwoliła mu obwiązana wokół kostki lina, po czym skierował na nią promień. Cztery, pięć, sześć — nagle pętający go sznur rozplatał się i opadł sflaczały na podłogę. Sander wygramolił się z pętli i ruszył niszczyć dalsze skrzynie. Jednak gdy do nich doszedł, promień przestał działać. W tym samym momencie zgasły również wszystkie świecidełka. W powietrzu unosił się duszący odór spalenizny. Usiłował zacisnąć poharataną dłoń. Jeśli nie odmówi mu posłuszeństwa, spróbuje dokończyć dzieła zniszczenia za pomocą młota. Czy to jest kryjówka mózgożera? Jeżeli nie...

Sander dławił się i kaszłał, piekły go oczy, a w gardle zaschło boleśnie. Gdy oddychał, tutejsze powietrze raziło go w nos i gardło. Musi się wycofać, wyjść stąd, nawet jeśli nie dokończył swego dzieła ...

Torował sobie odwrót przez mgłę, przytrzymując się na wpół stopionej skrzyni, potem następnej, szukając otworu, przez który wszedł. Gdy się przezeń przedostał, zobaczył Fanyi. Nie siedziała już, lecz leżała jak kłoda na podłodze, jakby zsunęła się bezwładnie z krzesła. Zataczając się, ruszył ku niej, lecz węzaczka go wyprzedziły. Kai lizała twarz dziewczyny, skrobiąc łapą jej ciało i pojękując z cicha.

Sandera przebiegł dreszcz. Czyżby... czyżby zabił Fanyi? Czy ona... Potykając się, podszedł do niej. Kai zawarczała ostrzegawczo, ale pozwoliła mu

położyć ręce na dziewczynie. Rozcięta dłoń pozostawiła krwawe ślady na jej ramionach i rękach.

Miała zamknięte oczy, a jej twarz pozbawiona była wyrazu — lecz żyła!

Osunął się przy niej i złożył jej głowę na swych kolanach, wyciągając zranioną dłoń na siedzeniu krzesła. Wtedy właśnie jego wzrok padł na wisior, który wcisnął za pasek. Wyjął go jedną ręką i położył na jej piersiach, tam, gdzie go zwykle nosiła.

Powieki Fanyi drgnęły. Popatrzyła na niego nieprzytomnie, ponownie budząc jego obawy. Potem jej spojrzenie rozjaśniło się. Widać było, że go poznaje.

— On został... uszkodzony! — powiedziała.

Wstrzymał oddech. A więc mimo wszystko nie wygrał do końca.

— W jakim stopniu? — spytał.

Minęła długa chwila, nim odpowiedziała:

— Jest... jest częściowo zniszczony... Ci, którzy wiedzą jak, mogą nadal go wykorzystywać, choć nie w stu procentach.

— Nie! — Pamiętał, co go tu sprowadziło. Rzeczą, którą zniszczył, mogła uczynić każdego człowieka panem tego rozdartego świata. Lecz nie było człowieka wystarczająco silnego, wystarczająco mądrego, nie pozostał nikt, kto mógłby spożytkować tę wiedzę.

— Nie! — powtórzyła za nim.

— Twój oręż, by ratować twój lud... — powiedział.

— Twoja kowalska wiedza... — zawtórowała. — On należy do innego świata — dodała z namysłem. — Nawet jeśli to, co czyniło z niego naszego wroga, już go opuściło, niech tak będzie. To nie jest nasze.

Pomyślał o Handlarzach, o Białych, których to coś wzywało do siebie.

— To musi być niczyje.

Skinęła głową podnosząc się. Potem z okrzykiem troski chwyciła jego rękę.

Później siedzieli na podłodze, obok sfatygowanego bagażu. Sander odciągnął ciało Maxima z pola widzenia. Fanyi opatrzyła mu dłoń swoimi balsamami, ale minie jeszcze wiele dni, nim znów będzie mógł machać młotem.

Miejsce to przepełniał chłód, poczucie minionej przeszłości, pokrewne grozie tamtych zmaltretowanych sztormem wzgórz.

Dziewczyna bawiła się pierwszą pałeczką Maxima, którą odrzuciła od siebie w kwaterze mózgożera.

— O n się sam nie zreperuje. A nie sądzę, by miał teraz kogoś, kto by go

obsługiwał. Maxim musiał być ostatnim; lecz mogą być tacy, którzy jeszcze zechcą próbować.

— W niej jest jeszcze jakaś moc — Sander skinął głową w kierunku pałeczki.
— Może wystarczy, by zaspawać wejście z zewnątrz.

Fanyi dotknęła wisiora, który wciąż wisiał na jej szyi.

— Nie sadzę, by pozostał jeszcze ktoś z nich. Jeśli to możliwe, zaspawajmy wejście, nikt go nie znajdzie. Biali sami nie wiedzą dokładnie, czego szukają. Ich szamani to marzyciele — żyją marzeniami wysyłanymi przez to coś.

— Maszynę czy człowieka? — zastanowił się Sander.

Fanyi zadrżała.

— Jedno i drugie. Lecz jak Poprzedni Ludzie mogli coś takiego skonstruować...! Być może w tym tli się jeszcze życie, choć zniszczyłeś to, co dawało mu moc. Jeśli tak, pomyśl, jaki to koszmar życie na zawsze zamknięte w więzieniu.

— A co z twoim ludem? — spytał.

— A co z twoim? — odpowiedziała pytaniem.

Sander odpowiedział pierwszy.

— Mój nieźle sobie radzi. Mają kowala, nie tak dobrego jak mój ojciec, lecz ufają mu. Ja... oni są rodziną. Mimo to trudno mi teraz przypomnieć sobie jakąkolwiek twarz spośród nich, za którą bym bardzo tęsknił.

— Ja mam jeszcze coś do zrobienia — Fanyi trzymała wisior. — Może uda nam się zaspawać jedno niebezpieczeństwo na ziemi. Jednak są jeszcze inne. Zrobię wszystko, co w mej mocy, by wspomóc mój klan, choć nie przynoszę ze sobą większej siły. Zawiodłam Padford, mam więc dług do spłacenia.

— A jak go spłacisz?

— Przecież istnieją drogi prowadzące na południe. Jeśli moi krewni żyją tam w niewoli, to mają prawo oczekiwać mojej pomocy.

Sander poruszył się. Pomimo opatrunku nałożonego przez Fanyi na rany, ręka bolała koszmarnie przy każdym ruchu. Podróżowanie przez jakiś czas z jedną ręką będzie bardzo niewygodne.

— A zatem na południe! Tylko najpierw zabezpieczmy to, co spoczywa tutaj.

Zmarszczyła czoło:

— To nie jest twój obowiązek, kowalu!

Uśmiechnął się.

— Może i nie. Lecz wybrałem życie tułacza. Czy ważne jest, gdzie ktoś

wędruje, jeśli jest z wyboru samotnikiem bez rodziny? W głowie mam tę myśl, Szamanko. Przybyliśmy tu szukać wiedzy. Znaleźliśmy ją, choć nie taką, jakiej się spodziewaliśmy.

— Co chcesz przez to powiedzieć, kowalu?

— Tylko tyle: długo próbowaliśmy żyć pozostałościami

Poprzednich Czasów, ciągle spoglądając w przeszłość. Ale dlaczego mamy tak robić? Nie ma nocy bez gwiazd, więc czern naszej nocy można rozjaśnić naszymi własnymi wysitkami. Jesteśmy sobą, nie ludźmi z Poprzedniej Epoki. Dla tego musimy się uczyć dla siebie samych, a nie próbowali ożywić spuściznę tych, których może nawet nie zechcieli byśmy nazywać krewniakami, gdybyśmy ich spotkali. Nie jestem krewnym Maxima!

— Nie jesteś — potwierdziła. — Tak, to brzmi sensownie, kowalu! A ja też nie jestem krewniaczką tych, którzy magazynowali wiedzę, do której wykorzystania to coś usiłowało mnie zmusić. Zacznijmy od nowa, zapalmy gwiazdy naszej nocy i miejmy nadzieję, że będzie lepiej.

— Zacznijmy od nowa — przytaknął Sander, i dodał:

— Na południe, Fanyi, jako że wzywa cię tam obowiązek. Sprawdźmy, czy potrafimy pokonać Morskie Rekiны naszymi własnymi środkami. Ostatecznie czyż nie poradziłyśmy tu sobie z czymś o wiele gorszym niż wszystkie znane nam niebezpieczeństwa?

— Kowalu, jesteś człowiekiem wierzącym we własną wartość!

Podtrzymując poharataną rękę, Sander podniósł się. Zdrową ręką wsparł się na grzbiecie Rhina.

— Nigdy nie zaszkodzi człowiekowi, kiedy się ceni — odparł łagodnie. — A jeśli do tego ma dobre towarzystwo i fach w garści, to czego jeszcze może chcieć?

Fanyi roześmiała się:

— Cóż, może jeszcze jednej lub dwóch rzeczy... Ale i te bez wątpienia też przyjdą we właściwym czasie. Żadna noc nie trwa wiecznie.